

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/56

1952



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Benedetto Croce – **Historiografia i pesymizm.**

Jan Szembek – **Fragmenty z pamiętnika.**

E. M. Cioran – **Literatura na wygnaniu.**

Borys Lewyckij –

Ukraińcy a Powstanie Warszawskie.

CZESŁAW MIŁOSZ — LIST DO KRAJU ♦ SPRAWY
I TROSKI ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ KRONIKA
KULTURALNA ♦ KSIĄŻKI ♦ LISTY DO REDAKCJI.

SPIS RZECZY

E. M. Cioran:	<i>Dogodności i niedogodności wy-</i>	3
	<i>gnania</i>	
Witold Gombrowicz:	<i>Komentarz</i>	6
Benedetto Croce:	<i>Historiografia wyłącznie poli-</i>	10
	<i>tyczna i pesymizm moralny</i> ..	
W. Szukiewicz:	<i>O kulturze amerykańskiej</i>	18
Zygmunt Haupt:	<i>„Dziewczyna z nóżkami na księ-</i>	26
	<i>życach”</i>	
Czesław Miłosz:	<i>Na śmierć Tad. Borowskiego</i> ..	35
«	<i>Paryż 1951</i>	36
«	<i>Faust warszawski</i>	38
«	<i>Niech nigdy</i>	39
«	<i>W praojcach swoich pogrzebani</i> 39	
«	<i>Stracony przywódca</i>	41
«	<i>Mittelbergheim</i>	42

SPRAWY I TROSKI

Michał Sambor:	<i>O polski „trzeci program”</i>	44
----------------	---------------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Jan Szembek:	<i>Fragmenty pamiętników (ze</i>	
	<i>wstępem W. A. Zbyszewskie-</i>	
	<i>go)</i>	49

KRONIKA UKRAIŃSKA

Borys Lewyckij:	<i>Ukraińcy a likwidacja Powsta-</i>	74
	<i>nia Warszawskiego</i>	
BEO:	<i>Polonica w prasie ukraińskiej</i> ..	87

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	97
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	104
Jerzy Prądzyński:	<i>List z Niemiec</i>	109
Berlińczyk:	<i>Kronika niemiecka</i>	113
J. Pr.:	<i>Kronika polska</i>	116

KRONIKA KULTURALNA

Wł. Dołęga		
i Jan Tokarski:	<i>O pewnym zjeździe</i>	119
J. Cz:	<i>Wystawa Kulisiewicza</i>	125

KSIAŻKI

Michał Sambor:	<i>Pochwała powieści</i>	126
Edouard Roditi:	<i>List z Turcji</i>	129
Andrzej Vincenz:	<i>Toponomastyka polska</i>	131
J. Mier.:	<i>Pamiętniki „czerwonego” Bis-</i>	
	<i>marcka</i>	139
Zygmunt Markiewicz:	<i>„Wiza do Moskwy”</i>	142
Józef Ursyn:	<i>„Indulgence pleniere”</i>	144
M. K. Dziewanowski:	<i>Polska w cywilizacji światowej</i> 147	
—	<i>Książki nadesłane</i>	148
—	<i>Listy do Redakcji</i>	150

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec — Juin 1952

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

E. M. CIORAN, znany pisarz rumuński, autor "Précis de décomposition" (Gallimard) et "Syllogisme de l'amertume" (Gallimard). Cioran otrzymał w r. 1951 nagrodę (prix Rivarol), przeznaczoną dla autorów cudzoziemskich, piszących w języku francuskim. Drukowany w bież. nrze "Kultury" essay Ciorana ukazał się również w ostatnim nrze miesięcznika "Table Ronde".

Zygmunt HAUPT, urodzony w 1907 r. na Podolu galicyjskim w Ułaszkwach nad Seretem; uczęszcza do I-go gimnazjum we Lwowie, potem studia inżynierii i architektury na Politechnice lwowskiej, których to studiów nie kończy. W latach 1931/32 pobyt w Paryżu; zapisany do Instytutu Urbanistyki na Sorbonie, ale zajmuje się wtedy malowaniem i pisanie. Do wojny 1939 mieszka stale we Lwowie, gdzie maluje i pisze. Wojnę przechodzi w Polsce, we Francji, wreszcie w Anglii. Od rok 1946 mieszka w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Orleanie i Nowym Jorku.

Konstanty A. JELEŃSKI, ur. w Warszawie w r. 1922. Do szkoły średniej uczęszczał we Wiedniu i Szwajcarii. W r. 1943 ukończył wydział ekonomii i nauk politycznych na Uniwersytecie St. Andrew's w Szkocji. Następnie studiuje historię nowożytną na uniwersytecie w Oxfordzie. W latach 1944-45 bierze udział w inwazji w Normandii i w walkach w zachodniej Europie w 1-ej Dywizji Pancerniej. W latach 1945-47 wydawca "Dziennika Polskiego Żołnierza". Od roku 1947 mieszka w Rzymie.

Borys LEWYCKYJ, ur. 1915 we Wiedniu. Studia uniwersyteckie (dyplom mag. filozofii na lwowskim uniwersytecie), od 1937 pracuje jako dziennikarz, do 1942 należał do OUN, współpracował stale z Iwanem Mitryngą, reprezentantem lewego skrzydła tej organizacji. Po wystąpieniu grupy Mitryngi z OUN, od 1942, członek Centralnego Komitetu Ukraińskiej Narodno-Demokratycznej Partii, jedynej lewicowo-demokratycznej grupy ukraińskiego ruchu oporu, obecnie członek redakcji i wydawca teoretycznego miesięcznika "Vpered", zawodowy dziennikarz.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Dogodności i niedogodności wyznania

Niestuszenie wyobrażamy sobie intelektualistę wyzutego z ojczyzny jako kogoś, kto abdykuje, wycofuje się i poddaje, z rezygnacją przyjmując swoją nędzę i klęskę, na którą skazuje go historia. Przeglądając mu się z bliska, odkryjemy w nim istotę ambitną, agresywną w swoim upadku, zgorzkniałca podsztytego co posiadał, tym bardziej rośnie w nim wola afirmacji. Byłbym nawet skłonny uznać, że istnieje pewien związek między nieszczęściem a megalomanią. Intelektualista, który wszystko stracił, zachowuje ostatnią nadzieję — nadzieję sławy lub skandalu literackiego. Gotów jest zrezygnować ze wszystkiego, prócz z IMIENIA. Ale jakże narzucić to imię, gdy pisać trzeba w języku obcym, pótezoterycznym? Przekład? Musiałby szukać tłumacza, którego nie znajdzie. Choćby go znalazł, nie mógłby mu zapłacić. Jeżeli wszakże uda mu się prześkoczyć przez te przeszkody, potknie się na ostatniej: wydawca. Tej już, na ogół, nie pokona.

Pisać w innym języku? Nie jest przyjemnie wyrzekać się słów, pośród których się żyło. Kto porzuca swój język dla innego, zmienia swoją osobowość. Dokonywuje heroicznej zdrady, zrywając ze swoją przeszłością i, do pewnego stopnia, z sobą samym.

Któryś z nich napisał powieść; z wtorku na środę, czyni go ona sławnym. Opowiada w niej swoje cierpienia. Rodacy jego na emigracji zazdroszczą mu. Oni także cierpieli, może i więcej. I wygnaniec staje się powieściopisarzem. Powstaje stąd kumulacja.

Nie można wiecznie powtarzać piekła, które i bez tego nacechowane jest monotonią, ani odnawiać wciąż obrazu wygnania. Nic nie wyczerpuje nas w tym stopniu co straszność, przynajmniej co straszność w literaturze; w życiu straszność zbyt jest oczywista, aby zwracała uwagę. Ale autor nasz upiera się; na razie schował swoją powieść do szuflady; czeka swojej godziny. Podtrzymuje go iluzja jakiejś niespodzianki, żyje

nierzeczywistością. Taka jest jednak siła tej iluzji, że przy pracy w fabryce nie odstępował go myśl o sławie, o sławie, która pewnego dnia spadnie na niego, równie nagle co niepojęta.

Casus poety na wygnaniu jest jeszcze bardziej tragiczny. Beznadziejnie zamknięty w swoim języku, pisze dla przyjaciół, dla dziesięciu, dwudziestu najwyżej osób. Pragnienie, aby być czytany nie jest w nim mniej natrętne niż w tamtym zaimprowizowanym powieściopisarzu. Ma on nad nim przynajmniej tę przewagę, że może zamieszczać swoje wiersze w małych tygodnikach lub miesięcznikach emigranckich, które ukazują się kosztem prawie nieprzyzwoitych poświęceń i wyrzeczeń. Czasem przetwarza się w dyrektora takiej gazетки; ażeby ją utrzymać przy życiu naraża się na głód, zrywa z kobietami, mieszka w pokoju bez okna, narzuca sobie wyrzeczenia wprost przerażające. Onanizm i suchoty, oto los jego.

Choć emigranci na zachodzie Europy, w krajach Ameryki łacińskiej lub gdzie indziej nie są zbyt liczni, łączą się oni w grupy i bynajmniej nie po to, aby bronić swoich interesów, lecz aby wartościować się, ścierać, aby publikować swoje żale lub krzyki, swoje wezwania, które pozostaną bez echa. Trudno znaleźć przykład bardziej bolesnego szamotania się w próżni.

To, iż są oni równie dobrymi poetami co złymi prozaikami, wynika z przyczyn dosyć prostych. Przyjrzyjcie się produkcji literackiej, któregoś z tych małych narodów, które gardzą takimi dziećmiństwami jak dorabianie przeszłości lub małpowanie «cywilizacji»: obfitość poezji jest tu cechą najbardziej rzucającą się w oczy. Proza wymaga pewnego poziomu intelektualnego, zróżnicowanej organizacji społecznej, a przede wszystkim tradycji. Wszelka proza jest konstrukcją, jest fabrykatem; poezja TRYSKA, jest bezpośrednia, lub też, na odwrót, całkowicie WYMYŚLONA; rozplenia się ona tylko ponad lub poza cywilizacją: folklorystyczna czy elitarna, prymitywna czy sztuczna, może być dziełem tylko troglodytów lub estetów. Podczas gdy proza jest tworem dojrzałego ducha i skryzlowanego języka, poezja doskonale daje się pogodzić z duchem barbarzyńskim i z językiem nieukształtowanym. Tworzyć literaturę, to tworzyć prozę.

Cóż bardziej naturalnego, że tylu z tych wygnańców nie dysponuje innym środkiem ekspresji prócz poezji? Ci nawet, którzy nie są zbyt uzdolnieni, czerpią ze swego wykorzenia, ze swego automatycznego wyodrębnienia tę nadwyżkę talentu, której nie dostarczyłaby im egzystencja bardziej «normalna».

W jakiegokolwiek formie by się objawiało i jakiegokolwiek byłoby jego przyczyny, wygnanie jest szkołą szaleństwa. Szaleństwo... nie każdemu dane jest go dostąpić. To sytuacja krańco-

wa, to jakby szczytowy moment poetycznego stanu ducha. Nie jestże więc przywilejem móc być przetransportowanym w ten stan ot, z miejsca, nie na krętych drogach skomplikowanej dyscypliny, lecz z taskawego zarządzenia losu? Pomyślcie o Rillem, o tych samotnościach, które musiał spiętrzyć, aby zlikwidować swoje związki ze światem i usadowić się w niewidzialnym. Nie jest bynajmniej łatwe być nikąd, zwłaszcza gdy żadna zewnętrzna okoliczność do tego nie zmusza. Nawet miły tylko na drodze potwornych wysiłków zdoła osiągnąć euforię pustki. Ileż pracy kosztuje to burzycielstwo: wydrzeć siebie ze świata! Wygnaniec dochodzi do tego nie narażając się na żadne koszty, przy pomocy historii, wskutek tego właśnie, że historia jest mu wroga. Bez cierpień, ani bezsensnych nocny wyzbywa się wszystkiego: zmuszają go okoliczności. Przypomina w pewnym sensie człowieka chorego, gdyż chory również wstępuje w metafizykę lub w poezję nie wskutek zasług osobistych, lecz po prostu naturalną koleją rzeczy, wskutek samej dynamiki choroby. Absolut zdobyty tanim kosztem? Absolut tani? Być może, choć nie zostało udowodnione, aby rezultaty za które płaci się wysiłkiem więcej były warte od tych, które pochodzą z lenistwa, ze skwapliwej zgody na to, czego nie można uniknąć.

Jedno wszakże niebezpieczeństwo zagraża poecie na wygnaniu: że przyzwyczai się do wygnania, nie będzie więcej cierpieć, że nawet znajdzie w nim upodobanie. Nikt nie jest w stanie zakonserwować młodości swoich smutków. Smutek zużywa się. Tak rzecz się ma z wszelką tęsknotą za krajem, z wszelką nostalgią. Żale tracą żywotność, starzeją się. W czasach, które zabawiają się w apokalipsę, elegia staje się zbędna. Cóż bardziej naturalnego więc niż osiedlić się w wygnaniu i używać w nim rodzaj obywatelstwa? — Wygnanie? To stolica Nicości, ojczyzna na wspaniale. Im bardziej nasz poeta delektuje się nim, tym bardziej trwoni swe wzruszenia, niszczy w sobie zarówno energie żywotne swego nieszczęścia jak swój sen o sławie. Czeka go szanowny zgon. Natchnienie mu wysycha wskutek braku różnorodności w doznaniach i braku autentycznych niepokojów. Wkrótce pogodzi się ze swoją anonimowością i, grząc się coraz głębiej w mierność istot wzgardzonych i odpalonych, stanie się mieszcuchem z nikąd. Taki będzie kres jego kariery lirycznej, tak osiągnie coś najbardziej zbliżonego do równowagi trwałej w zdeklasowaniu.

Oto na koniec jest już «ustalony», już zasiadł wygodnie w komforcie swego upadku. Cóż pocznie dalej? Będzie mógł wybierać między dwiema formami zbawienia, radykalnie sprzecznymi: wiara i humor. Jeśli wlecze za sobą jakieś resztki nie-

pokoju, zlikwiduje je powoli za pomocą tysiąca pacierzy; pod warunkiem jednak, że nie znajdzie upodobania w pewnym gatunku wdzięcznej metafizyki, będącej ulubionym zajęciem wykończonych wierszopisów. Jeśli zaś, na odwrót, jest skłonny do kpiny, zbagatelizuje swe kłeski, aby móc się nim bawić. Zależnie od temperamentu poświęci się pobożności lub sarkazmowi. W obu wypadkach zatriumfuje zarówno nad swoimi ambicjami i nad swoim pechem, aby urzeczywistniając się, osiągnąć cel wyższy — aby stać się POPRAWNYM bankrutem.

E. M. CIORAN.

Komentarz

Słowa Ciorana zleją piwnicznym chłodem i stęchłą grobu, ale zańdado są małostkowe. O kim tu mowa? Kogóż należy rozumieć pod określeniem "pisarz na wygnaniu"? Adam Mickiewicz pisał książki i książki pisze pan X., owszem, wcale poprawne a także poczytne, obaj są "pisarzami" i, nota bene, pisarzami na wygnaniu... ale na tym kończy się wszelkie między nimi podobieństwo.

Rimbaud? Norwid? Kafka? Słowacki?... (rozmaite bywają wygnania). Sądze że żaden z nich nie przeraziłby się zbytnio tym właśnie gatunkiem piekła. Przykrą jest rzeczą nie mieć czytelników — bardzo nieprzyjemnie nie móc wydawać swoich utworów — wcale nie jest słodkie być nieznanym — wysoce nie miłe jest widzieć się pozbawionym pomocy tego mechanizmu, który wypycha na wierzch, robi propagandę i organizuje sławę... ale sztuka naładowana jest pierwiastkami samotności i samowystarczalności, znajduje ona swoje zadowolenie i swoją rację bytu w sobie samej. Ojczyzna? Przecież każdy z tych wybitnych, wskutek po prostu wybitności swojej, był cudzoziemcem nawet u siebie w domu. Czytelnicy? Przecież nigdy nie pisali oni "dla" czytelników, zawsze "przeciw" czytelnikom. Honory, powodzenie, rezonans, sława — przecież stali się sławni właśnie dlatego, że więcej cenili samych siebie niż swe powodzenie.

I to co w każdym, nawet mniejszego kalibru, literacie jest z Kafki lub z Conrada albo z Mickiewicza, to co jest istotnym talentem i istotną wyższością lub istotną dojrzałością — żadną miarą nie zmieści się w cioranowskiej piwnicy. Chciałbym też przypomnieć Cioranowi, że nie tylko sztuka emigrancka lecz wszelka w ogóle sztuka pozostaje w najściślejszym związku z

rozkładem, rodzi się z dekadencji, że jest przetworzeniem choroby na zdrowie. I wszelka w ogóle sztuka ociera się o śmieszność, klęskę, poniżenie. Czyż istnieje artysta, który by nie był, jak mówił Cioran, "istotą ambitną, agresywną w swoim upadku, zgorzkniałcem, podszytym zdobywcą"? Czy widział kiedykolwiek Cioran artystę, pisarza, który by nie był, nie musiał być, megalomanem? I sztuka, jak słusznie kiedyś powiedział Boy, jest cmentarzyskiem: na tysiąc ludzi, którzy nie zdołali się urzeczywistnić, pozostając w sferze bolesnej niedostateczności, jeden lub dwóch zaledwie zdoła naprawdę "zaistnieć". Ten więc brud, te jady niezaspokojonych ambicji, to szamotanie się w próżni, ta katastrofa nie wiele mają wspólnego z emigracją, a wiele ze sztuką — stanowią one cechę każdej literackiej kawiarni i zaiste jest dosyć obojętne w jakim miejscu świata męczą się pisarze, którzy nie są dość pisarzami, aby być naprawdę pisarzami.

I może zdrowsze jest że zostali oni pozbawieni zapomóg, poklasku, tych drobnych karesów jakimi darzyło ich za dobrych czasów państwo i społeczeństwo w imię "popierania rodzinnej twórczości". Swojska zabawa w wielkość i wybitność — sympatyczny szum wytwarzany ongiś przez pobłażliwie uśmiechniętą prasę i niedowarzoną, pozbawioną poczucia skali zjawisk, krytykę — ów proces, sztucznego wydymania kandydatów na "pisarza narodowego"... czyż wszystko to nie zalaatywało tandetą? Rezultat? Narody, które stać było w najlepszym razie na kilku autentycznych artystów hodowały w tej wylęgarni całe zastępy znakomitości, a w rodzinnym cieple, będącym mieszaniną ciętowej dobrośliwości i cynicznego lekceważenia wartości, roztopiała się wszelka hierarchia. Cóż dziwnego że ciepłarniane twory, pielęgnowane na łonie narodu, wędną poza łonem? Cioran opowiada, jak ginie pisarz oderwany od swego społeczeństwa. Lecz pisarz ten nigdy naprawdę nie istniał: to embriion pisarza.

Mnie raczej wydaje się że — teoretycznie biorąc i pomijając trudności materialne — to zanurzenie się w świecie, jakim jest emigracja, powinno stanowić niesłychaną podniętę dla literatury.

Oto elita kraju zostaje wyrzucona zagranicę. Może ona myśleć, czuć, pisać z zewnątrz. Uzyskuje dystans. Uzyskuje niesłychaną swobodę duchową. Pękają wszystkie więzy. Można być bardziej sobą. W powszechnym zamęciu rozluźniają się dotychczasowe formy, można w sposób bardziej bezwzględny dążyć do przyszłości.

Wyjątkowa sposobność! Wymarzona chwila! Zdawało by się więc, że silniejsze indywidualności, bogatsze jednostki, powinny zarzyczyć jak lwy. Dlaczegoż nie ryczą? Dlaczego głos tych ludzi osłabił zagranicą?

Nie ryczą, bo... bo, przede wszystkim, są zańdado wolni. Sztuka wymaga stylu, porządku, dyscypliny. Słusznie podkreśla Cioran niebezpieczeństwo zbytniego oderwania, nadmiernej wol-

ności. Wszystko z czym byli oni związani i co ich wiązało — ojczyzna, ideologia, polityka, grupa, program, wiara, środowisko — wszystko zniknęło w wirze historii, a na powierzchni ukazała się nicością wypioną bańka... i wyrzuceni ze swojego świata znaleźli się w obliczu świata, świata bezmiernego i wskutek tego niemożliwego do opanowania. Tylko kultura uniwersalna może sprostać światu, nigdy — kultury lokalne, nigdy ci co żyją tylko fragmentami egzystencji. Utrata ojczyzny nie wtrąci w anarchię tylko tego, kto umie sięgnąć głębiej, poza ojczyznę, dla kogo ojczyzna jest tylko jednym z objawień wiecznego i uniwersalnego życia. Utrata ojczyzny nie zakłóci wewnętrznego porządku jedynie tych, których ojczyzną jest świat. Historia współczesna okazała się zbyt gwałtowna i bezgraniczna dla literatur zbyt narodowych i partykularnych.

I ten nadmiar wolności właśnie najbardziej krępuje pisarza. Zagrożeń ogromem świata i ostatecznością jego spraw, kurczowo czepiają się przeszłości; czepiają się samych siebie; pragną pozostać takimi jak byli; lękają się najmniejszej choćby zmiany w sobie, z obawy, że wówczas wszystko się rozleci; i, na koniec, czepiają się kurczowo jedynej nadziei, jaka im pozostała, to jest nadziei na odzyskanie ojczyzny. Lecz odzyskanie ojczyzny nie może nastąpić bez walki, walka zaś wymaga siły, siła zaś zbiorowa powstać może tylko na drodze rezygnacji z własnego ja. Aby ją wytworzyć pisarz musi narzucić sobie i rodzinom ślepą wiarę oraz wiele innych ślepot, a luksus bezinteresownego i swobodnego myślenia staje się najcięższym z grzechów. Tak więc, nie umie być pisarzem bez ojczyzny — lecz, aby odzyskać ojczyznę, musi przestać być pisarzem, pisarzem na serio.

Być może jednak, istnieje jeszcze inna przyczyna tego paraliżu duchowego, przynajmniej, gdy idzie nie o intelektualistów, lecz o ludzi sztuki. Mam na myśli samą koncepcję sztuki i artysty, tak jak ona urobiła się na zachodzie Europy. Nie wydaje mi się, aby nasze współczesne wierzenia odnośnie do istoty sztuki, roli artysty, stosunku artysty do społeczeństwa pokrywały się z rzeczywistością. Filozofia artystyczna zachodu wytworzyła się wśród elity, w społeczeństwach skryzalizowanych, gdzie nic nie zakłóca umówionego języka — nie na wiele jednak może się przydać człowiekowi wyrzuconemu poza nawias konwenansu. A koncepcja sztuki wykuwana po tamtej stronie kurtyny przez zwycięską biurokrację proletariatu jest bardziej jeszcze elitarna... i bardziej naiwna. Lecz artysta na emigracji, zmuszony istnieć nie tylko poza narodem, ale i poza elitą, konfrontuje się o wiele bardziej bezpośrednio ze sferą duchową i intelektualnie niższą, nie izoluje go od tej styczności, musi osobiście wytrzymać napór brutalnego i niedojrzałego życia. Jest on jak zbankrutowany hrabia, który widzi, że salonowe maniery tracą wartość, gdy nie ma salonu. To jednych pcha w "demokratyczną" płaskość, w dobroduszną popolitość lub w ordynarny "realizm"... innych zaś ska-

zuje na odosobnienie. Musimy znaleźć jakiś sposób na to, aby znów poczuć się arystokracją (w głębszym tego słowa znaczeniu).

Jeżeli więc mowa o rozkładzie i dekadencji literatur emigracyjnych, to bardziej trafiało by mi do przekonania takie ujęcie sprawy... gdyż tu przynajmniej wyzwalamy się na moment z zakłętą koła drobiazgów, a dotykamy trudności zdolnych rozłożyć autentycznych pisarzy. I wcale nie przeczę, że przewzięcie ich wymaga wielkiej stanowczości i śmiałości ducha. Nie łatwo być pisarzem na miarę emigracji, gdyż jest to miara zupełnej prawie samotności. Cóż dziwnego zatem, że, przerażeni własną słabością i ogromem zadań, chowamy głowę w piasek i, organizując sobie parodię przeszłości, uciekamy od świata w światek?...

Czy widzisz ogień ten w oddali?

Tam klub maleńki zawiązał...

W tym to klubie uprawiamy dalej — na łamach kilku czasopism — nasze dawne gawędy, w wierszach lirycznych oplakujemy minioną idyllę, prawimy sobie komplementy lub oddajemy się nieszkodliwym swarom i usiłujemy zabić czas — ten czas, który nas zabija. A jednak prędzej czy później myśli nasza musi wypracować sobie drogi wyjścia z impasu. Problem nasz znajduje swoich ludzi. W danej chwili idzie nie o twórczość samą, lecz o odzyskanie możliwości tworzenia. Musimy wytworzyć tę porcję swobody, śmiałości i bezwzględności, a nawet powiedziałbym — nieodpowiedzialności, bez której twórczość jest niemożliwa. Trzeba nam po prostu oswoić się z nową skalą naszego istnienia. Będziemy musieli potraktować z zimną krwią i bezceremonialnie najdroższe nam uczucia, aby dojść do nowych wartości. Z chwilą, gdy zabierzemy się do kształtowania świata, z tego miejsca w jakim się znajdujemy i tymi środkami, jakimi dysponujemy, ogrom się zmniejszy, bezmiar nabierze formy i poczną opadać wzburzone wody chaosu.

Witold GOMBROWICZ.

Historiografia wyłącznie polityczna i pesymizm moralny

Zamieszczamy poniżej tłumaczenie *essay'u* Benedetto Croce, wyjętego z książki „*Storiografia e Idealità Morale*” (Bari, 1950). Książka ta zawiera zbiór wykładów wygłoszonych przez włoskiego filozofa w założonym przez niego neapolitańskim Instytucie Historycznym. Pomimo, że zamieszczony przez nas *essay* osnuty jest na tle krytyki książki francuskiego historyka Bertrand de Jouvenel „*Du Pouvoir*” (Paryż, 1948), przedstawia on w skrócie najpełniejsze zastosowanie filozofii Crocego do problemów współczesnych. Zasadniczą kontrybucją Crocego do filozofii jest jego „teoria rozróżniania” w ramach jedności ducha. Duch (*Spirito*) — twierdzi Croce — jest jeden i niepodzielny, tak jak jedna i niepodzielna jest historia. Należy jednak w ramach jedności ducha i historii różnić działalność moralną, estetyczną i praktyczną. Żadna z nich nie ma życia samoistnego, życie i historia jest wynikiem ich współdziałania. Stąd niechęć Crocego do wszelkiego rodzaju abstrakcji, będących negacją życia, które przejawia się tylko w formach konkretnych. Duch ludzki może się swobodnie rozwijać jedynie w atmosferze wolności. Benedetto Croce jest filozofem liberalizmu. Poprzez trudny i złożony rytm jego prozy, w której każde słowo ma swoje znaczenie, widzimy gorącą wiarę w nieprzemijającą wartość europejskiej cywilizacji. Jest to jak gdyby esencja tego, co wiek XIX miał najlepszego i zawsze aktualnego, przekazana nam przez wielkiego filozofa, który rozumie sens i wagę kryzysu XX wieku.

Poniższy *essay* zamieszczamy w „*Kulturze*” z pozwoleniem autora, który już w numerze 1-gm „*Kultury*” zamieścił artykuł pt. „*Zmierzch cywilizacji*”.

Historiografia wyłącznie polityczna i pesymizm moralny

Czymże jest owa wizja historyczna, którą przedstawia nam Jouvenel w swej uczonej, bystrej i wnikliwej książce „*Du Pouvoir*”, gdzie umęczona przeszłość ścisła nas za serce, zaś przy-

szłość przejmując rozpacz? Czyżby ludzkość zawsze miała przeciwko sobie lub ponad sobą wściekłego i żarłocznego potwora, który się zowie władzą, lub bardziej potocznie Państwem i który z wciąż wzrastającą chciwością wydiera jej kawałkami dobro najwyższe, wolność; obecnie zaś gdy, jak się wydaje, potwór ten osiągnął szczyt owej orgii, jeszcze nie jest syty i groźnie dopomina się o nowe ofiary? Czy to rzeczywistość, czy też sen koszmarny? Za rzeczywistością przemawia pamięć strasznych wydarzeń, które widzieliśmy na własne oczy i których doświadczyliśmy sami od szeregu dziesiątek lat utraconego pokoju, pamięć której nic nie zdoła wykreślić ani złagodzić, oraz dławiąca obawa groźniejszej jeszcze przyszłości; ale nadzieja, najwyższa bogini śmiertelnych, odgania te wizje jak koszmar. I otóż w odwet nadziei przychodzi nawyk krytyczny, który nagle rozjaśnia moją myśl promieniem swego światła; i mówię sobie, pocieszony i niemal uspokojony. Oto zwykła pesymistyczna pułapka, którą miała mi jeszcze raz zastawić dawna moja znajoma, którą w mojej metodologii historiograficznej nazwałem historiografią wyłącznie, abstrakcyjnie polityczną.

Żadna z sił ducha, żadna z form historii nie może być odizolowana od pozostałych, od jedności ducha i historii, nie stając się zarazem niezrozumiałą dla umysłu, niebezpieczną dla życia. Jakże piękna jest poezja! Ale odłączcie ją od życia, którego jest wyrazem oczyszczonym przez pogodę wyobraźni, a przestaniecie ją rozumieć i cieszyć się nią i zamiast twórczego artysty napotkacie niezdolnego estety bez treści. Jak zbawieną jest siła rozumowania, która rozjaśnia otaczające nas mroki i swymi formułami daje nam klucz do pojmowania wydarzeń, tworzących rzeczywistość. Lecz posługujcie się nią bez faktów, które winny jej dawać materiał, a zamiast uświadomionego filozofa, który przy swej pewności logicznej wzruszony jest jeszcze pasjami, którymi sam się przejmował, będziecie mieli oschłego scholatyka i profesora. Jakże sroga jest nasza przyjaciółka, bolesna i miłosna, świadomość moralna, która te pasje przyjmuje, przewyższając je i nadając im kierunek! Ale odłączcie ją od nich, a znajdziecie głupiego moralistę, który zabija samą zasadę moralności, wierząc, że oczyszcza ją i utwierdza. Podobnie, jakże potrzebna i płodna jest polityka i produkcja dóbr użytecznych i w ogóle ekonomia! Ale spróbujcie jedynie za pomocą tych sił stworzyć życie, a otrzymacie niepolityczność polityki, niepożyteczność abstrakcyjnych użytkowości, lub wykrzywienie tak polityki jak ekonomii, które straciwszy swą rację bytu i swoją rolę i bez zastrzeżeń otrzymawszy absolutne pierwszeństwo, nie będą miały nad czym włączyć. Każda z tych form, pozbawiona innych, które ją wypełniały, staje się stosem pustych łupin, z którymi nie wiadomo co zrobić, jeśli nie napełnić je naszym rozczarowaniem i ożywić wyłącznie naszym egzasperowanym pesymizmem. Jouvenel sam kładzie głowę (proszę mi wybaczyć meta-

forę), pod topór krytyki, czyli pod surowy wyrok metodologii, gdy badając Władzę czy Państwo i wojny będące ich konsekwencją, mówi nam czym jest dla niego historia. Byłaby to zatem pokrótkie nierozstrzygnięta i rozproszona seria zmiennych kolei wojny, ciągle zdobywanie i tracenie, zdobywanie na nowo i tracenie na nowo podbojów. "Spójrzcie — zwraca się do swych czytelników — na mapę Europy, nie ustaloną, jak nam ją przedstawia geografia polityczna, ale w nieustannym ruchu, tak jaką była w ciągu wieków, i zauważcie jak plama różowa, niebieska czy żółta, przedstawiająca określone panowanie, raz po raz to się powiększa kosztem innych, to kurczy się pod naporem plam sąsiednich. Oto wyciągnięte macki do morza, wydłużają się wzdłuż rzeki, przekroczą górę, zaabsorbują i przetrąwają obce ciała. Wreszcie straci swą siłę i pewnego dnia zniknie z kolei padłszy ofiarą żarłoczności przeciwnika. Wszystkie te płynne plamy przywodzą nam na myśl kulturę żyjących pod mikroskopem. I taka — kończy Jouvenel — jest historia". W historii w ten sposób pojętej nie może się on oczywiście doszukać "ośrodka", zasady jedności i zauważa, że z powodu braku ośrodka trzeba się uciec do stworzenia centralnej postaci, wojownika i zdobywcy; w ten sposób — twierdzi Jouvenel ... historia zyskuje na ciągłości (ale jednocześnie staje się niczym innym, jak czystą literaturą). Ponieważ zaś te postacie, które są pojedynczymi osobami, mijają i wymierają i seria ich przerywa się, przybiera charakter "płaszczyzn rozdzielanych próżnią", w XIX wieku postawiono na ich miejsce dłuższym cieszące się życiem "osoby - narody". Lecz ponieważ historia nie jest taka jaką ją opisuje Jouvenel, nie znajdzie ona nigdy ośrodka ani jedności w rzeczach czy osobach indywidualnych czy zbiorowych, postawionych poza nami samymi (znane są rozpaczliwe rozprawy i polemiki nad jednością historii Włoch, Francji, Niemiec i innych narodów, w każdym wypadku nieokreślona lub określona dowolnie). Jedność historii leży wyłącznie w szczególnym problemie poznania danego wydarzenia, lub powiązania wydarzeń, poznania, które nasz umysł dokonuje na skutek pytań praktycznych lub moralnych, które stawia nam życie na to, aby z poznania zrodziła się w każdym z nas rozważa i postanowienie spraw, które mamy przedsięwziąć. Życie takiego problemu nadaje życie i jedność dociekaniu i relacji historycznej; wraz ze zmianą problemów zmieniają się i historie i w ten sposób piszą się nowe historie, nawet jeśli się może wydawać, że zawierają one znane już fakty. Także i tu jedność (jak Goethe mówił o naturze), leży w sercu człowieka.

Jeśli zatem chcemy nadać znaczenie historii politycznej i ująć ją w całość jej pełni i prawdzie, musimy wziąć nie puste, lecz pełne łupiny, nie abstrakcyjną i izolowaną politykę, lecz politykę konkretną, mającą związek z innymi formami ludzkiego ducha: z historią religijną, filozoficzną, moralną, poetycz-

na, artystyczną, z całą historią "spiritualis", którą wywyższyło chrześcijaństwo, a którą przeczuwała starożytność grecko-rzymska, i z całą "historią cywilizacji", jak ją nazwał wiek XVIII, a która tak określone przebrała kształty w XVIII i XIX wieku. W tej historii narówni z myślicielami i poetami, z apostołami i ze świętymi, jest również miejsce na ludzi miecza, na twórców mądrej polityki, na ludzi decyzji i czynu, którzy biorą udział świadomy lub nieświadomy w życiu duchowym ludzkości, są źródłem natchnienia epopei i tą twórczą stroną różnią się od zwykłych niszczycieli: Aleksander od Atyli czy Cezar od Dżengischana, gdyż ci drudzy uczestniczą czynnie w cywilizacji jedynie jako jej negacja, jak czynny jest ból ludzki z którego wypływa każda pieśń, również każda zdobytą prawdą, każda twórczość moralna. Czy Wolność jest zawsze prześladowana i gnębiona i niszczone przez Państwo i jego politykę? A czymże są te wszystkie elementy o których żeśmy wspomnieli powyżej, poezje, obrazy i rzeźby, dzieła architektury i osiągnięcia filozoficzne, naukowe, techniczne, zagadnienia moralne i produkcja bogactw, jeśli nie dziełami wolności nieśmiertelnej, które zostały stworzone pomimo niesnasek i prześladowań politycznych, często czerpiąc z nich soki, przetwarzając je na swój pożytek, a nawet nadając im własną siłę żywotną i przelewając w nie swoją własną wartość? Wolność jest prawem życia duchowego (lub innym słowem moralnego) i treścią jej nie jest niczym nie skrepowane życie drobnej lub większej grupy ludzi, na przekór władzy państwa, lub, jak chcieliby anarchiści, poza nawiasem, jakiegokolwiek odpowiedzialności politycznej: wolność nie polega na zaspokojeniu potrzeb doczesnych, lecz jest "caelestis origo". Jouvenel opiewa wolność zdobytą siłą i obronioną zwycięsko przez patrycjuszów, baronów i szlachtę, a później przez burżuazję wbrew monarchom absolutnym, którzy własne interesy utożsamiali z interesem państwa. Lecz ci patrycjusze, ci baroni feudalni, ci mieszcianie przez niego chwaleni, utożsamiali swe interesy osobiste lub klasowe z tym, co nazywali "wolnością", a kiedy udawało im się te interesy narzucić, zwyciężali dany punkt konfliktu, ale nie wydawali na świat żadnej prawdziwej wolności. A to, że równolegle ze swymi interesami, kultywowali również sztukę i naukę i kulturę, tworzyli szereg potrzebnych instytucji, przeprowadzali potrzebne reformy polityczne, tak jak od czasu do czasu zdarzało się patrycjuszom i szlachcie i kupcom i przemysłowcom (podobnie zresztą jak królom absolutnym, a nawet tyranom), to wszystko nie ma wspólnego z ich charakterem grupy politycznej czy ekonomicznej, który nie łączy się z tymi dziełami żadnym węzłem zasadniczym, przyczynowym, a przedstawia inną część ich osobowości, jest wynikiem odmiennych przedziałów naszej duszy. Jouvenel uważa owe szczególne klasy ludzi za instrument praktyczny idei, które potrzebują sił politycznych, aby móc wyrazić się w faktach, wbrew (jak twierdzi) temu co powiedział Hegel, który hi-

storie powierzył czystym ideom, bez ramienia i siły mięśni. I miałby słuszność w tej krytyce, gdy Hegel istotnie był powiedział lub pomyślał coś równie naiwnego, podczas gdy w istocie nalega on zawsze na potrzebę sił emocjonalnych i z naciskiem podkreśla różnicę pomiędzy filozofem i mężem stanu; jego własna Idea była dobrze uzbrojona, jeśli pomyśleć, że był nią Bóg stwórca i rządca wszechświata (ale to mówiąc nawiasem). Wolność jest zawsze zarazem i duchem i ciałem, chce wcielać i wciela swe ideały; i wcielając je, gdy czyni to celowo, posługuje się nawet siłami obcymi, obojętnymi, lub mało wrażliwymi na ideały moralne wolności — są to te "przymierza" z których utkane jest życie ludzkie i którymi nie sposób się gorszyć, tak jak z pewnością, nikt się nie zgorszy, że ja, pisząc obecnie w celu wyłożenia i obrony pewnych tez, które wydają mi się prawdziwe i sprawiedliwe, sprzymierzyłem się z wydawcą, czyli z przemysłowcem, bez pomocy którego tezy te nie byłyby ani wydrukowane, ani rozprzeżstrzenione. Lecz również nie trzeba pozwolić, aby mieszały się i zakazywały wzajemnie warunki tego przymierza, jak to robi nierozważnie Jouvenel w historii, łącząc w tych samych osobach interesy polityczne i ekonomiczne patrycjusza, feodalnego barona czy kapitalisty z obroną i rozprzeżstrzenianiem wolności, która, jako dzieło ducha, ma swe własne duchowe pochodzenie. Równa się to poniekąd stanowisku ludzi pozbawionych skrupułów lub godnych pogardy, którzy sprowadzają myśl, poezję, religię i cnoty moralne do poziomu masek pokrywających interesy ekonomiczne i polityczne. Maski te, lub "nadbudówki ochronne" były tym, co wyłącznie widział Marks w twórcach myśli, religii, moralności, i jak te twórcy rozumiał. To samo twierdzą tłumy jego dzisiejszych naśladowców, którzy sprowadzili do poziomu mechanicznych idiotyzmów sformułowania które u Marksa, człowieka genialnego, były zręcznymi paradoksami. Jeśli o mnie chodzi, troszczyłem się zawsze, aby wykazać, że słowo "burżuazyjny" określa dwie kategorie zjawisk całkowicie odmiennych: instytucje gospodarcze właściwe współczesnej cywilizacji przemysłowej, oraz myśl, moralność, religię, sztukę, jednym słowem całą stronę duchową tejże epoki. Jeśli ktoś chce w tym sensie nazwać "burżuazyjnym", "cogito" Kartezjusza, lub "Verum Factum" Vica — niechaj tak czyni, ale z troską aby nie wyciągać logicznych wniosków z dość nieudanej metafory. Wolność i twórczość duchowa, oraz związany z nimi rozwój cywilizacji, nie występują z równą siłą w różnych okresach historii. Pomimo, że używając w związku z wartościami niewymiernymi przysłówków "więcej" lub "mniej" popełniamy oczywisty błąd, można się nimi jednak posługiwać jako umownymi skrótami, aby określić charakter jakościowy pewnych zespołów wartości w zestawieniu i w przeciwstawieniu do innych. Stąd okresy "barbarzyńskie", które odróżniamy od "cywilizowanych", "wieki twórcze" w przeciwstawieniu do "wieków upadku". Rozróżnienia zatem, których wartość ogranicza się do

użytku wspomnianego powyżej. Z tymi zastrzeżeniami należy przyjmować i rozumieć problem, który zajmuje Jouvenela, a również i wszystkich nas, którzy w ten lub inny sposób jesteśmy nim trawieni w trosce o los zagrażający naszej cywilizacji. Ale rozważając ten problem, nie należy wyłącznie podkreślać tendencji politycznych, które nas niepokoją i które można wszędzie obserwować. Są one odmienne i przeciwne tendencjom XIX wieku i przejawiają się w formie statystycznej życia, w zeszytwnieniu i mechanizacji partii politycznych, w ich zależności od komitetów centralnych, które bezwzględnie rządzą przedstawicielami parlamentarnymi, uniemożliwiając ponowny wybór tych, którzy wykazali pewną niezależność i trzymając ich w zależności przez ograniczanie tajnego głosowania, oraz przenosząc posłusznym i zdyscyplinowanym (jak się ich zowie), ponad wolnych i inteligentnych a nieudolnych nad technicznie sprawnych: w wynikającym z tego zeszytwnieniu stronnictw, które pozbawiają debatę parlamentarną skuteczności i płonności, skoro wszystkie uchwały są z góry ustalone przez kierowników; w tworzeniu się stronnictw, które mają zapewnioną bezwzględną większość i mają przeciw sobie opozycję niezdolną do wywołania kryzysu; przez to samo w rosnącej groźbie utworzenia się stronnictwa jedyne, które używa nazwy stronnictwa, stanowiąc jego zaprzeczenie, gdyż jest reżimem dyktatury. Równie silnie, lub może nawet silniej podkreślić należy, gdyż tu tkwi źródło tendencji, które oplakujemy, ogólne osłabienie ideału i poczucia wolności i zubożenie twórczości duchowej: ukryte lub uszmin-kowane przez cuda techniki, którą nauka począwszy od wieku Galileusza wytwarza, panująca dziś nad groźnymi siłami, które już doprowadziły wojny do nieznanego przedtem stopnia niszczycielstwa i które mogą kiedyś zgasić życie rodzaju ludzkiego na ziemi. Ten proces rozkładu duchowego przejawiał się z tak wielką szybkością, nieledwie wybuchem, w drugim dziesięcioleciu XX wieku, że wydał się rzeczą nową i nieoczekiwaną. Lecz dojrzał już w wieku poprzednim i został przewidywany, a raczej przejrany aż do sedna między innymi przez Tocqueville'a i Jakóba Burckhardta, którzy tak zrozpaczeni byli swą wizją, że nie potrafili do jasnej analizy dołączyć wizji środków naprawy. W istocie, środków nie należało szukać w reformach politycznych i gospodarczych, lecz w czymś bardziej głębokim: w dziedzinie duszy ludzkiej. Nie było zaś nadziei ani w tradycyjnych religiach, zbyt starych i niedostosowanych do współczesnego świata, targanego przeciwnymi sobie siłami i przebogatego w doświadczenia umysłowe i duchowe; ani nie można było zaufać religiom sztucznie wymyślonym przez Saint-Simonistów i pozytywistów, ani nie sposób było wypożyczyć, jak niektórym przychodziło na myśl, religii azjatyckich, aby przenieść je do Europy, gdzie się nie mogły nadać. Z drugiej strony zbawienna, niedogmatyczna religia włości, która taki wzbudziła zapal, tylu wydała apostołów i męczenników aż poza połowę XIX w., zbyt była arystokratyczna,

subtelna i wzniosła w swej istocie i nie udawało się jej przełożyć na żadną mitologię, której domagają się tłumy. I właśnie na użytek tłumów powstały nowe mitologie i spotkały się z powodzeniem, ale były to mitologie, które pogłębiały zło i pod pozorem wolności i sprawiedliwości prowadziły nieświadomych ku ciężkiej niewoli, ku utracie "vivendi causas propter vitam". "Choroba wieku", romantyzm, nie uległ całkowicie pod naporem naiwnie abstrakcyjnego pozytywizmu i nauki, ale stał się bardziej mętny i zmysłowy i przejawiał się w nowej formie, w mitach politycznych XX wieku, w zalewie irracjonalizmu. Rząd dusz pozyskały nie filozofie poważne, ale owe w różnym stopniu emocjonalne i pseudo-praktyczne, jak nietzscheanizm wysławiający żądę władzy i marksizm, który pogardzając chęcią poznania świata chciałby go zmienić, i teraz wreszcie egzystencjalizm, który punkt wyjścia znajduje w myśli o niczym i pozostaje zamknięty w niej jak w zaccarowanym kole. Poezja i sztuka zbuntowały się poprzez futurystę i jego odmiany i poprzez hermetyzm przeciw odwiecznemu prawu piękna i przeciw wszystkim geniuszom, (którzy od setek i tysięcy lat temu prawu podlegali i przez to właśnie byli geniuszami), oraz zerwały więzy z duszą ludzką, gasnąc jałowo w impresjonizmie i sensualizmie. Oóż dziwnego, że owe dążenia moralne, owe formy myśli, czy raczej bezmyśli, owa niepoetyczna poezja przygotowały i pobudziły tendencje polityczne, których kierunek określiliśmy powyżej? Upokorzenie myśli, zubożenie odczucia piękna, zgaszenie zapалу religijnego i moralnego prowadzą do bierności i dobrowolnego niewolnictwa, które w pewnych, a nawet w wielu wypadkach przybiera formę religijną będącą fanatyzmem.

Wydaje się, że Jouvenel w swojej analizie patrzy w przyszłość z rozpaczą i ze spoglądając wstecz na swoich poprzedników w wyznaczaniu naturalnego biegu Władzy i nazywając ich "niepotrzebnymi Kasandrami", zalicza również i siebie do tej kategorii: "Azaliż wiemy — mówi on w końcowych słowach swej książki — czy bieg społeczeństw nie jest rządzony nieznanymi prawami? Czy leży w ich możliwościach uniknąć błędów na skutek których umierają? Czy nie są niesione ku tym błędom nieubłagany prądem, tym samym który je kieruje ku rozkwitowi? Czy ich rozkwit i owocowanie nie odbywa się kosztem wybuchu form, które gromadziły ich siłę? Sztuczny ogień, który pozostawiałby poza sobą jedynie bezkształtną masę, zdana na despotyzm, lub anarchię..."

W istocie, nie wiemy tego, i jest to możliwe: ale właśnie dlatego, że nie wiemy, nie możemy żadnej stąd wyciągnąć reguły dotyczącej naszego osobistego postępowania, od którego nie możemy się uchylić, nawet pozostając w bezczynności. Sam Jouvenel słusznie rozprawia, właśnie w tym ostatnim rozdziale swej książki, o "zachowaniu", czyli o wychowaniu do życia społecznego, krytykując poziom do którego spadło ono obecnie; i mówiąc to, tym samym kieruje nas do dzieła i przypo-

mina obowiązek. Każdy z nas może codziennie w rozmaity sposób uczestniczyć w dziele odbudowy, wzmocnienia, nadania żywotności i walczącego ducha umiłowaniu wolności. I nie żądając, ani oczekując absurdu, którym by była zmiana natury polityki, przeciwstawić jej siłę niepolityczną, której polityka nigdy doszczętnie nie zniszczy, gdyż zawsze na nowo kiełkuje ona w piersi człowieka, i z którą zawsze będzie się musiała "politycznie" liczyć. Czystość takiego naszego działania zagwarantowana jest tym, że może ono tylko uzdrowić naszych nieprzyjaciół i przeciwników, którzy tak jak my nie mogą nie mieć w sercu ziarna wolności, umiłowania prawdy i piękna, i których fanatyzm wynika często nie ze złej woli, ale jak wspominaliśmy, z fałszywego wyobrażenia dobra. Czy zdołamy uczciwym i wytrwałym dziełem ocalić bliską przyszłość dla nowych pokoleń? Czy też wysiłek obecny wyda owoce w innej, bardziej oddalonej epoce? (Nie pójdzie nigdy na marne, gdyż wolność dźwiga się zawsze jako zasadniczy element życia i nawiązuje do swej tradycji). Nie znamy przebiegu przyszłych wypadków, lecz wiemy, że wolność jak była tak jest obecnie na świecie, choćby przejawiała się dziś jako "ecclesia pressa", a nie jako "ecclesia triumphans", i dlatego winniśmy nadal ją czcić i utrzymywać żywą w nas i w innych, cierpiąc i oczekując.

Benedetto CROCE.

Tłumaczył K. A. JELEŃSKI.

O kulturze amerykańskiej

Opinia Zygmunta Nowakowskiego o kulturze amerykańskiej wywołała reakcję w formie artykułu Aleksandra Hertza umieszczonego w "Kulturze" ze stycznia 1952 roku. Reakcja powyższa nie powinna wyczerpać sprawy tak ważnej jaką jest ustosunkowanie się opinii polskiej do narodu amerykańskiego. Odwrotnie, ożywiona wymiana zdań przyczynić się powinna do lepszego zrozumienia tak kultury narodu decydującego obecnie na terenie międzynarodowym jak i jej przemian, dokonywanych pod naciskiem problemów naszych czasów.

Przeżywamy w skali światowej dramat walki dwóch światopoglądów. Stany Zjednoczone stały się ośrodkiem krystalizacyjnym sił materialnych i moralnych tzw. narodów wolnych i ich niezaprzeczonym przywódcą. W St. Zjedn. tkwi jedyna nadzieja narodów Europy obrony przed zalewem fali idącej od Wschodu, która na zawsze pochłonięłaby ich wolność i wartości ich kultur, z których są dumne. W takiej chwili p. Nowakowski oświadcza, że kultura tego przywódcy jest "kulturą standardową, obcą nam, zmechanizowaną, odpychająco-trywialną". Jeśli pod słowem kultura rozumieć będziemy własności intelektualne i moralne, przejawiające się w życiu indywidualnym i społecznym to moja teza jest wręcz odwrotna do opinii p. Nowakowskiego. Kultura amerykańska nie tylko nie jest "trywialna" i "odpychająca" ale posiada wyjątkowe wartości, które w chwili obecnej dają tylko jej kwalifikację do wytyczania drogi rozwojowej w oparciu o najbardziej cenne dla nas elementy kultury europejskiej. Żaden inny naród nie może wykonać tego zadania i dlatego przyjęcie opinii p. Nowakowskiego prowadzić musi do nihilizmu. Nie wątpię, że opinia ta nie jest rezultatem pracy myśli znanego i osobiście przeze mnie cenionego publicysty, lecz raczej wpływu jego temperamentu, podlanego goryczą emigranta i zamknięciem do nie tyle słusznym ile mocnym zdani. Można by przejść do porządku dziennego nad tą niefortunną wypowiedzią gdyby nie to, że wypowiedzi p. Nowakowskiego są wciąż drogowskazami dla wielu inteligentów polskich, nie lubiących wysiłku własnego myślenia i gdyby nie fakt, że ujemna opinia o Ameryce rozpowszechnia się silnie wśród Polaków po wojnie. Znajduje ona podatny grunt reakcji uczuciowej, wywołanej stosunkiem Ameryki do spraw powojennych polskich, a specjalnie zaprzepaszczeniem przez Roosevelta interesów ofiar-

nego sojusznika polskiego w Teheranie i Jałcie. Taka reakcja emocjonalna ułatwia przerzucenie odpowiedzialności za klęskę polityki naszej z czasów wojny, lecz utrudnia bardzo zrozumienie kultury i posunięć polityki amerykańskiej na terenie międzynarodowym.

Niezrozumienie rzeczywistości amerykańskiej obciąża najbardziej czołowych przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Zrozumienie kultury amerykańskiej jest w ogóle trudne dla Polaków, których kultura jest tak różna. Podejście emocjonalne, niesuszona generalizacja różnych faktów, podsumowanie zjawisk ujemnych a pomijanie dodatnich odbija kulturę amerykańską w psychice polskiej jak w krzywym zwierciadle. Takie stanowisko ciąży na rozwoju dobrych stosunków ze starą emigracją polską w Ameryce i odbija się fatalnie na konstruktywności polskiej myśli politycznej zmuszonej do liczenia się z obcą jej i nieznaną mentalnością amerykańską. Opinia podróżujących politycznych działaczy, wypowiedzi prasy polskiej i dokument jakim jest doskonała książka byłego naszego ambasadora w Waszyngtonie p. Ciechanowskiego, dostarczają dosyć danych, by zwrócić uwagę na to zagadnienie, które nie usunięte — stanie się jeszcze groźniejsze dla interesów polskich w przyszłości.

Jest najwyższy czas na rozpoczęcie przez Polaków studiów nowoczesnej kultury amerykańskiej dla stworzenia poważnego źródła informacji. W braku takiego źródła dyskusja na ten temat w "Kulturze" powinna wzbudzić zainteresowanie tym zagadnieniem i przyczynić się do przewietrzenia nieco stęchłych i wypaczonych wiadomości o St. Zjednoczonych.

Opinia o kulturze amerykańskiej powstaje pod wpływem prasy codziennej, literatury i wypowiedzi tzw. naocznych świadków. Pan A. Hertz zanalizował i wyjaśnił małą wartość tych źródeł jeśli chodzi o formowanie ogólnej opinii o kulturze St. Zjednoczonych. Niedoświadczony obserwator kultury amerykańskiej będzie zdezorientowany, jeśli nie potrafi spojrzeć na ten kraj z pewnej perspektywy. Jak całość przedmiotu może być sfotografowana tylko z pewnej odległości, zależnej od jego wielkości, tak całość kultury amerykańskiej nie może być uchwycona z bliska, lecz tylko z perspektywy lat i historii. Wymaga tego wielkość i różnorodność regionalna tak terytorium jak i ludności. Książka Johna Gunthera o Ameryce ("Inside U.S.A.") jest przeładowana faktami i danymi statystycznymi. Przedstawia ona poważne źródło informacji o Ameryce z r. 1947 lecz jest znacznie mniejszej wartości jako źródło wiadomości o kulturze amerykańskiej. Wiem z własnego doświadczenia jak mylne są pierwsze wrażenia z Ameryki, oparte na powierzchownym notowaniu życia zewnętrznego tego kraju. Po 6-ciu miesięcznym pobycie sądziłem, że poznałem kulturę amerykańską i mam już o niej wyrobioną opinię. Obecnie po 11 latach pobytu wiem, że podstawą do poznania kultury amerykańskiej jest nie tylko obserwacja, lecz ponadto dodatkowe poważne studia. Naczelna obserwacja, właśnie w chwili obecnej musi zawieść, gdyż kul-

tura ta nie jest w stanie statycznym ale w stanie ciągłych, doniosłych przemian. Może ona być uważana za pomost między starą kulturą europejską, która była dla niej pożywką, a kulturą przyszłości, do której łatwiej niż każda inna może się dopasować. Z tej przyczyny należy na nią patrzeć nie przez pryzmat dnia dzisiejszego lub przeszłości — lecz z punktu widzenia przyszłości.

Rola przywódcy świata wolnych narodów została narzucona Ameryce ze względu na jej potęgę materialną, jednak utrzymanie tej roli zależy będzie wyłącznie od wartości jej kultury. Oparcie tej roli na materialnej potędze byłoby krótkowzrocznością i zgubą. W okresie gdy najnowocześniejsze fabryki stają się przestarzałe po kilku latach, potęga techniczna nie zasilana odpowiednią psychiką zbiorową podda się niewątpliwie szybko rozkładowi i zniszczeniu. Nie potęga materialna i techniczna St. Zjednoczonych, ale wartość ich kultury wpłynie ostatecznie na zwycięstwo czy ich rozkład w walce świata dzisiejszego. Wartości kultury amerykańskiej najbardziej ważne dla świata przyszłości zawarte są w następujących jej cechach: 1) w dynamizmie, giętkości oraz w rozmachu myśli w rozwiązywaniu zagadnień, 2) w anglosaskiej podstawie tej kultury, 3) w braku tradycji, 4) w dopływie elementów innych kultur.

Dynamizm kultury amerykańskiej nabrał w ostatnich 20 latach nowego impetu, kierując się również na inne tory rozwojowe. Treść nowoczesnej historii St. Zjedn. wypełniona jest rozwiązywaniem problemów powstałych na skutek: a) wstrząsu gospodarczego w latach 1920-1930; b) międzynarodowego kryzysu powojennego; c) wynalezienia przez St. Zjedn. energii atomowej, ustalającej punkt zwrotny w historii świata.

Wstrząs finansowy z października 1929 r. spowodował koniec nieograniczonego dynamizmu indywidualnego i liberalizmu ekonomicznego. Rozpoczął on okres dynamizmu społecznego, wywołującego się nie w czynach indywidualnych, lecz w daleko sięgających i zawzięcie zwalczanych reformach gospodarczych i społecznych. Akty New Deal'u w latach 1933-1935 miały bardzo zasadnicze cele tj. zorganizowanie gospodarki narodowej na zupełnie nowych podstawach przez związki przemysłowo-handlowe, robotnicze oraz stowarzyszenia producentów i konsumentów. St. Zjedn. w tym czasie były na drodze do zupełnego przeobrażenia. Nie zostało to dokonane, gdyż w r. 1935 Sąd Najwyższy zadał silny cios New Deal'owi w urzeczywistnieniu jego zamiarów. Unieważnił on, jako sprzeczny z zasadami konstytucji tzw. NRA (National Recovery Act), który dążył do uregulowania stosunków między przedsiębiorstwami a robotnikami. Powstały jednak siły społeczne, ugrupowane dookoła New Deal'u i dążące do skierowania kapitalizmu na drogę służby interesów społecznych i do ograniczenia wpływu jego na życie państwa. Gwałtowność tych przemian można zrozumieć porównując okres New Deal'u z poprzedzającym okresem wyuzdania indywidualnego i gospodarczego. Zwolniony rozwój akcji New Deal'u i za-

wzięta walka przeciw niemu staje się treścią polityki wewnętrznej późniejszych lat i chwili obecnej. Przemiany dokonane przez New Deal są kluczem dla zrozumienia nowoczesnej kultury amerykańskiej i roli w niej Roosevelta, który pomimo swych późniejszych błędów w polityce międzynarodowej pozostanie na zawsze dla narodu amerykańskiego wielkim leaderem.

W amerykańskiej polityce zewnętrznej dokonały się w ostatnich 10 latach niemniej ważne i rewolucyjne dla psychiki amerykańskiej przemiany. Dawny, silnie zakorzeniony, bo wygodny izolacjonizm — cofa się pod naciskiem nakazów polityki międzynarodowej. Walka przeciwko bezkompromisowemu i zachłannemu komunizmowi sowieckiemu zmusza cały naród do wyłączenia energii. Walka idei każe się liczyć z psychiką innych narodów, na które dotychczas nie zwracano uwagi — i zmiany własnego światopoglądu zaczęły nabierać więcej cech międzynarodowych, wymaganych przez rolę przywódcy. Walka ta nie jest bez dodatkowego znaczenia dla rozwoju kultury amerykańskiej. Wielki dobrobyt materialny zabezpieczony dawniej przez oceany mógł doprowadzić do zmaterializowania kultury amerykańskiej, jak przepowiadano, do osłabienia woli narodowej i spoczęcia na laurach. Niebezpieczeństwo takie istotnie groziło narodowi amerykańskiemu. Przestrogą stał się kryzys gospodarczy w 1929 r. zaś prawdziwym wybawcą — Stalin.

Choćliki historii często płatają figle wielkim ludziom wywołując najmniej oczekiwane rezultaty, często wręcz odwrotne od zamierzonych. Junkrzy pruscy, wysyłając w roku 1917 Lenina w zaplombowanym wagonie do Rosji, aby ją zniszczyć, nie mogli przewidzieć, że gotują własną zgubę i że już w 28 lat później armia sowiecka będzie panem Berlina. Jeśli niektórzy historycy angielscy uważają, nie bez podstawy, że bohaterska Joanna d'Arc powinna być czczona również w Anglii, gdyż uratowała Anglików od despotyzmu, to jest możliwe, że przyszli historycy amerykańscy stwierdzą, iż głównym promotorem wspaniałego rozwoju i potęgi kultury amerykańskiej był Stalin. Nie możemy przewidzieć wyników zmagania się St. Zjedn. z Sowietami, lecz już wiemy, że postępowanie Stalina przyczyniło się do porzucenia przez Amerykę wygodnego życia i przedstawianie się jej na całej linii do gotowości do ofiar i długiej walki.

Głównym narzędziem tych czynów stanie się prawdopodobnie energia atomowa, mająca sama w sobie charakter rewolucyjny. Poczynając od legendy o Prometeuszu wszystkie wynalazki połączone z ujarzmianiem nowych źródeł energii były zawsze silnym bodźcem w rozwoju ludzkości. Z natury rzeczy energia atomowa jest przeznaczona do wielkich przedsięwzięć. Stanie się ona siłą która niewątpliwie rzeźbić będzie nowy świat tak pod względem materialnym jak i pod względem moralnym, wpływając na zmianę światopoglądu, a stąd na zmianę wychowania i wykształcenia. Hasło "jeden, wspólny świat" staje się w oślepiającym blasku bomby atomowej nakazem. A jednocześnie

blask ten oświecił szerokim masom znaczenie ostatnich osiągnięć nauki i techniki. Osiągnięcia te wykazują lepiej aniżeli wszystkie zawiłe filozofie fakt, że nasz świat zmysłowy jest tylko małą częścią, świata niematerialnego, który poznać możemy przez myśl jako objawienia ducha. Gdy dawniej racjonalizm był synonimem zmateralizowania, w przyszłości stanie się on synonimem uduchowienia.

Posiadanie źródła wielkich możliwości w dziedzinie tworzenia nowej kultury, a jednocześnie olbrzymiej siły niszczycielskiej nakłada wyjątkową odpowiedzialność i obowiązki na naród amerykański, który czuje się nieco zaskoczony szybko rozwijającymi się wypadkami. Wielkość tych zagadnień na szczęście odpowiada charakterowi amerykańskiemu lubującemu się w dużych przedsięwzięciach. Widoczny rozmach w pracach nad energią atomową i fakt, że rozwój energii atomowej pozostał w ręku osób cywilnych wskazuje na dalekowzroczność polityki amerykańskiej. Kultura obecna St. Zjedn. dostosowuje się prędzej do swych zadań aniżeli przypuszczano. Ta zdolność dostosowywania się ma swe źródło w trzech innych wskazanych poprzednio cechach kultury amerykańskiej z których najważniejszą jest jej podłoże anglosaskie.



Nie jest bez znaczenia, że John Locke był Anglikiem i że jego filozofia stała się dość wcześnie podstawą formowania umysłów anglosaskich. Miała ona dość czasu by wyrzucić swój głęboki wpływ na późniejszych kierowników rewolucji amerykańskiej. W samej Anglii ewolucja tej filozofii i warunków życia doprowadziła do przemian, które pozwoliły w naszych już czasach na zbliżenie się Anglików nawet do systemu socjalistycznego, całkowicie odmiennego od tego w co Locke i jego wyznawcy wierzyli. W odróżnieniu od Anglii, filozofia Locke'a zapuściła w St. Zjedn. znacznie mocniejsze korzenie. Skutki poglądów Locke'a w dziedzinie moralnej, religijnej i politycznej odbiły się jak w lustrze, w najpiękniejszej deklaracji narodowej jaką znam. Deklaracja Niepodległości z r. 1776 jest najbardziej charakterystycznym wyrazem kultury amerykańskiej. Wyrażone w niej myśli były natchnieniem i motorem postępowania większości przywódców amerykańskich i po dziś dzień są one kamieniem węgielnym dla zasad narodu amerykańskiego. Teorie Locke'a stały się źródłem tak wartościowych i rzadkich na świecie cech kultury amerykańskiej jak poszanowanie człowieka i tolerancja. Przyczyniły się one również do formowania charakteru anglosaskiego, pozbawionego namiętności i zbalansowanego emocjonalnie.

Locke stawiał emocje w życiu człowieka na trzecim planie, uważając za istotne tylko sprawy materialne lub sprawy ducha, zdaniem jego, bezemocjonalnego. Opanowanie stanów emocjonalnych połączone było u Anglosasów z formowaniem charakteru i pozwoliło im skoncentrować się na wyczynach myśli

i pracy produkcyjnej. Stworzyło to podatny grunt tak dla angielskiej akcji kolonizacyjnej jak i dla takich wyczynów, jakim była Rewolucja Przemysłowa z końca 18-go stulecia. Jest rzeczą charakterystyczną, że rewolucja ta jest prawie zapoznawana przy nauczaniu historii w Polsce, chociaż jej skutki okazały się dla świata znacznie ważniejsze od rewolucji francuskiej, pełnej przejawów emocjonalnych.

Zbalansowanie emocjonalne narodów powinno mieć specjalne znaczenie dla przyszłości. Historia ludzkości jest zbiorowiskiem czynów skrzywionej psychiki ludzkiej, będącej pod przemożnym wpływem emocji. Emocje te stały się główną przeszkodą w rozwoju współżycia wywołując zacietrzewienie i uniemożliwiając wysiłek zrozumienia się narodów. Panowanie emocji nad myślą musi się skończyć. Istotny postęp w rozwoju naszej cywilizacji powinien wyrazić się w sformowaniu psychiki ludzkiej, kontrolowanej przez myśl. Myśl jako wynik akcji "teoretycznego składnika" naszej jaźni musi być w harmonii z czynnikiem uczuciowym ducha, jeśli ten czynnik oczyszczony będzie od wpływów zmysłowych. Przeciętym typem cywilizacyjnym nadchodzącego okresu powinna być jednostka emocjonalnie zdrowa, zdolna do współpracy. Nowy świat zbudowany będzie nie przez dyplomatów lecz przez odpowiednie wychowanie i wykształcenie. Anglosasi wykazują największe zrównoważenie swoich stanów emocjonalnych co jest prawdopodobnie jedną z ważnych przyczyn niezrozumienia i nie lubienia ich przez resztę świata gdzie barbarzyńska emocjonalność panuje prawie wszechwładnie. Daje to jednak psychice anglosaskiej wielkie atuty w kształtowaniu przyszłości. W związku z tym, ciekawy jest raport komitetu uniwersyteckiego w Harvard, ogłoszony w r. 1945 pod tytułem "Oświata ogólna w wolnym społeczeństwie", a opracowany przez dwunastu znanych profesorów z wydziału sztuki i nauk i z wydziału spraw oświatowych uniwersytetu w Harvard. Odzwierciedla on dobrze wartość nowoczesnej mentalności anglosaskiej tak obcej nam, Polakom, a która wysunęła te narody na czoło naszej cywilizacji. Mentalność ta pojmuje kulturę ducha nie jako oderwane pojęcie, ale jako czynnik pozostający w ścisłym związku z życiem społecznym i z kształceniem charakteru. Kult charakteru wysuwa się na czoło. Celem oświaty według raportu powyższego jest kształtowanie człowieka zrównoważonego emocjonalnie, dostosowanego do potrzeb życia. Według raportu "rozum jest środkiem do kierowania życiem, mądrość jest życia tego kunsztem". Głównymi celami wychowania jednostki jest rozwój zdolności konstruktywnego myślenia, zdolności do przekazywania swych myśli i zdolności do obiektywnego sądu i umiejętności wartościowania.



Na skutek długiej historii, nagromadzonym tradycjom i właściwościom psychiki spaczonych przez panowanie nad trzecią częścią świata przez stulecia, mentalność Anglika stała się eksklu-

żywna, tracąc swoją wartość dla innych narodów. Odwrotnie, psychika anglosaska w Ameryce stała się bardziej dostępna dla większości narodów dzięki wchłanianiu przez nią elementów z innych kultur. Kultura amerykańska nie wytworzyła na szczególne tradycje będących przeszkodą nie do przebycia dla cudzoziemców w Anglii. Od zarania swej historii kultura anglosaska w Ameryce zaczęła się stykać z Francuzami, Holendrami, Hiszpanami, Indianami i Murzynami, a później z Włochami, Słowianami i narodami Wschodu. Światopoglądy purytanów, kalwinistów, katolików, protestantów ścierały się swobodnie w tej kulturze, bez rozpasania emocjonalnego, które dało tak fatalne rezultaty w Europie. Przez stapianie się elementów innych kultur w kulturze anglosaskiej wytworzyły się specyficzne warunki rozwoju kultury amerykańskiej. Rezultatem tego była kultura, oparta na kulturze anglosaskiej, ale różna od kultury angielskiej, wytwarzając nawet różny od angielskiego język, jak na to wskazuje H. L. Mencken razem z wydawcami słownika amerykańsko-angielskiego (Dictionary of American-English). Kultura ta rozwijała się w stałych zmaganiach z naturą i trudnościami w zagospodarowaniu nowych obszarów, pod technieniem wiatrów z wielkich równin, surowości Gór Skalistych, gorącego Południa i barwnego Zachodu. Odrzucił rozmach życia amerykańskiego przyzwyczaił Amerykanina do rozwiązywania problemów w skali największej, a brak tradycji i klas społecznych w znaczeniu europejskim, stworzył typ Amerykanina o zwyczajach prostych, mózgu otwartym, duchu pionierskim, nieco bardziej emocjonalnego od Anglika, starającego się zrozumieć innych, zdecydowanego zawsze na kompromis rozumny. Ta ostatnia cecha myślenia anglosaskiego jest specjalnie ważna dla przywódcy międzynarodowego w nowych czasach. Gdy pojęcie kompromisu u innych narodów, a specjalnie u Polaków, jest wskaźnikiem słabości charakteru, oznaką braku kośćca moralnego, niegodnego człowieka, Anglosas uważa kompromis za istotne narzędzie postępu (A. Whitehead). John Gunther wyciągając wnioski ze swych obserwacji nowoczesnego życia amerykańskiego stwierdza, że Ameryka więcej aniżeli inny naród na świecie, z wyjątkiem może Anglii, wierzy w kompromis. Kompromis ten dla Amerykanina oznacza racjonalne podejście do życia i współpracę osiągniętą na honorowych warunkach dla obu stron po lojalnych starciach dyskusyjnych. Przeoczeniem tej ważnej cechy anglo-saskiej tłumaczyć należy spotykane w szeregu wypadkach niezrozumienie postępowania polityki amerykańskiej.



Nie jest celem moim przedstawiać kulturę amerykańską jako ideał. Znam jej braki. Długa lista tych braków nie zaprzeczy jednak że jest to kultura młoda, bez narośli przesądów, posiadająca "common sense" i pozbawiona ważniejszych wad psychiki innych narodów. Kultura ta jest w stadium wielkich prze-

miar. Ciepły stan wykazuje duże jeszcze sprzeczności wewnętrzne. Takie anachronizmy jak pogląd Lock'a o państwie, głoszący że państwo jest tylko po to, by bronić własności prywatnej, stanowi credo jeszcze wielu Amerykanów. Te przeżytki muszą być w jakiś sposób uzgodnione z tendencjami nowoczesnej demokracji ekonomicznej, silnie już utrwalonej. "Człowiek ekonomiczny" wciąż góruje tu nad "człowiekiem społecznym" i nadszarpnięty duch współpracy ma jeszcze w St. Zj. niezakończoną rozgrywkę z panującym tu wciąż duchem współzawodnictwa gospodarczego. Dostosowywanie się jednak do tendencji naszych czasów odbywa się tutaj najswobodniej, nie pod wpływem stanów emocjonalnych i uprzedzeń, lecz na podstawie wolnego ścierania się nakazów rzeczywistości i myśli. St. Zjednoczone są w chwili obecnej jakby wielkim laboratorium społecznym, bogatym w możliwości, w którym dokonuje się synteza kultury przyszłości. Tutaj, dzięki wolności w ścieraniu się i wypowiedzaniu opinii publicznej, dzięki bogactwu informacji, można najlepiej obserwować powstawanie sił, które decydować będą o przyszłości. Z tego laboratorium wyjdzie prawdopodobnie odpowiedź na zasadnicze pytanie — czy możliwe jest pogodzenie wolności indywidualnej z gospodarką kierowaną? Stąd wyjdą prawdopodobnie wzory budowy społecznej nadające się do przyjęcia przez kultury innych narodów. Kultury te pozostając odmienne muszą ustalić jednak wspólną podstawę postępowania na terenie międzynarodowym. Alternatywy są tylko dwie. Albo te wzory będą wskazane przez St. Zjednoczone, albo będą nakazane przez fanatyków sowieckich.

Stany Zjednoczone idą własną drogą empirycznego dostosowywania się do nowej sytuacji z psychiką niezamąconą zaciełtrzewieniem, i co najważniejsza, bez idei posłannictwa, która w historii świata zawsze była usprawiedliwieniem sięgania po cudze. Droga ta pełna jest zakrętów i odchyłeń, ale kultura krocząca po tej drodze ma najwięcej możliwości wskazania nowych widoków nie mieszczących się w ramach emocji i myśli Starego świata.

W. SZUKIEWICZ.

«Dziewczyna z nóżkami na księżycach»

Dlaczego wszystko tutaj miało być tak straszne, tak oczywiste i tak straszne? Może dlatego, że było to o późnej jesieni kiedy słońce zaciągnawszy na twarz kaptur nisko leżących chmur przychodziło późno, ranami, rana ostre i chłodne jak stal przyłożona do karku. Wśród tego sterczały tylko w niebo sztywne pnie drzew, jakie to były drzewa? choć wysilałam się to nie mogę powiedzieć teraz, może to były olchy, chociaż olchy to rosną na wodzie, może to były, ale naprawdę nie wiem, zresztą dla niepoznaki drzewa te, tym drzewom obcinano gałęzie, przycinano je, tak że w górę sterczał jedynie tępy pień, włochaty od rosnących, obrastających go odnóg, prętów. I tak wszędzie, gdzie obrócić oczy sterczały po polach, poobsadzone na ich granicach kamiennych, na żywopłotach te pnie. To miało dodawać niesamowitości temu krajobrazowi, może na pamiątkę Markiza de Rhais, który w swych szalonych ucieczkach i wędrówkach po pustkowiach, nawet widlastym gałęziom, rozwidleniom ich przypisywał prześladowcze i uparte znaczenie.

Wśród tego krajobrazu, który jeszcze do teraz jest mi rudy i oliwkowy w oczach, pozostało mi przeczekać wiele tygodni. To była twarda ziemia i spod niej wylażyły czerwone skały, wylażyły, wysadzały się jakimś uporem, aby na przekór uczepionemu tu życiu pokazać że to tylko ułuda że naprawdę to liczą się i przetrwają one, palce martwoty wygrzebujące się spośród ziemi jak palce trupa, kiedyś przysypanego żywcem, kurcz ich i beznadziejny apel i szyderstwo dokonanej rzeczy na urągowisko i trwogę pozostałym nam tutaj. Może gnój tej ziemi, śmierdzącej nawozem, nawóz wszędzie, w dużych kupach nawiezionych na pole, sujący się z ciężkich dwukółowych wozów, zaprzęgniętych w ciężkie konie na sztydło, kiedy ołowiane ich łby pochylone są w wysiłku, gnój walający się w rowach, wleńcący żywopłoty, lepiący się do butów, po prostu wyczesywany z włosów, na sprzeciw, na przekór martwocie trzymającej pola w swym posiadaniu. Wydawało się że właśnie ten gnój był najbardziej przekonującym dowodem życia, fermentująca miazga, agar dla nas żyjących, skisłe życie, osocze w które wracamy, zbawienny cuch dla naszych żartych przez lasieczniki śmierci płuc.

Wśród tego wlepieni w ten gnój, żyli chłopci, czarne przeczki na tle krajobrazu, twardo w nim żyjący, oczywiście, jakże oczywiście i w pejzażu, chłopci chłopskością taką że jakby byli innym gatunkiem człowieka, nie rozumiejący, patrzący zimno i blade, uczepieni rękami tej ziemi, poruszający się jak robactwo pośród tragicznie stężących kłykci czerwonych skał.

Raz tylko stamtąd uciekłem na parę dni, wydawało mi się że czarny sabot nastąpił mi już na gardło i dlatego uciekłem, a potem zawróciłem się zawstydzony. Bo i czegoż uciekać choćby nawet od takiego człowieczeństwa, czemu nie podeprzeć się, nie podeprzeć tej rzeczywistości.

Czyż nie winienem powiedzieć o swoim najbliższym kręgu, na kwatery gdzie przyszło mi popasać. Otóż miałem izbę czy pokój na pięterku, wchodziło się naprzód przez kuchnię na dole, potem schodkami do góry i do swego pokoju musiałem przechodzić przez pokój gospodarzy. Moimi gospodarzami to była właściwie rodzina kobiet, trzy kobiety, stara matka, żująca bezzębnymi, wyjedzonymi zębami, co to podobno jest od picia cidru, więc mekła tymi bezzębnymi żuchwami ale była jeszcze wcale żwawa i ona to prowadziła gospodarstwo. Potem były dwie córki. Jedna z nich pomagała matce w gospodarstwie a druga była chora i złożona właśnie w tej ich izbie na górze przez którą musiałem przechodzić na swoją kwaterę.

Nie umiem powiedzieć co było owej cierplivej pacjentce a mojej sąsiadce. Była służącą w mieście, w Paryżu, gdzie wiele Bretonek idzie na służbę, ale kiedy dotknęła ją jakaś dolegliwość to naturalnym porządkiem rzeczy powróciła do rodzinnej wsi. Nie wiem właściwie co jej było. Ręce i palce miała okręcone jakimiś szmatami, jakieś mitenki kryły nieprawdopodobne schorzenia i właściwie w rzadkich chwilach kiedy przechodziłem, przemykałem się do swoich leży, sakramentalnie witając i żegnając chorą konwencjonalnym "Ca va?" to widziałem z niej tylko te jej ręce okręcone czarnymi szmatami i palące się oczy, czy patrzące za mną z czeluści ich samotności i zamknięcia.

Co by nie dodać, o czym by to nie powiedzieć żeby jeszcze lepiej oddać atmosferę, timbre tego krajobrazu. Czyż nie winienem opowiedzieć o swym sąsiedzie, facecie skłóconym z całą wsią, jako że wśród tych katolickich, czarnych chłopów Wandel reprezentował libertynizm, antagonizował specyficznym rodzajem francuskiego komunizmu, mały facet o wyleniałej bródce, w krótkich bryczesach wpuszczonych w zielone pończochy, kiedy wybierał się na swoje myśliwskie ekskursje. Był bardzo w krajobrazie, sportsman, typowy sportsman francuski, z fuzją wybierający się na polne włóczęgi, trochę podobny w tym do włóczęgi kociska, jakiego spotykamy wśród pól i miedzi w jego apaszkowych wyprawach.

Trofea które przynosił, ofiary drobnego śrutu Gevelot, krzyżował potem i rozpinał na wrotach i drzwiach swego obejścia. Dziwaczna, bolesna kolekcja, tragiczne muzeum historii naturalnej, ptaki rozbite w krzyż, przygwożdżone do tych bram,

czaple o stalowych piórach, kuliki, bekasy, czajki, sójki, wydawało się że to obraz, wnętrze, fantazja mózgu tego małego faceta wyrażała się artystycznie, ucieleśniała w tych eksponatach, wydawało się że to jego myśli zbiegłe, ptasie, uciekle, zestrzelone na uroczyskach i zdradzone, wystawione tu na pokaz tłumaczą nam coś chaotycznie o nim samym. Ile razy wracałem na kwatere to odwracałem głowę ażeby nie widzieć nowego dodatku, jaskrawszego znaku o rozpiętych skrzydłach i rozwartym w krzyku dziobie.

Wpółśród tego, zwykle na pustym miejscu, ale zdarza się, że jedzie się autobusem i przeciska się jego pudło pośród ciasnej uliczki wsi, domy, progi kamienne i czerwona reklama stacji benzynowej i wspina się, wlokąc za sobą odwłok potwora, dolmen, krzywy stół druidyczny, beczelnie kumający się z domami żyjących, maskarada na skalę setek czy też tysięcy lat, taki skamieniały gabinet osobliwości, jarmarczna, druidyczna ciekawość. Która nie będzie spędzać mi snu z powiek, ta osobliwość godna popularyzujących magazynów na tematy "technicznonaukowe". Ach, to może właśnie ugłaskiwała mnie ta kolekcja dziwolągów, może dodawała błazeństwa i dzięki temu rozpraszała nagle i nie wiadomo czemu napięte we mnie niesamowite uczucie odbierania samego kraju.

Kiedy poszedłem za czymś tam popytać do domu niejakiego Guy Detoq to bardziej przejęło mnie to co zobaczyłem we wnętrzu tego domu. Ciemna izba, wielka jak kaplica z jedną ścianą zabudowaną dziwną strukturą z ciemnego, wyszlizganego drzewa, olbrzymia kombinacja szaf, komód, skrytek, półek i łoża małżeńskie w jednym kawałku, całość jakby to był ołtarz i konfesonai i chrzcielnica w jednym, niesamowita kombinacja, z drzewem wypuczoną od starości, pokrzywione to na cynkach, łoże zasłonięte jak błoną, draperią, jak nisza w rzymskich katakumbach.

I komin z otwartym ogniem, u którego progu wyszorowane przez użycie, wygładzone dłońmi pokoleń narzędzia, szczypce, miech z czarnej skóry w serce wycięty, miedziany kocioł, ruszt czarny od starości i węgla, hak usmolony i trójnóg. A przed kominem malutkie stołeczki, z siedzeniem uplecionym ze słomy, najniesamowitsze z tego wszystkiego, lilipucie, niziutkie, puste i zapatrzone w ogień zapatrzone aż do chwili kiedy raz rano byłem u Detoq'a, bardzo wcześnie rano. I wtedy na tych stołeczkach siedziały dzieci, zerwane wcześniej rano, dzieci jeszcze brudne i posklejane ze snu, w koszulach nocnych, w chłodnym wczesnym poranku, kiedy gdzieś tam warzy się im jakaś kaszka. a dzieci siedziały zapatrzone w ogień, na swych lilipucich stołeczkach, lilipucie i kruche, z kręgami pod oczami, sztywno, twardo, siedziały, wyprostowane w ten zimny, zimowy poranek i patrzyły w pełgający ogień. Ogień był z prasowanych z miazu brykietów, brykiety okrągłe i owalne jak jaja, żarzyły się czerwono i pełgały niebieskim płomieniem, mrugały wielu źrenicami płomiennymi z tego ognia ku dzieciom, które swymi ptasi-

mi oczami, przyniesionymi ze snu wprost, jeszcze odwróconymi w sen, patrzyły, nie widząc mnie, nie widząc tego rana, nie widząc świata, tylko tamte oczy zakłęte i hipnotyzujące w płomieniu porannego ognia.

Można więc sobie wyobrazić że nie inaczej było jak tylko strasznie. Jedynym jasnym punktem w tym krajobrazie to była, pozał się Boże, kuchnia dywizjonowa. Naprzód kucharz, który został wybrany do tego nie dla jakichkolwiek rekomendacji ale przypadkowo, omal że nie zarznął nożem sprężynowym boguduchawinnego kaprała, bo wydawało mu się że ten zdradził jego kulinarne talenty, nabyte kiedyś w cywilu. A w wojsku nie chciał być kucharzem, i omal że dla zasady nie wypuścił kapralowi kiszek. A byłoby to nieporozumienie i nawet wbrew pasji jaką miał, z jaką był urodzony. Oczywiście jak wszyscy kucharze był bardzo zawsze zafrasowany, nie miał poczucia humoru i niebezpiecznie było robić w jego obecności jakiejkolwiek aluzje żartobliwe o tej sztuce. Ale sama instytucja była najpogodniejszym zakątkiem w tym demonicznym dystrykcie. Nie mogę się nie wykreścić ażeby nie nadawać opowiadaniu o tej kuchni jakiegos facecyjnego tonu, może sprawiało to samo wspomnienie kuchni, jej pogodnego, gorliwego kręgu, jej świateł jarzących się po nocy, ślących głęboko w górę słup rozpełganej pary, jak iluminacja nowoczesnego miasta, może zapach gotujących się flaków, soczystość i solidność i dosytość ćwierci wołowych wiszących krwawo pod belką, kucharz wpółśród tego w zaszmelcowanym fartuchu, pod ręką ma topór i w dłoni właśnie ów śmiertelny nóż sprężynowy, kiedy kraje porcje na posiekanym stole.



Nasze kasyno mieściło się na tyłach sklepiu. Właścicielem sklepiu był czarny jak cygan jegomość nazwiskiem, o ile sobie przypominam Jaloux-Huchet. Miał wiele dzieci i spłodził tę masę do spółki ze swą małą żoną, miłą kobietą o zatroskanych oczach. Zdaje mi się, że dzieci było dziesięcioro, od chłopca osiemnastoletniego do ledwie zaczynającej pełzać małej Renée.

Te dzieci spotykałem rano na swej drodze w drewnianym stukocie sabotów, idące do szkoły w późne, zimne, bretońskie poranki. Chłopcy chowali czerwone od zimna ręce w kieszenie spodni, podnosząc wysoko czarne, kłotowe fartuchy, jakie mali chłopcy we Francji noszą na ubraniu. Poślizgiwali się na zlodowaciałej powierzchni szosy, obramionej niskimi, kamiennymi murami oplecionymi cierniem głogów. W parowie, prymitywna, przywieziona tu w lecie prasa do tłoczenia cidru, stała nieczynna pod niebem styczniowym.

Na obiad schodziliśmy się koło godziny pierwszej. Nasza jadalnia, jak wspomniałem, mieściła się na tyłach sklepiu i w normalnych czasach była pewnego rodzaju odciętym pokojem dla bardziej szanownych czy pragnących samotności, gości. By-

ła wąska i obie ściany zajmowały półki z ubogim towarem sklepiu. Kolorowe barchany i drelichy, kapelusze słomiane, sprzedawane w lecie, nadziane jeden na drugi w wysokie kolumny, rzędy komicznie kolorowych sabotów oszytych skórą i ewentualnie podbitych solidnie gwoździami. Stała tam jeszcze maszyna do szycia i za szkiem szafki stare i zużyte od przewracania książek do nabożeństwa.

Do stołu w kasynie podawała nam dziewczyna, która w domu Jaloux-Houchet była czymś w rodzaju służącej czy też najemnicy. Chyba nie pochodziła stąd, tak to sobie wyobrażałem, bo w przeciwieństwie do ludzi tutejszych, czarnych z czerwonymi plackami rumieńców na policzkach była biała, włosy miała jasne, wyblichowane i w ogóle była tak jakby anemiczna. Zaraz sobie wyszukałem że pewnie jest z Normandii, że tu jej tylko przyszło służyć. Jak jej było na imię to albo nie pamiętam, albo też nigdy nie wiedziałem. Snuła się pomiędzy kuchnią i salką jadalną, przynosząc talerze, nakrywając do stołu, z pochyloną głową i spuszczonej oczami terejarki, czy siostry służebnej, z wypukłymi łopatkami na chudych plecach, trochę szurając sabotami, skrzyp drzwí, odpycha łokciem, bo obie ręce ma pełne talerzy, nie patrzy po nas, tylko po obrusie, wpośród dymu tytoniowego, ścierając plamy, piętrząc wyjedzone talerze, skrzyp drzwí, do ciemnej kuchni i znowu jak łodyga jakiejś rośliny jej ramię sięga poprzez głowy by zabrać salaterkę z resztkami sałaty.

Dla tej pewnie analogii porucznik Boczyła, który spóźnił się na obiad i siedział osowiały, przypominał się jej, cedząc wolno, z przekąsem przez zęby, obdarowawszy ją twardym spojrzeniem:

„Królowno — kwiecie nenufaru — przynieś-że mi zupę”.

Wiadomo że okoliczności, szczególnie facha nasz, wiek, pogoda, zniecierpliwienia, mordęga, egoizm i wiele innych rzeczy pokryły nas takim pancierzem obojętności, tak zrogowaciałem jak pancierz Pieczyngów z rogu kopyt końskich, toteż widziałem innych traktowaliśmy obojętnie i nie byliśmy szczególnie wrażliwi na chropowatość, nietakty innych. Ale w tym wypadku czułem że każdy z nas dezaprobuje niezgrabnie i w myśli, czuje się niezręcznie i nieswojo w chwili kiedy porucznik Boczyła był zaczepnie niegrzeczny wobec dziewczyny podającej do stołu.

Była to bardzo skomplikowana sytuacja. Po pierwsze porucznik Boczyła nie obrażał jej w sposób bezpośredni, wyrażał swoje docinki i uszczypliwości w polskim języku, który oczywiście dla dziewczyny był niezrozumiały. A oskarżać kogoś o intonację głosu, intonację która była oczywista i zrozumiała i obrażająca sama w sobie, to byłby już daleki strzał, zarzut o to byłby poczytywany za prowokację. A z drugiej strony intonacja ta była oczywista i bolesna, jeżeli wierzyć bolesnemu zgarbieniu jeszcze więcej łopatek na chudych plecach dziewczyny, ugodzonej przez porucznika Boczyłę. Poza tym porucznik Boczyła nie brał nikogo na świadka, nie zwoływał sobie ani wspólników ani audytorium, specjalnie do swoich prawie że osobistych wycieczek. Nie po-

rozumiewał się triumfującym wzrokiem z innymi na temat swojego nonszalancko-uszczypliwego traktowania dziewczyny, załatwiał to sobie otwarcie, nie troszcząc się o aprobatę czy też dezaprobatę współbiedniaków. Dodawało to sytuacji jakiegoś szczególnego posmaku, było to intymne załatwianie sobie sprawy pomiędzy porucznikiem Boczyłą a dziewczyną, czy nam się to podobało czy nie, i w tej intymności artykułowanej na jawie, powiedziałbym cynicznie, gdyby o dziwo nie w tym cynicznego nie było, miało to w sobie coś z bycia świadkiem, zaambarasowanym świadkiem sceny małżeńskiej, prania rodzinnych brudów.

A tu znowu paradoks tego że jedyną intymnością jaka zachodziła pomiędzy porucznikiem Boczyłą a dziewczyną to było wyskandowane przez zaciśnięte zęby: „Królow-no-wod-ny-anemo-nie-przy-nieś-że-mi-zupę”. Nie byle jakie zawalidrogi były wpośród nas, porucznik Boczyła nie miał szczególnie daru do jednania sobie przyjaciół, poza tym były i wyższe szarże, które takie nieprzyjemne wypowiedzenia się mogłyby brać także jako osobisty afront, ale konflikt porucznika Boczyły i dziewczyny podającej do stołu był tak przez niego wybalansowany że „muchy nie siądzie”. Pozostawało nam jedynie przejść nad tym do porządku dziennego.

Dobrze to sobie mówić tak, ale żal było dziewczyny kiedy spłoszona, zmieszana, z bolesną zmarszczką na czole pokusowała ciężkimi sabotami w stronę kuchni, ażeby po jakimś czasie trzęsącymi się rękami, z przyciętą zębami wargą i włosami wymykającymi się z płaskiego węzła na karku, ku groźnemu niebezpieczeństwu dla naszych mundurów ściśniętych przy stole, przynieść właśnie ów tak szczególnie pożądany talerz zupy.



Kiedys wysłano mnie do Rennes w sprawie służbowej i po długim jeżdżeniu po mieście, zajechałem na przedmieście przed budynek z czerwonej cegły, który kiedyś był szkołą a teraz był miejscem postoju kadry dywizjonu artylerii 5-tej brygady kawalerii. Budynek był, jak każda budowla gdzie wojsko już powstało sobie trochę, brudny i odrapany. Dyscyplina i porządek wojskowy idą w parze ze specyficznym wojskowym brudem, zawsze wykłwita w rogu pusta, pogięta blaszanka po benzynie na odpadki. Na drzwiach, na tabliczkach napisy i zachodzi zawsze żołdackim zapachem, jakimś specyficznym zapachem zjeżdżającego potu męskiego, zapachem impregnacji mundurów w magazynach wojskowych, gdzieś zawsze niedaleko musi być kuchnia wojskowa i domiesza do tego zapachu swoje kucharskie i zawsze gdzieś coś nie działa w tych wojskowych wychodkach, żeby to się działa nie wiem w jakim kraju, gdzie sztuka instalatorska stoi na wysokich i powszechnych standardach, no zanoszą ludzimi szczynami, co tu mówić. Inne armie dodadzą do tego swoje specyficzne zapachy, kwaśne, wojskowych komiśniaków, chlebów, które kiedy sobie postoją to apetycznie, leciutko ferment-

tuja, inne mają swe dziegieć do smarowania butów i swoje nartaliny, które nie wietrzeją tak łatwo z mundurów, jednym słowem idą za wojskiem te zapachy.

Zaraz po prawej stronie bramy był pokój oficera służbowego.

Pokój ten był zarazem kancelarią kadrową, bo było tam więcej stołów, na jednym maszyna do pisania, książki o wytartych okładkach i rolka papieru klozetowego, dostarczona tutaj dla wiadomych celów przemysłnicie, a tutaj jeszcze przemysłniejszy piszczyk kadrowy, przystojny plutonowy, używał do pisania meldunków i brulionów rozkazów i rozporządzeń. Na ścianie przypięta była powielana na szapirografie instrukcja na wypadek pożaru po francusku i polska instrukcja na wypadek alarmu. Był jeszcze orzeł polski wycięty z papieru i naklejony na czerwonej bibułce i napis "Nie płuć!".

Pokój oficera służbowego musiał być także miejscem spotkań towarzyskich, bo było w nim paru oficerów, najwyraźniej niczym zajętych.

Właściwie jeden z nich był zajęty najdziwniejszą w świecie rzeczą, mianowicie: Na jednym ze stołów było rozrzuconych kilka zabawek, bardzo nawet zabawnych i precyzyjnych i sprytnych. Był mały samochód, nakręcany sprężyną, który puszczony w ruch zataczał zdenerwowane koła po asfaltowej posadzce i terczał wesoło i śpiesznie, póki nakręcona sprężyna nie rozkręciła się i wtedy stawał nagle i smutnie, prawdziwa zepsuta zabawka. Był mały kran, który był malutką miniaturą prawdziwego kranu, czerpaka, jaki widuje się na robotach ulicznych, kiedy łyka rozwartym gardłem tony gruzu i z zawrotną szybkością zatacza swą szyją w półkole i kiwa mu się ta przeciążona żuchwa. Był żółw, który mozolnie wioskował koślawymi łapami-grabami i wahadłowo przenosił swą głowę z prawa na lewo. Były jeszcze inne przemysłne, kolorowe, łatwe i koślawe zabawki. Ten jeden porucznik to cierpliwie je nakręcał i puszczał w ruch, a inni, w swych ciężkich, zielonych khaki płaszczach stali, albo co niektórzy przysiadł pośladkiem krawędź stołu i patrzyli na to zimno i obojętnie, jak dzieci bogatych rodziców w ich dziecinym pokoju, kiedy są już znudzone tą lawiną zabawek i nie ich już nie rozbawi i nie, żadne cudenko im nie zaimponuje, znudzone i smutnie zblazowane.

Dotąd dla mnie jest niewytłumaczoną zagadką, skąd się do licha wzięły te zabawki w najbardziej niespodziewanym miejscu na świecie, wśród szarych ścian szkoły, przerobionej na koszarę, w zimowym blasku zimy, kiedy żarówka czerwona pełgała w biały dzień na stolem piszczyka kadrowego a młodzi ludzie o znużonych twarzach siedzieli zapatrzeni w kolorowe i wesoło malowane zabawki, udające życie. Może to któryś z nich miał je na prezent dla dzieci swych gospodarzy, u których stał na kwaterze, może któryś po prostu z fantazji i dla ucieszenia się myślą czegoś skrajnie różnego wstąpił do sklepu i zabawkami i zakupił ich i puszczał je teraz w ruch i gonił za nimi swymi myślami. Było coś w tej nonszalancji i nieoczekiwaniu zaczę-

pienia się myśli ludzkiej, było w tym coś z fantazji i wielkopańskości i fanfaronady w dobrym stylu, w tej zabawie w obliczu niebezpieczeństwa czy beznadziejności, jak podziwialiśmy to w skazańcu który miał pójść na szafot, kiedy znalezionymi na podporządku nożyczkami obcinał sobie paznokcie, kiedy czytano mu wyrok śmierci.

W sekrecie to ja sam zabawiam się takimi mechanicznymi zabawkami. Układam sobie sytuacje, nakręcam je potem patrzę w ślad tego jak rozkręcona sprężyna porusza nimi i jak wymyślony mechanizm nimi pokieruje. Już ja sobie przemyslałem porucznika Boczyłę i jego "Królewno — kwiecie nenufaru".

No, myślałem sobie, te maupassantowskie sytuacje. To maupassantowskie porównanie najbardziej może się pchać że to w Bretanii, pośród chłopów. Więc, zaraz co? zaraz jak jakieś spięcie, konflikt, to właśnie tak jakby z tego pana co to miał taki zawieszisty wąs i bicepsy wioślarsza, a że mu się tam potem poprzytykało w głowie, że jak wieść gminna powiada, spirochety, skrętki blade rzuciły mu się na mózg to właśnie potwierdzić miało tę francuską fin-de-siècle, te skomplikowane, wysmaczkowane sytuacje, że nawet i jemu z tego kręgu wymknąć się nie dało.

Więc jakże to ma być z tym porucznikiem Boczyłą? Że tu on patrzy twardym wzrokiem a naprawdę to ta królewna jest dla niego prawdziwą królewnią? Albo że nienawidzi swoje, zawody to właśnie na nią spycha, ją za to czyni Bogu-ducha-winną? A ona? jakaż jest ona? co rozumie a nie rozumie z tej szeleszczącej obcej mowy, a rozumie, nienawidzi go, a może przez przekorę mu się oddaje?



W połowie kwietnia w całej Bretanii zakwitły jabłonie. Pośród domami, na polach, na wzgórzach, łąkach wpośród skał, w rozpadlinach i na otwartym wybuchły nagle białe-różowe kule i dnie zrobiły się białe. Stare, zgrzybiałe drzewa jabłoni i młode sadzonki, pokrywane niebo czarnymi błyskawicami gałęzi, zanim jeszcze wypuściły pierwsze liście rozpękły się w tych białe-różowych kwiatach. A potem kiedy pierwsze ich płatki zaczęły opadać, u każdego drzewa jak cień rozsiewała się biała plama, kładła się na czarnej ziemi i gnoju białą zadymką i różową zaspą. Z daleka, z daleka widać było jak skośnie, mądrze, uparcie, białe, księżycowo, sypią się te płatki, medaliki, skropłone powietrze.

Bretonki noszą swe kornety-czepki, "coiffure", każda parafia inne. Nawet zacząłem już odróżniać — te czepki z Ploërmel, a te koronki z Pontivy, a te krochmalone z Carhaix, Pluigheau, St Brieuc, Paimpon...

Pewnej niedzieli idąc drogą, zdarzyło mi się natknąć na dziewczynę która podawała nam do stołu w kasynie. Siedziała na niskim murze obrzeżającym drogę i nie poznałem jej w pierwszej chwili, musiała mieć na sobie jakąś lepszą niedzielną sukienkę,

albo też to, fakt że siedziała beczynnie, kiedy z kasyna pamiętam ją zawsze zagonioną, załataną, to ta jej beczynność była jak przebranie. Siedziała doskonale beczynnie, z rękoma bezwładnie w podołku i patrzyła martwo w te swoje ręce, odmieniana, inna, bezwładna, niedzielnie, niedzielnie-popołudniowo beczynna, z włosami, które nieporządnie opadały, wymykały się z jej węzła na karku, w sukience tak szarej i pepitowej i bepcicowej sukieneczynie i z jej zgarbieniem wąskich pleców. Siedziała zapatrzona w swe ręce, niewidząca, odległa. Na nogach, na czarnych pończochach miała nową parę sabotów, i te nogi w sabotach, kiedy tak siedziała na niskim murze przydrożnym, nogi zwieszone, trochę jakby sterczące ku przodowi i mogłem widzieć nowe gwoździe podkucia i błękitne podkówki, półksiężycy, "dziewczynki z nóżkami na księżycach".

A ostatni raz to widziałem ją wtedy kiedy już zabieraliśmy się stamtąd, niedługo po tym spotkaniu niedzielnym. To był wielki rozgardiasz z pakowaniem, miałem rozmaite sprawy do załatwienia i kiedy poszedłem na obiad, do kasyna to już byłam ostatni, wszyscy inni już poszli. Siedziałem sam w tym kasynie i czekałem na obiad, czułem, jak zawsze na wyjeździe, jak nie należę do miejsca.

I wtedy ta sama dziewczyna przyniosła mi zupę. Niosła ten talerz i jak zawsze patrzyła w dół i z oczu jej ciekły ciurkiem łzy właśnie do mojej zupy. Byłem zaskoczony i nie wiedziałem co się dzieje i chciałem jej coś powiedzieć ale sam nie wiedziałem co, to ją zapytałem:

"Vous-avez des chagrins? — Mademoiselle?"

Zygmunt HAUPT

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
pour la Liberté de la Culture
défend l'indépendance spirituelle de l'homme
partout où elle est menacée.

Le numéro de 64 pages, illustré 70 fr.
Abonnement annuel : France 700 fr.
Etranger 1.000 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8^e)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

List do Kraju

Na śmierć Tadeusza Borowskiego

Borowski zdradził. Uciekł tam gdzie mógł.
Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
Za sobą mury polskie Ciemnogradu.
Co może wtedy człowiek? Drobną sztukę
Serca tak mało znaczy. Więzień Oświęcimia
Szczęśliwszy był, kiedy w podarku niósł
Mitigał, siarkę swojej ukochanej.
Naga, w gorączce, ranami okryta,
On klękał przy niej, zawsze takiej samej
Dla miłujących oczu. A nad nimi trwał
Dym ludzki, czarna rzeka, dym nad Birkenau.

Ludzi ocalić. Dać im niebo czyste
I ład na ziemi. Dać im umysł jasny.
Nad kraj ubogi, nad Wartę i Wisłę,
Wzniesić łuki światła i strzec, by nie zgasły.
Ludzi ocalić. I za to marzenie
Jest obrachunek. Sztylet był zatruty,
Mówi kronikarz. Wchodził między cienie
Od jadu żmii, od ziarna cykuty.
I Majakowski. Noc, do siebie strzela.
I nie masz, nie masz wtedy przyjaciela.

Więc gaz otworzył i twarzą do ściany
Odwrócił się i w mroczne wieki minął.
Toczyły śnieżną pianą oceany,
Obtók pod księżyc piór białosć rozwinął.
Mileżąca trwała gładka ściana Wschodu.
I śmiech się zerwał w murach Ciemnogradu.

Paryż 1951

Miasto, jaką śpiewać pieśnią
Fiolet zmierzchu bizantyjskiego,
Cień miecza co tnie na dwoje
Naszyjniki z ciemnego złota.
Inną niż w dawne dni chwały
Pieśnią przynosić dar tobie,
Zamykać w zamczyscie skrzynie
Orły i zdarte sztandary.

Z Garehne-Bezons jadę gniewny,
Tysiąc rowerów przebiega,
Wiatr pod mostami wydyma
Bieliznę i dym galarów.
W godzinie mgły fiołkowej
Tysiąc i tysiąc przebiega,
Plecy i torba na ukos
Nad kierownicą rowerów,
Czoło i dłoń moich braci,
Spojrzenie moich braci.

Miasto mojego żalu,
Okrutne, słodkie i ludzkie,
Różo co palisz serce,
Za cenę mięsa i wina,
Za cenę poniżenia,
Płomienna wiary nadziei.

Czas obsypywał liśćmi
Wyspę Świętego Ludwika,
Start pocałunki w ciemności
W godzinie mgły fiołkowej
Nad wodą, pod łuną świateł.

Z pralni wieziono w koszach
Prześcieradła skąd zmyto
Ślad jej pomadki do ust
I kształt jej śpiącej głowy.

Trąby i flety zagrały,
Umilkły, lata minęły,
Wróciłem niepodobny
Do twoich cierpkich ulic.

Miasto, inną śpiewać pieśnią
Epokę, pył który spada,
Po nich w muzeum zostaje
Tchnienie na zblakłym jedwabiu,

Krzesto z wystygłą poręczą,
Szelest minionych sukien,
Miseczka z wyschniętym tuszem
Pod lustrem ciemnych teatrów.

Nieprawda, nie to zostaje.
Wiatr nad wodami się miota,
Tysiąc rowerów przebiega,
Wiatr na Porte Clignancourt.
Co się od naszych dłoni
I od serc naszych zaczyna
Trwać będzie dłużej niż echo,
Dłużej od gwiazd spadających.

O przyjaciele moi
Różnym mówiący językiem
Jeżeli nam dana klęska
Zostanie po nas marzenie,
Krzyk co przeniknie kiedyś
Miliony mieszkańców ziemi.

I nową śpiewać mi pieśnią
Godzinę w której milczący
W krajach Zachodu i Wschodu,
Nad brzegiem krwawego morza,
Ręką chcą zakryć przed ludźmi
Źródło co w piersiach im bije,
Gorące i nienazwane
Źródło strzeżonej nadziei.

Pożegnanie

Nie, ja na pewno ciebie nie zapomnę.
I chmury nad Warszawą moje są,
I obłoki idące ponad polskim krajem,
Ich cień ruchomy na kurzawie zbóż.

A gdyby miarą, której nie znam, odmierzono
Łzy gorzkie mego dojrzałego wieku,
Rozpacz wędrowni wśród obcych narodów —
Nikt by nie rzucił kamieniem.

Nie, ja na pewno ciebie nie zapomnę.
Kiedy o świetle stoi bujna rosa,
W trawach i piasek nadwiślańskich dróg

Błyszczysz różowo za liniami cienia
Razem iść chciałbym i ziemię marzenia
Ziemię przyszłości ruinom odbierać
I pieśnią moją moich braci wspierać
I to jest szczęście — gdybym tylko mógł.

Jeżeli wiedzieć chcesz jak to się stało
Że uciekłem od ziemi, która jest mi bliska,
Zrobiłem to — bo niechże jeden się odważy
Kształt nadać myślom co nie mają twarzy
I nie dba o zakłęcia i wyzwiska.

Zrobiłem to, bo hołdów mi nie składać
Tym, w których rękę policja i siła.
Przed nikim bym nie musiał odpowiadać
Gdybym rzekł sobie: taka jest konieczność.
I chleb i sławę miałbym za tę grzeczność.
Ale moc inna we mnie zwyciężyła.

I sam przeciwko światu. Nie, nie sam:
Gdzie z nocnej zmiany idą robotnicy
I dzieci grają w piłkę na sennej ulicy,
Gdzie za brzożami komin wiejski dymi —
Oni są ze mną i ja jestem z nimi.

A gdyby miarą, której nie znam, odmierzono
Łzy gorzkie wszystkich podbijanych ludów,
Ich krzyk milczący, dlatego przeraźliwy,
Z nieczułych twórców niebosiężnych cudów
Nikt dziś nie zostałby żywy.

Nie, ja na pewno ciebie nie zapomnę
Chyba że serce mi pęknie.
Żyć z tobą w szczęściu nie było mi dano
Zgodziłem się wejść w pustkę tą straszliwą bramą
Dlatego, że kochałem
I słów nie dosyć było, ułożonych pięknie.

Faust warszawski

Kiedy w Luxemburskim Ogrodzie fontanna
Szemrze i płyną żłogowe okręty
Pchnięte dziecinna dłonią, myślę o tobie.

W niebieskim świetle, w konstelacjach liści
Przedemną ty, sam wiesz o tym, Fausti
Któremu nie wystarczył eliksir młodości,
Ty, żądający ładu i potęgi.

Kreślę na piasku linie, zjawiasz się
I zapytuję ciebie: jakie prawo
Masz kłamać sobie i swój własny strach
Nazwać imieniem ładu i potęgi?

Strach: aby nie spaść między tych co żyją
Jak żyje woda w zarostach ogrodach,
W ciemności ruin. Których ślepe trwanie
Jest wypełnieniem śmierci nim umarli.

Zaiste, mało ufasz ludzkiej sile.
Poniżasz siebie, wierząc że już nikt
Nie ujdzie losom tych, co na wygnaniu
Dar odrzucili największy: umysłu.

Strach: aby ręce ich nas nie dosięgły.
Tak, i to prawda, że ściga mnie sfera
Handlarzy dobrym imieniem, oprawców,
Morderców per procuram. Lecz tak być powinno.
Kto w polskim pisał języku coś więcej
Niż ody czułe, nikomu nie groźne,
Co kiedykolwiek miał prócz nienawiści?

Strach: aby wyrok nie zapadł — Historii,
Mówisz wzruszając ramionami. Patrz,
Tu, w tym ogrodzie trzymałem jej rękę,
Jej ciało było jak ciało jaskółki
Trzepoczące się we wnętrzu dłoni. Śmierć.
I nie wiem nawet czy powiedzieć można
Że ją uwiozła w mroki tódż Charoną,
Bo drut kołczasty, obrzydliwość, krew.

Zanim cudowny mechanizm gorących
Iskier i myśli, pragnień i natchnienia
Rozpadnie się, wrócony będąc ziemi,
Czemużbym nie miał w oddanej mi chwili
Długu zapłacić tym co nie zaznali
Doskonałości dojrzewania? Terror,
Zwany Historią, wtedy niech dosięga.

Strach. Szofer klakson przyciska i w biegu
Widzisz ruiny posiwiałe Woli,
Rusztowania, kurz cegły. Tłum biedny, tłum szary,
Z nogi na nogę w ogonkach się chwieje,
Czoło ocierasz zagraniczną chustką.

Czarnoksiężniku, znasz karę co spada,
Karę zrodzoną w dymach tego wieku.
Jak błysk magnezji wybucha i trwa
— O, niechaj będzie przekłeta —

Świadomość.

Niech nigdy

Niech nigdy nie zginie we mnie dążenie ku Miastu Słońca.
Ta epoka wydała ludzi mocnych i czystych
I śmierć i zdradę która ich spotyka.
Powiedz mi, jaki jest obowiązek człowieka
Aby stał się podobnym do ludzi mocnych i czystych
Kiedy poszukiwanie nazwano chwiejnością
A wierność sobie jest największą winą?
Między zbrodnie idiotów i zbrodnie racjonalistów
Rzucony, patrzy bezsilnie jak z głębi czasu się dźwiga
Lewiatan, Państwo Powszechne, mściciel szambionych pokoleń.
Ile stuleci upłynie, nim z ksiąg i słów zakazanych
Odgadnie fałsz obietnicy, daremność czynów spełnionych
Przez państwo to, które w imię zniszczenia państwa powstało?
Niech będę tak jak dziś jestem, po ostatnią moją godzinę,
Spragniony sprawiedliwości dla braci moich na ziemi,
Gotów zapłacić jak mogę za dążenie ku Miastu Słońca.

W praojcach swoich pogrzebani

les nobles insensés
Ensevelis dans leurs ancêtres

André Chenier.

Przegrali dom swój. Śnieg zawiął granice,
Od Petersburga szły z pieszczatką rotły
I azjatycki koń wszedł w ich stolicę,
Na pikach stygła krew gniewnej hołoty.

Powstali w boju, przegrali powstanie
Bo ludu swego w porę się ulękli.

Wiatr gnał ich w śniegi, niósł po oceanie
I śnił się nocą blask wisielczej pętli.

Car im na przekór chłopów oswobodził.
Pieniądz zbudował kuźnie i warsztaty.
Półnagi bandos do fabryk uchodził
I w obce kraje biegł od kurnej chaty.

Znów mieli państwo, ale krótko trwało.
Konie ułańskie pisały w paradzie.
Zmienili w chwałbę co mogło być chwałą.
I cień i śmierć na dziejach im się kładzie.

Moskal czotgami wjechał w gruzy miasta,
Prawa im dawał i wkładał obrożę.
Prowincja nowa w Imperium już wrasta
Niosąc w daninie węgiel, tłuszcz i zboże.

Przeklina lud, a błazny mu śpiewają
Że nigdy nie był tak jak dzisiaj wolny.
I szuka znaków co się w niebie palą:
Pokój służalstwa? Czy zagłada wojny?

Oni tymczasem, drząc w jaskiniach cieni,
Sądzą, nie wiedząc że już osądzeni.

Stracony przywódca

z Roberta Browninga

Dla garści srebra tak opuścił nas,
Dla wstążki, którą ubranie ozdobi.
To zyskał, czego nie ma żaden z nas,
To stracił, za cośmy umrzeć gotowi.
Którzy mogli dać złoto, rzucali mu srebro,
Tak wiele mieli, dający tak mało!
Za jego służbę grosze płaciliśmy ledwo,
A dumne serce jego za łachmany,
Byle z purpury były — też by dziękowało!
My, którzyśmy kochali, szli za nim, hołd nieśli,
Żyliśmy w jego spojrzeniu, wspaniałym, bez chmur,
Uczyli się języka jego czystych tonów,
Jak żyć i jak umierać z niego biorąc wzór!
Szekspir był nasz, Milton dla nas był,
Burns, Shelley byli z nami — ich wzrok nas przenika.
On jeden przednią straż porzucił wolnych ludzi,
On jeden kroczy w tyle krokiem niewolnika.

Pójdziemy dalej — jego wśród nas już nie będzie.
 Nowe pieśni nas natchną — lecz nie z jego liry.
 Czynny będą czynione — on drzemie odświętnie,
 Gnuśność doradza innym, wezwany do siły.
 Wymażcie jego imię i duszę straconą
 Jedną więcej zapiszcie, jeden zaniechany
 Trud więcej, jedną więcej nieodkrytą drogę,
 Jeden triumf dla diablów, smutek dla aniołów,
 Jedną krzywdę dla ludzi, zniewagę dla Boga.
 Noc życia rozpoczęła: niech nigdy nie wraca.
 Byłyby wątpliwości, wahania i wstyd,
 Wymuszone pochwały — błyskający zmierzch,
 Ale nigdy radosny zaufania świt!
 Walczcie dalej, bo myśmy go walczyć uczyli,
 Bijcie, choć nasze serce pęknie od tych ciosów.
 Nową niech przyjmie wiedzę i niech czeka nas
 Uniewinniony, pierwszy u tronu Niebiosów!

Mittelbergheim

Stanisławowi Vincenzowi.

Wino śpi w beczkach z dębu nadreńskiego,
 Budzi mnie dzwon kościołka między winnicami
 Mittelbergheim. Słyszę małe źródło
 Pluszczące w cembrowinę na podwórzu, stuk
 Drewniaków na ulicy. Tytoń schnący
 Pod okapem i pługi i koła drewniane
 I zbocza gór i jesień przy mnie są.

Oczy mam jeszcze zamknięte. Nie goń mnie
 Ogniu, połego, siło, bo za wcześnie.
 Przeżyłem wiele lat i jak w tym śnie
 Czulem że sięgam ruchomej granicy
 Za którą spełnia się barwa i dźwięk
 I połączone są rzeczy tej ziemi.
 Ust mi przemocą jeszcze nie otwieraj,
 Pozwól mi ufać, wierzyć że dosięgnę,
 Daj mi przystanąć w Mittelbergheim.

Ja wiem że powinienem. Przy mnie są
 Jesień i koła drewniane i liście
 Tytoniu pod okapem. Tu i wszędzie
 Jest moja ziemia, gdziekolwiek się zwrócę

I w jakimkolwiek ustyszę języku
 Piosenkę dziecka, rozmowę kochanków.
 Bardziej od innych szczęśliwy, mam wziąć
 Spojrzenie, uśmiech, gwiazdę, jedwab zgięty
 Na linii kolan. Pogodny, patrzący
 Mam iść górami w miękkim blasku dnia
 Nad wody, miasta, drogi, obyczaje.

Ogniu, połego, siło, ty co mnie
 Trzymasz we wnętrzu dłoni której bruzdy
 Są jak wawozy olbrzymie, czesane
 Wiatrem południa. Ty co dajesz pewność
 W godzinie lęku, tygodniu zwątpienia,
 Za wcześnie jeszcze, niech wino dojrzewa,
 Niechaj podróżni śpią w Mittelbergheim.

Czesław MIŁOSZ.

Sprawy i troski

O polski «trzeci program»

Zaróko się ostatnio od głosów polskich w eterze. Do "Głosu Ameryki", audycji polskich B.B.C., radia paryskiego, madryckiego — dołączył się "Głos Wolnej Polski" (zwracam uwagę na cudzość) z Monachium. Jestem zatwardziałym radiofobem, ale jednak ciekawość przemogła i oto już od tygodnia kręcę gałką odbiornika starając się wyłowić ten głos z towarzyszących mu potrzaskiwań, wyswistów, zgrzytów. Pocięszam się, że w Polsce słyszalność jest lepsza. Może to sprawa dystansu, może "oni" przeszkadzają, może warunki atmosferyczne, a może to słychać zgrzytanie zębów tych wszystkich potępieńców, którzy nie dostali posady w Monachium i myją dalej talerze u Lyonsa...

Wsluchuję się w ten głos i tak bym chciał usłyszeć w nim jakiś ton nowy. Jak dotąd — na próżno. Zastrzegam się: jestem "wolnym słuchaczem", słucham dorywczo, nie zapominam, że to dopiero pierwsze kroki nowej radiostacji, że personel jej został dobrany bardzo starannie, że nie brak w nim ludzi dużego talentu i doświadczenia, że trzeba im pozwolić na "rozkręcenie się". Nie wątpię, że audycje monachijskie stanowią będą poważny wkład do wojny w eterze, choćby ilościowy. O ile jednak o dotychczasową jakość chodzi, nie mogę się opędzić pierwszemu wrażeniu, że nowe audycje są rozpaczliwie podobne do starych. Ten sam ton na przemian namaszczony, na przemian gryząco-ironiczny, te same dowcipuski w stylu "bierutne kłamstwo" i "republika zdradziecka", to samo przekonywanie "rodaków", że Stalin jest niedobry, tak jakby ci "rodacy" od dawna nie mieli go za świnię, to samo rozmiękanie świętej wolności słowa na "mocne" słówka...

Zdaje mi się, że ten ton wynika ze wspólnej wszystkim zagranicznym audycjom polskim cechy: że są one pomyślane jako propaganda dla mas, której poziom musi być taki, by odpowiadał słuchaczowi o wykształceniu pozwalającym li tylko

na swobodne czytanie popularnej prasy codziennej. Wyraża się w tym typowo dwudziestowieczne opętanie cyframi. Jeśli może nas słuchać milion, dwa miliony, dziesięć milionów — "wpływ" nasz jest kolosalny! Wydaliśmy X milionów dolarów, nie możemy dopuścić do tego, by nas słuchało parę marnych tysięcy!

Tymczasem stara belfrzyca Historia wkuwa nam w głowy od wieków, że to właśnie tych parę marnych tysięcy zawsze rządziło, rządzi i będzie rządzić światem. "Elita" jest słowem skompromitowanym. Niesłusznie. Demokracja nie polega na zniesieniu elit, ale na śmiałym i cierpliwym zmniejszaniu dystansu między elitą a "masami". Elita nie jest złem. Potwornością są pseudo-elity, zrodzone z koniunktury, tyjące na niezaspokojonych przywilejach, skostniałe.

Wszystkie audycje, o których mowa, wraz z najnowszą, są na poziomie "Ikaca". Wzloty ponad ten poziom zdarzają się od czasu do czasu — to prawda. No, ale w dodatku literacko-naukowym I.K.C. też nieraz można było przeczytać coś, czego by się nie powstydzili "Wiadomości Literackie". Nie chodzi o wzloty, omal nie powiedziałem: "wyskoki", chodzi o przeciętny poziom.

I przychodzą mi teraz na myśl ludzie, których stałą lekturą przed wojną był "Przegląd Współczesny", "Przegląd Powszechny", "Verbum", "Marchełt", "Ateneum", "Skamander", którym nawet na lekkość "Wiadomości" zdarzało się sarkać. Którzy dziś czytają "Znak" i — mimo wszystko — "Twórczość". Co im daje "Głos Wolnej Polski"? Niewątpliwie, daje im moc materiału informacyjnego, zwłaszcza o ile chodzi o wydarzenia polityczne, odfałszowuje im obraz świata zachodniego, daje niezbędny budulec faktów na wznoszenie samodzielnych koncepcji. Nie daje jednak tego, czego na pewno są zlaknieni — codziennej łączności z żywą myślą Zachodu, myślą niełatwą, nieraz splątana, wiecznie zmienną, czasem kapryśną, zawsze niepodległą. A to co daje, topi w morzu żalosnej propagandy dla maluczkich.

Radio monachijskie ma mieć program piętnastogodzinny. Sto godzin tygodniowo! Czyżby doprawdy nie można wykrajać z tego drobnej cząstki, 10%, 10 godzin tygodniowo, na osobny, wyraźnie określony program dla paru tysięcy?

Jedną z rzeczy, z których współczesna Anglia może być dumna, jest tzw. "Trzeci Program" B.B.C. W odróżnieniu od dwu pozostałych: "Lekkiego" i "Krajowego" o poziomie dostosowanym do upodobań i możliwości czytelników "Daily Express" — jest to program dla "highbrows", dla czytelników takich pism jak "Observer", "Manchester Guardian Weekly", "Times Literary Supplement", "Economist", "XX Century" czy nieodżałowanej pamięci "Horizon", który w bogatej Anglii upadł z braku prenumeratorów. Jest to impreza deficytowa, finansowo paśnięta na swych dwu cieszących się powodzeniem braciach. I jest to impreza, która ratuje honor radia.

Przechodząc z tonu gryząco-frywolnego na patetyczny, wo-

łam wielkim głosem: RATUJCIE HONOR WOLNEGO RADIA! STWÓRZCIE "TRZECI PROGRAM" "GŁOSU WOLNEJ POLSKI" W MONACHIUM!

Nie będę się rozwodził nad tym, co taki program dałby Polsce. Gdybym był w kraju, nie wahałbym się chyba narazić na donos przez słuchanie o dziełach czołowych pisarzy wolnego świata, z których tytu jest w Polsce na indeksie, przez obcowanie z myślą najtęższych mózgów współczesnych, przez uczestniczenie w dyskusjach, w których zarysowuje się mglisty kontur przyszłego świata. Z jaką rozkoszą wchłaniałbym miazmaty zgniłej formalistycznej sztuki Zachodu i "wycia kapitalistycznych hien" w rodzaju Eliota. Dalibóg, czasem by mnie skorciło nawet posłuchać nie tylko tego, co o sytuacji politycznej myślał gen. Anders, ambasador Raczyński i p. Mikołajczyk, ale i tego, co chodzi po głowach publicystów emigracyjnych w rodzaju Stanisława Mackiewicza.

Praktycznie ważniejsze jest, że polski "Trzeci Program" miałby ogromną wartość propagandową dla Ameryki. Amerykanie nie wygrały nigdy propagandowej wojny z Sowietami, jeśli się od nich nie nauczą... szacunku (w znaczeniu "szacowania") dla intelektualistów, dla "highbrows", dla "elity". Każda elita gardzi taną propagandą, nawet tą, która wyraża jej własne poglądy. Przełknie ją tylko w opłatku prawdziwej sztuki i prawdziwej filozofii. Komuniści dobrze wiedzą co robią, gdy wydają w olbrzymich nakładach pisma typu "Nowej Kultury", której przecież nie czytują robotnicy, gdy na Zachodzie znacznie większy nacisk kładą na kaptowanie sobie roztrzępanych profesorów, pomyłonych dziekanów, "niedocenionych" pisarzy, niż na rzekomo najdroższe im "masy". A młodzież? Młodzian, który w Polsce przed wojną dostawał bzik i stawał się komunistą, nie robił tego na pewno pod wpływem śmiertelnie nudnych przemówień Stalina czy sprawozdań z życia kołchozów, ale pod wpływem Majakowskiego, Pilniaka, Szołochowa, Gide'a, Webów, czy choćby pism Lenina, który jak słusznie przypomina ojciec Bocheński, był pierwszorzędnym pisarzem i niemal, niemal... filozofem. Nie ludźmy się, że wśród ludzi w Polsce, a zwłaszcza w młodym pokoleniu, nie ma takich, którzy zupełnie szczerze, choć z rozpaczą, stawiają na stalinizm. I czym wy ich chcecie odciągnąć? "Sektorkiem"?!

Materiały do naszego "Trzeciego Programu" leżą po prostu na ulicy. Ponieważ chodzi o audycje dla kraju, do którego nie docierają wydawnictwa emigracji, i to nie docierają od lat — nie trzeba się bać rzeczy starych, "przedruków". Kraj przecież nie zna prawie niczego, co pisarze polscy zagranicą przyswoili polszczyźnie z dzieł współczesnych autorów Zachodu (są wśród tego takie osiągnięcia, jak doskonałe przekłady z Koestlera, Orwella i in.), ani co sami napisali. Wiele z tego nie warto reprodukcja w eterze, ale wybór jest ogromny, i takie "antologiczne" podejście z pewnością byłoby owocne. Prawa autorskie?

Można dostać za grosze. Nie zawadziłoby też tej czy owej rzeczy zamówić u literatów emigracyjnych. Niechby sobie biedacy zarobili parę dolarów.

Zresztą co tu dużo gadać. Proszę, oto program dwutygodniowy, na jakiejkolwiek dwa tygodnie, byle nie pierwsze, bo tam by się zdały specjalne, wstępne, zasadnicze pozycje. Program prawie gotowy, niedrogi. Nie upieram się przy układzie, mógłby być lepszy, z góry się zgadzam na skreślenie tej czy owej pozycji, która może się okazać niewykonalna...

Uwaga! Uwaga! Podajemy naszym słuchaczom program (tu nazwa naszego "Trzeciego Programu") na najbliższe dwa tygodnie. Słuchajcie nas codziennie od godziny 20 na falach, etc.:

Poniedziałek, godz. 20-21: Tymon Terlecki: "Artur Koestler". Dwa rozdziały z dwu powieści Artura Koestlera: "Ciemność w południe" (przeł. T. Terlecki) i "Wiek pragnienia" (przeł. Czesław Miłosz).

Wtorek, godz. 20-21: "Kronika francuska" (coś w rodzaju "notatek francuskich" w "Wiadomościach"). — Józef Mackiewicz: "Tajemnicza śmierć głównego świadka zbrodni katyńskiej".

Środa, godz. 20-21: "Prasa amerykańska i brytyjska o "Życiu Szopena" Kazimierza Wierzyńskiego. — Koncert szopenowski: Witold Małcużyński (może być z płyt) — Jan Bielawski: "Wywiad z W. Małcużyńskim" (zob. "Życie" — nie brak dowcipnych momentów propagandowych: urugwajski paszport pianisty!).

Czwartek, godz. 20-21: Juliusz Mieroszewski: "Arnold Toynbee". — A. Toynbee: Essay z tonu "Civilisation on Trial", przeł. Michał Sambor (ja też chcę zarobić). Cat: "Nie należy na Angliczanach wzorować się" — W. A. Zbyszewski: "Czego możemy się nauczyć od Anglików".

Piątek, godz. 20-21: J. Ursyn: "James Burnham". — Wyjątki z "The Coming Defeat of Communism" (cz. I).

Sobota, godz. 20-23: Przegląd poważnych periodyków zagranicznych. — "Teatr wyobraźni" (Fry? "Mord w katedrze"? Anouilh? Sartre?). — Koncert Romana Palestra.

Niedziela, godz. 20-22: Antykomunistyczna satyra i piosenka (najstaranniej przesłane, najlepsze teksty Hemara). — "Antyamerykański" felieton Zygmunta Nowakowskiego. Głosy Hertza i Czapkiego o Ameryce (zob. "Kultura"). Nowości wydawnicze na emigracji ("Ziele na kraterze", "Przymierze").

Poniedziałek: "Twórczość Aldousa Huxleya po 1939 r.". Wybór z "The Perennial Philosophy" zrobiony pod antykomunistycznym kątem.

Wtorek: Wybór przedwojennych antykomunistycznych wierzeń Tuwima, Słonimskiego, Iwaszkiewicza, Gałczyńskiego (nie dlatego, by im je wypominać, bolszewicy i tak o nich nie za-

pomnieli, ale dlatego, że to były znakomite utwory!). Witold Gombrowicz: "Transatlantyk" z przedmową Józefa Wittlina.

Środa: "The World Apart" Gustawa Herling-Grudzińskiego. Wyjątki. Głosy krytyków zagranicznych. — "Wystawy paryskie".

Czwartek: "The Coming Defeat of Communism", cz. II. Wybór poezji Józefa Łobodowskiego.

Piątek: Koncert — "Młode pokolenie kompozytorów amerykańskich". Zdzisław Broncel: "Literatura krajowa w oczach krytyka emigracyjnego". — Wiersze wojenne Jana Lechonia.

Sobota: Przegląd periodyków. "Teatr wyobraźni". — Janusz Kowalewski: "Śmierć tragarza Johna".

Niedziela: "Skarbnica literatury polskiej — "Żeromski o Moskalach" (był kiedyś taki wybór we "Wiadomościach"). — Kronika amerykańska. — Maria Winowska: "Simone Weil". Wybór z pism Simone Weil.

Rzecz prosta, pozycje tego typu znajdują się i tak w programie radia monachijskiego, może już nawet były. Chodzi jednak o ich współbrzmienie i o to, by to był program stały, by złażniony tego rodzaju strawy słuchacz wiedział kiedy po nią sięgnąć. Słowem: aby to nie były wysoki, ale INSTYTUCJA.

Michał SAMBOR.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatk.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,

Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łm. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönaue
US Zone, Germany.

Najnowsza historia Polski

Fragmenty pamiętników min. Szembeka

W roku 1947 pani Izabella ze Skrzyńskich hr. Szembekowa, wdowa po Janie Szembeku, podsekretarzu stanu w M.S.Z. w latach 1932-39, zaprosiła mnie do Lizbony dla przygotowania do druku zapisków, pozostawionych przez jej męża. W Lizbonie bowiem śp. Jan Szembek spędził ostatnich siedem lat swego życia i tam zmarł w pierwszych dniach sierpnia 1945 roku: nie przeżył rozczarowania Jałty i tak zwanego pokoju, dobiła go wiadomość o wybuchu pierwszej bomby atomowej, która słusznie wydała mu się zwiastunem i narzędziem zagłady ludzkości. Tam też jego wdowa z pietyzmem przechowywała i dotąd przechowuje pozostawione przez jej męża archiwa i papiery.

Dzięki uprzejmości pani Szembekowej, miałem do tych papierów dostęp całkowity, przejrzałem je wszystkie najdokładniej, bez żadnych opuszczeń czy luk. Papiery te były ułożone przez samego śp. Jana Szembeka w porządku chronologicznym, w szeregu teczek, utrzymanych we wzorowym porządku: każda obejmowała zapiski z kilku miesięcy, ponadto oryginały niektórych raportów, głównie ambasadorów R.P. Lipskiego w Berlinie i Wieniawy-Długoszewskiego przy Kwirynale: dobór tych raportów był zresztą może przypadkowy.

Papiery pozostające pod pieczę pani Szembekowej obejmują tylko diariusz podsekretarza stanu w M.S.Z. od 1 stycznia 1935 roku. Z okresów wcześniejszych pozostało jedynie kilka brulionów, zapisanych raczej nieczytelnie własną ręką Szembeka (jak np. zapiski z konferencji u Marszałka Piłsudskiego). Dlaczego Szembek zaczął pisać swój diariusz dopiero od 1-go stycznia 1935, nie wiadomo. Oprócz diariusza, pozostały w oddzielnych teczkach rozmaite materiały do pracy syntetycznej o pracach dyplomacji polskiej i polityce międzynarodowej, którą śp. Szembek przygotowywał już w Lizbonie, w latach wojennych, w języku francuskim: te materiały miały charakter opracowania, nie źródłowy; toteż w układzie opublikowanych papierów Szembeka zostały całkowicie pominięte.

Jak powstawał diariusz Szembeka? Jest on spisany prawie wyłącznie ręką p. Janusza Zembruskiego, osobistego sekretarza Jana Szembeka. Podsekretarz stanu miał zwyczaj robienia notatek w czasie rozmów, wieczorem te notatki wręczał Zembruskiemu, uzupełniając je ustnymi szczegółami; gdy miał więcej czasu sam cały tekst dyktował. Niekiedy zapiski były dokonywane codziennie, częściej co parę dni; są i luki, niekiedy paromiesięczne, które częściowo odpowiadają okresom urlopów bądź Szembeka, bądź Zembruskiego. Zapiski są najbardziej kompletne

Materiały drukowane w tym dziale, są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

za rok 1935 i początek 1936, później stają się krótsze i rzadsze; notatki za okres ostatnich 3 miesięcy przed wybuchem wojny mają charakter wyraźnie brulionowy, są pisane w pośpiechu i dosyć beładnie: ostatnie zapiski zostały zrobione 31-go sierpnia 1939 r., po tej dacie odnośny zeszyt zawiera same białe kartki.

Szembek prowadził swój dziurnik w celach ściśle i wyłącznie użytkowych. Pragnął tylko notować rozmowy, pragnął możliwie wiernie i dokładnie spisać zarówno to co usłyszał od swoich rozmówców, jak i to co im odpowiadał. Poza streszczeniem rozmów dziurnik nie zawiera nic: nigdy autor nie dodawał swoich obserwacji, uwag, przypowieści. Nie ma też żadnych ozdóbek stylu, charakterystyki poszczególnych osób; całość jest pisana sucho, nierzadko nudno, styl jest urzędniczy. Literackiej wartości dziurnik nie ma żadnej.

Natomiast ma niesłychaną wagę jako dokument. Wszystkie zapiski robią wrażenie absolutnie prawdziwych i wiarygodnych. W zapisach tych nie ma żadnych późniejszych retuszy, poprawek, skreśleń, dodatków: od chwili gdy Szembek parał tekst spisany przez Zembruskiego nie dodawał już żadnych zmian. Stąd można przyjąć, że wszystkie rozmowy zanotowane przez Szembekę są podane autentycznie, źródło zasługuje na absolutne zaufanie. Szembek notował tylko swoje rozmowy, stąd ważne nawet incydenty dyplomatyczne — o ile nie brał bezpośredniego w nich udziału — nie są przez niego uwzględniane — są natomiast uwzględniane rozmaite wypadki i rozmowy białe. W systemie polskiego M.S.Z. rola podsekretarza stanu nie była kluczowa. „Wielka polityka” koncentrowała się w ręku Becka i jego gabinetu. Rozmowy wiceministra miały charakter raczej rutynowy. Szembek był ponadto człowiekiem bardzo ostrożnym, bez wybujałych ambicji, dyskretnym z natury.

To co naprawdę jest najważniejsze i w znacznej mierze rewelacyjne w dziurniku Szembek — to są jego rozmowy z Beckiem. Te notatki dają nam najaktualniejszy klucz do „zagadki Becka”, ukazują nam ministra bez retuszu, ukazują nam człowieka zdolnego, bystrego, gorącego patriotę, ale megalomana, przede wszystkim narodowego, niezmienne przeceniającego i znaczenie Polski i własną rolę; ukazują nam człowieka, który nigdy nie był germanofilem — natomiast zapamiętałym anglofilem, który wobec Sowietów był poprawny, wobec Francji zimny, ale mniej wrogi niż się na ogół przypuszczało, natomiast rzeczywiście nieprzejednany wobec Czechosłowacji. Zachodzi oczywiście pytanie o ile Beck był wobec Szembekę szczerzy. Tutaj trzeba uwzględnić, że od połowy 1936 r. stosunki Becka z Szembekiem wyraźnie się popszyły i rozluźniły. Wpłynęły na to trzy momenty. Szembek zawdzięczał swoje stanowisko nie Beckowi, ale Piłsudskiemu, który miał do niego słabość: śmierć Piłsudskiego pozbawiła Szembekę głównego oparcia. Powtóre Szembek miał nadzieję objęcia ambasady w Paryżu po Chłapowskim: nominacja Łukasiewicza do Paryża była dla niego ciosem, który pozostawił wyraźną bruzdę w jego stosunku do Becka. Po trzecie Szembek po swojej podróży do Berlina w sierpniu 1936 i w swoich rozmowach z Hitlerem i Goeringiem doszedł do wniosku, że polityka balansowania między Rosją a Niemcami jest a la longue nie do utrzymania i pragnął znacznie bardziej oprzeć się o Berlin. Beck schował raport Szembekę do biurka.

Szembek nie utrzymywał równomiernych stosunków ze wszystkimi ambasadorami R.P. Z Łukasiewiczem i Edwardem Raczyńskim stosunków nie miał prawie żadnych, stąd luki ważne i ubolewania godne. Najczęściej widywał się z Lipskim, a z urzędników centrali z Józefem Potockim. Trzeba o tym pamiętać, aby skorygować w pewnym stopniu obraz, który wyłania się z notatek Szembekę.

Dziurnik Szembekę, wydane w całości, obejmowałyby co najmniej 4 grube tomy. Moje zadanie sprowadzało się więc do zrobienia wyboru. Wybrałem z tej spuścizny około 1/3 czy jednej czwartej. Opuściłem głównie nieistotne rozmowy z posłami państw drugorzędnych oraz z

urzędnikami zarówno Centrali jak i placówek M.S.Z. Te ostatnie nierzadko żalem, bo rzucały one dużo światła na stosunki i funkcjonowanie M.S.Z. Starałem się nie opuszczać żadnych momentów istotnych. Dokonałem też skrótów stylistycznych, próbując wyuskać tylko zdania esencjonalne. Dodałem wszelkich starań, by nie uszkodzić autografów i odniosłem się z całym pietyzmem do tekstów, tak, by pozostały one w stanie kompletnym dla przyszłych historyków. Wszystko co opuszczałem ujmowałem w nawiasy robione czerwonym ołówkiem, po czym teksty przepisywała p. Pia Popielówna, której w tym miejscu pragnę złożyć najserdeczniejsze wyrazy uznania za ogromny i rzetelny wysiłek. Przyszły historyk będzie więc mógł korzystać z całego oryginału Szembekę i za jednym rzutem oka odnaleźć to, co było opuszczone przeze mnie. Wydanie całości bez żadnych opuszczeń uważam za pilny i doniosły obowiązek ciążący na naszych dyplomatach i historykach naszej dyplomacji.

Tekst wybrany przeze mnie i przepisany przez p. Popielównę obejmował przeszło 800 stron maszynopisu. Wydawcy tekstu francuskiego musieli go skrócić ze względów wydawniczo-handlowych. Zarówno tłumaczenie na język francuski jak i dalsza selekcja tekstów odbyły się bez jakiegokolwiek mego udziału. Osoby zarówno tłumaczy (J. Rzewuska i T. Zaleski) jak przede wszystkim kierownika wydawnictwa (Ambasador Léon Noël) dają gwarancję, że zadania te zostały wypelnione z należytym poczuciem odpowiedzialności i fachową wiedzą.

W. A. ZBYSZEWSKI.

I. Notatka z rozmowy Pana Marszałka Piłsudskiego z Ministrem Barthou

(ówczesnym ministrem Spraw Zagranicznych Francji)

Dnia 31 kwietnia 1934 roku Pan Marszałek przyjął w Belwedrze ministra Spraw Zagranicznych Francji, p. Ludwika Barthou w obecności pp. ambasadora Laroche, ministra Becka i podsekretarza stanu Szembekę.

Na wstępie poruszono osobiste wspomnienia z podróży Pana Marszałka w roku 1921 do Francji, jak zwiedzanie Verdun, okoliczności towarzyszące podpisaniu aliansu itp. Pan Barthou wyraził Panu Marszałkowi ukłony od marszałka Pétain i premiera Doumergue. Przy tej sposobności Pan Marszałek podkreślił wielkie uznanie jakie ma dla Marszałka Pétain i dla generała Mangin, których uważa za największych dowódców francuskich. Akcję marszałka Pétain w Verdun obszernie i z uznaniem komentował.

Barthou podniósł, iż jest dumny, że jest jednym z tych, którzy alians polsko-francuski podpisali i że uważa to za jeden z głównych aktów politycznych swego życia. Temu aliansowi pozostał też zawsze wierny. Zapytał też dalej Pana Marszałka jak się zapatruje na obecną sytuację polityczną.

Pan Marszałek odpowiedział mu, że w kilku słowach określi mu to, co uważa za główne zadanie polskiej polityki zagranicznej:

I) Zagadnienie stosunków z naszymi dwoma wielkimi sąsiadami.

II) Nasze aliansy z Francją i Rumunią, „qui nous donnent beaucoup d'embarras”.

III) Nasi inni sąsiedzi. Sąsiedzi mniejsi, których mamy wie-

le. Pod tym względem inaczej, aniżeli Francja, która ma właściwie tylko dwóch sąsiadów: "car au fond l'Espagne ne compte pas".

IV) Stosunki z innymi państwami mają dla nas znaczenie drugorzędne i w pracy naszej polityki zagranicznej schodzą na dalszy plan. Tu Pan Marszałek cytował Anglię i Włochy.

V) Stosunek do Ligi Narodów. To ostatnie zagadnienie Pan Marszałek obszernie omówił. Powiedział, że o ile "metody pracy" Ligi nie zostaną zmienione, to zdaniem jego zginąć ona musi na anemię. Zasięg zainteresowań Ligi musi być bardziej ograniczony. Poruszanie na jednej sesji Liberii, Boliwii, Gdańska, Mandżurii, handlu żywym towarem, opium, etc. prowadzi do absurdu. Te metody, jeżeli dalsza owocna praca ma być zapewniona, muszą zdaniem Marszałka ulec modyfikacji.

Następnie Barthou zapytał Marszałka czy zdaniem jego Rosja wstąpi do Ligi Narodów. Marszałek odpowiedział, że miał zwyczaj dwa razy do roku specjalnie badać sprawy rosyjskie. W ostatnich czasach stosunków tych już nie badał, nie może więc uważać odpowiedzi, którą da, za ostateczną i definitywną opinię. Wrażenie jednak, które odnosi w stosunku do postawionego mu pytania, byłoby raczej negatywne.

W dalszym ciągu Barthou powołując się na nowe, bardzo stanowcze decyzje rządu francuskiego w sprawie rozbrójenia, zapytał Marszałka jakie jest jego zdanie pod tym względem. Pan Marszałek powołał się na swoje dawniej, wobec ambasadora Laroche'a wypowiedziane zdanie, że Francja w tej kwestii zawsze ustępowała "Et je crois, que vous céderez encore". Barthou na to: "C'est très dur, ce que vous me dites Monsieur le Maréchal, mais je puis vous assurer, que les décisions prises actuellement par le gouvernement français sont extrêmement définitives". W odpowiedzi Pan Marszałek przypomniał incydent, który się zdarzył przy zwiedzaniu Verdun w 1921 roku. Gdy marszałek Pétain dawał w polu objaśnienia, Barthou potknął się i o mało nie wpadł do leju wrytego przez granat. Wstając zawołał: "Ce n'est rien, je suis habitué de tomber, j'ai été treize fois ministre".

Następnie Pan Barthou na podstawie rozmów z marszałkiem Pétain, z którym łączą go stosunki bliskiej przyjaźni i zupełnego zaufania, zapytał Marszałka czy nie byłby skłonny rozważyć możliwości rewizji konwencji wojskowej, która zawarta przed 13 laty już nie zupełnie może dzisiaj odpowiadać potrzebom chwili. Pan Marszałek odpowiedział na to, że już niejednokrotnie zwracał na ten stan rzeczy uwagę Francji. To są zresztą kwestie techniczno-wojskowe. Dziś Pan Marszałek w tej sprawie inicjatywy podejmować już nie będzie. Barthou, zastrzegając się, że mu ta propozycja przychodzi w tej chwili na myśl i że jej z nikim w Paryżu nie omawiał pozwala sobie zapytać "très respectueusement" Pana Marszałka czy nie byłby skłonny przyjąć generała Petin, jednego z najzdolniejszych generałów francuskich. Gen. Petin, który był

niedawno temu w Rumunii, co by może również Pana Marszałka interesowało, nie jest wcale krewnym, ale posiada pełne zaufanie marszałka Pétain. Miał by on za zadanie w Warszawie sprawę konwencji wojskowej z odpowiednimi czynnikami polskimi omówić. Rozmów takich nie wyobraża sobie Pan Barthou jako formalne negocjacje, lecz po prostu jako wspólne przejrzenie tekstów i zastanowienie się czy nie należałoby ich stosownie do obecnych okoliczności przedadaptować. Pan Marszałek odpowiedział, że gen. Petin przyjmie. Barthou dodał jeszcze, że gen. Petin nie należy do przyjaciół generała Weygand. Ze swojej misji do Warszawy, która by była utrzymana w ścisłej tajemnicy, zdałby sprawę jedynie marszałkowi Pétain.

Następnie była mowa o stosunku naszym do Niemiec. Tutaj Pan Marszałek podkreślił, że w metodach prowadzenia tych stosunków zaszły bardzo duże i bardzo poważne zmiany na lepsze. Ustały zupełnie drobne szykany, zajścia graniczne, ataki prasowe etc., które były dawniej na porządku dziennym. To polepszenie stosunków objawia się dotychczas w drobnych rzeczach, jak np. w dziedzinie sportu. Poważne jednak propozycje kolaboracji nie nastąpiły dotychczas. "Je les attends toujours". Nasz pakt z Niemcami w niczym jednak naszej swobody politycznego działania nie ogranicza. Stosunków wewnętrznych w Niemczech, tak zresztą jak i w Rosji, nie można jeszcze uważać za ostatecznie ustabilizowane. Zdaniem Pana Marszałka, w Niemczech toczy się teraz walka z tym, co by nazwał duchem pruskim.

Poruszono następnie zagadnienie stosunków niemiecko-rosyjskich. Pan Marszałek podkreślał zmianę na gorsze, która w nich nastąpiła. Spodziewał się tego od dawna, jakkolwiek nie wszyscy to jego zdanie podzielali i nawet tak wytrawny znawca stosunków rosyjskich jak ambasador Patek jeszcze w ostatniej rozmowie, którą z nim przed opuszczeniem Moskwy prowadził, stanowczo przeczył, jako by pomiędzy Moskwą a Berlinem mogło nastąpić trwałe nieporozumienie. Taka jest sytuacja obecna, oczywiście co do dalszej przyszłości Marszałek nie chciałby się już dzisiaj wypowiedzieć.

Na zapytanie Pana Barthou co Pan Marszałek myśli o położeniu gospodarczym, społecznym itd. w Sowietach, Marszałek odpowiada cytując kilka wydarzeń ilustrujących biedę panującą w Rosji. (13-toletni chłopak, który z narażeniem życia przepływa Zbrucz po to tylko, by skosztować białych bułek, o których słyszał, że je można dostać w Polsce, podróżni, którzy na stacji granicznej w Polsce kupują zapasy bułek w przekonaniu, że towar ten dalej w Polsce nie istnieje i że jest wystawiony na granicy tylko dla celów propagandowych, filmy propagandowe, itp.).

Pan Barthou, który kilkakrotnie podczas rozmowy podkreślał wierność swoją dla polsko-francuskiego przymierza, jego wagę i charakter stały, pyta Pana Marszałka, czy ma on za-

rzuty do postawienia polityce Francji. "Est-ce que vous avez quelque chose à nous reprocher?". Wie on, że polityka francuska w sprawie paktu czterech wzbudziła u nas duże zastrzeżenia. On sam podzielał w zupełności, to nasze stanowisko i w sensie francuskim był jednym z najbardziej zdecydowanych przeciwników paktu. Pan Marszałek wskazując na Pana Ministra Spraw Zagranicznych, powiedział, że z nim Pan Barthou może takie sprawy omawiać.

Na tym skończyła się rozmowa, nastąpiło fotografowanie.

Audiencja trwała od 5-ej do 6.45, cały czas panowała atmosfera serdeczna i Pan Marszałek okazywał gościowi wiele osobistej sympatii, przytaczając cały szereg wspomnień z czasów spotkania się z nim w roku 1921 we Francji.

II. Notatka (pisana ręką wiceministra Szembeka) z konferencji u Marszałka Piłsudskiego w dn. 12. IV. 1934 r.

12. IV. w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych odbyła się sesja pod przewodnictwem p. Marszałka Piłsudskiego z udziałem kilkunastu generałów, ministra Becka i moim, oraz kilku pułkowników (Glabisz, Warta, Wenda, S..... z kawalerii). Z generałów zauważyłem Sosnkowskiego, Rydza Śmigłego, Kasprzyckiego, Fabrycego, Osińskiego, Gąsiorowskiego, Konarzewskiego i in.

Pan Marszałek oświadczył, że na posiedzeniu, które się niedawno odbyło w obecności Prezydenta R.P., oraz byłych premierów oświetlił obecną sytuację międzynarodową Polski.

Najważniejszym w tej dziedzinie wypadkiem z ostatnich czasów jest stan względnie przyjazny z Rosją i Niemcami.

Stan obecny nie jest wieczny, ani stały, bo stan wewnętrzny tych państw nie jest stały.

Mózgi polskie tego nie rozumieją, mózgi polskie nie umieją patrzeć trzeźwo i rzeczowo. Polak w pogodę i ciepło wyjdzie w futrze, a w mróz i deszcz — bez ubrania i z parasolką od słońca. Takich bić by należało.

System myślenia Polaków jest przerażający. Państwo w tym położeniu nie może nie postawić sobie pewnych pytań. Pan Marszałek nad tym myślał i pytanie, które nam stawia w ten sposób sformułował:

"Które z tych państw jest niebezpieczniejsze dla Polski i prędzej niebezpiecznym stać się może?"

Na to pytanie żąda pod groźbą dyskwalifikacji, by każdy z obecnych dał mu odpowiedź i to indywidualnie na piśmie własnoręcznie napisaną i do 12-go maja wręczoną pułkownikowi Warcie. Każdy z obecnych ma tę odpowiedź skonstruować sam, bez narady z nikim. Obecni pułkownicy też odpowiedź sporządzają.

By odpowiedzieć na to pytanie, konieczne jest czasowo problem określić i oprzeć rozumowanie na sumiennej analizie stosunków w jednym i drugim państwie. Należy rozważyć jakim te państwa rozporządzają narzędziem i jakie motywy ich do akcji zaczepnej skłonić mogą.

Wojsko, rozbudowa armii jest w Rosji osią całej pracy państwowej, w Niemczech jednym ze zjawisk i to nie na pierwszym miejscu w hitlerowskiej ideologii. Motywy, które by Niemcy pobudzić mogli, mogą być poza stroną wojskową, natury politycznej, wewnętrznej i międzynarodowej, społecznej i ekonomicznej.

Stopień niebezpieczeństwa w ścisłej zależności od naszej siły i naszej polityki.

Sesja dzisiejsza jest tajna.

Od warunku samodzielnego opracowania odpowiedzi Pan Marszałek zwalnia Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wyraża zgodę, by do narady na ten temat wciągnąć pp. Lipskiego i Łukasiewicza. Po tym oświadczeniu prosi byśmy, min. Beck i ja, salę opuścili, gdyż chce dalsze szczegóły wojskowo-techniczne z wojskowymi omówić i dodaje, że wyrazi panom wojskowym szereg krytyk.

Po tych słowach min. Beck i ja opuszczamy salę.

III. Notatka z konferencji u Pana Marszałka Piłsudskiego dnia 21. X. 1933 r.

(pisana ręką wiceministra Szembeka).

21. X. (1933), godz. 14-ta.

Konferencja u Pana Marszałka.

Obecni: Min. Beck

gen. Gąsiorowski

płk. Warta

płk. Glabisz

płk. —

ja.

Pan Marszałek oświadcza, że nas zgromadził w celu omówienia sytuacji związanej z wystąpieniem Niemiec z Ligi Narodów i prac, które ten fakt na nas nakłada.

Na wstępie przestrzega przed prasą i dziennikarzami, która nie ma wiedzieć o tej naradzie. Podkreśla również, że nie uderza na alarm. W ostatnich czasach nastąpił fakt, że Niemcy wystąpiły z Ligi Narodów. Chodzi mu o zestawienie informacji związanych ze zbrojeniem Niemiec. W tej chwili istnieje brak zestawienia pracy pod tym względem. Potrzebne ono jest tak pod względem wojskowym jak i polityczno-dyplomatycznym.

Żąda, by zestawienie takie zostało zrobione i zreferowane mu do pięciu dni, nie licząc dnia dzisiejszego.

Wklucza tu pracę z naszymi sprzymierzeńcami, Francuzami. Tę specjalną konferencję zwołał celem określenia naszego stanowiska w związku z wyjściem Niemiec z Ligi Narodów i z Konferencji Rozbrojeniowej. Chodzi mu o wyświetlenie spraw związanych z dozbrojeniem Niemiec. Ze strony francuskiej wciąż dochodzą pod tym względem alarmujące pogłoski. Francja musi więc posiadać pewne informacje.

Należy od Francji zażądać dat i danych, które ona pod tym względem posiada i ta droga musi być zupełnie oficjalnie pro-

wadzona. Chce, by zakresłony przez niego pięciodniowy termin dla zestawienia tych informacji był również i przez Francję dostrzegany..... Należy zwrócić uwagę Francuzom, że ta praca musi być tajna, bo my nie jesteśmy dziennikarzami i nie alarmujemy.

Pan Marszałek nie chce i nie może być dzwonem alarmującym. My nie jesteśmy Państwem dla służby dziennikarzom. Należy to Francji podkreślić jak najostrzej.

Pan Marszałek podkreśla, że opinii co do zbrojeń niemieckich jeszcze nie ma i dlatego chodzi mu o dane możliwe ścisłe i możliwie liczne... poleca, by w tej sprawie MSZ weszło w kontakt z Rządem Francuskim, a wojskowi z wojskowością francuską.

Audiencja w Belwederze. 2 kwiecień 1935

Popołudniu byłem obecny w Belwederze w czasie audiencji, udzielonej przez Marszałka Piłsudskiego Edenowi. Poza mną i Edenem obecni byli, ze strony polskiej — Beck, ze strony angielskiej — Strang i Eveling. Po przywitaniu się z gośćmi angielskimi Marszałek zwrócił się do Edena ze słowami: "Alors, vous venez de Berlin et de Moscou!", po czym od razu zaznaczył, że Beck poinformował go już o przebiegu i treści dzisiejszych rozmów porannych. W związku z powyższym stwierdził, że aprobeuje całkowicie treść oświadczeń, złożonych Edenowi przez Becka oraz podkreślił, że dalsze wyjaśnienia będzie Eden mógł otrzymać w czasie kontynuowania swych rozmów z Beckiem.

Dalszy ciąg rozmowy między Marszałkiem a Edenem nie przybrał charakteru konkretnej dyskusji politycznej, mimo, że minister angielski kilkakrotnie próbował zaczepić Marszałka o aktualne problemy polityczne. Próby te jednak nie dały żadnego rezultatu, głównie ze względu na fakt, że Marszałek interpretował swe myśli we właściwy sobie, a mianowicie obrazowy i jakby anegdotyczny sposób, co utrudniało nieprzygotowanemu na to Anglikom przeprowadzenie z nim dyskusji. Treść oświadczeń, złożonych przez Marszałka w czasie rozmowy, szła w dwóch zasadniczych kierunkach. Marszałek chciał przede wszystkim dać do zrozumienia Edenowi, że nie można wydawać sądu o Rosji, zanim się jej głęboko i istotnie nie poznało. Następnie zaś dał wyraz pewnemu zdziwieniu, że W. Brytania, posiadając tak rozległe i rozsiane po całym globie interesy, tak bezpośrednio ingeruje w problemy dotyczące tylko wschodu Europy. Ten pewien sceptycyzm Marszałka, co do aktywnej roli Anglii w wschodniej Europie wywołał ze strony Edena reakcję w formie lekko rzuconego zapytania: "Est-ce que vous croyez, Monsieur le Maréchal, que nous devrions rester dans notre petite île"?

Mówiąc o konieczności zgłębienia i gruntownego poznania Rosji, jako o zasadniczym warunku przy wydawaniu sądu o niej, Marszałek przypominał epizod z okresu Wielkiej Wojny, któ-

ry zdaniem jego jest niezmiernie charakterystyczny dla stwierdzenia, do jak fałszywych wniosków dojść można w ocenie Rosji, kiedy się nie zna należycie rzeczywistości rosyjskiej. Marszałkowi chodziło tu mianowicie o moment, kiedy Denikin rozpoczął swą walkę z bolszewikami i kiedy wszyscy zachodnio-europejscy politycy (Marszałek specjalnie wspominał tu o Lloyd George'u), orientujący się tylko powierzchownie w sytuacji rosyjskiej, stawiali na kartę Denikina. W tym samym czasie Marszałek, który wiedział, że trzeba zawsze trzymać puls na rzeczywistości rosyjskiej, jeśli się chce ją dobrze rozumieć, posłał do obozu Denikina swego zaufanego człowieka, który mu od razu zameldował, że impreza Denikina nie ma żadnych szans trwałości i musi wkrótce się załamać. Politycy europejscy nie chcieli jednak w to absolutnie wierzyć.

W ciągu rozmowy Marszałek okazał swój sceptycyzm co do sukcesu wysiłków zmierzających do zrealizowania tzw. bezpieczeństwa w wschodniej Europie i powiedział, że "en tout cas, je ne veux pas vous aider".

Kiedy w trakcie rozmowy Eden wspominał, że podczas pobytu swego w Moskwie poznał Stalina, Marszałek odezwał się w następujący sposób: "Je vous félicite. Quand je vois son portrait, je crois voir un brigand!" Powiedzenie to wywołało ogólny wybuch śmiechu.

Rozmowa z gen. Sosnkowskim. 24 styczeń 1936.

Generał rozpoczął rozmowę od stwierdzenia, że nie jest zadowolony ze składu osobowego naszej delegacji na pogrzeb króla Jerzego. Uważa, że jest ona zupełnie niewystarczająca. Dotąd, we wszystkich wypadkach, kiedy wysyłałimy delegacje na oficjalne pogrzeby zagranicę, robiliśmy zawsze jeden i ten sam błąd: dobieraliśmy ludzi według tego, co znaczą oni na wewnątrz Polski. Jest to założenie z gruntu fałszywe, gdyż np. w Anglii nie muszą wcale wiedzieć, kto jest gen. Sosnkowski, natomiast osoba każdego naszego Premiera będzie tam z pewnością znana, a w każdym razie godność, którą piastuje, będzie dla niego wystarczającym biletem wizytowym. Już w czasie pogrzebu króla Alberta, a następnie króla Aleksandra popełniliśmy ten błąd fatalny: nie pozostał on bez konsekwencji. Zwłaszcza w Belgradzie przysłanie gen. Wieniawy-Długoszewskiego przyjęte zostało w wyraźnym niezadowolonym. Zdaniem generała, na pogrzeb króla Jerzego winien pojechać Prezydent R. P. Skoro zaś to nie jest możliwe do przeprowadzenia to trzeba by wziąć kolejno pod uwagę następujące kandydatury: Premier, gen. Rydz-Śmieły, min. Beck. Za niezbyt szczęśliwe noszenie uważa również przydzielenie do delegacji admirała Unruga. Jeśli uprzytomnimy sobie dysproporcję, jaka zachodzi między naszą flotą a flotą brytyjską, to zrozumimy, że delegowanie na pogrzeb króla angielskiego — polskiego admirała ma posmak zgoła niepoważny. Osobiście z wy-

jazdu również nie jest zbyt zadowolony, gdyż zasadniczo wszelkiej reprezentacji nie lubi.

Następnie rozmowa przeszła na tory polityczne. Generał podkreślił, że zdaje sobie doskonale sprawę z faktu, iż uchodzi w opinii polskiej za standardowego przedstawiciela polityki filo-francuskiej. Pochodzi to stąd, że przymierze polsko-francuskie z 1921 r. było przez niego znegocjonowane i podpisane. Zresztą i ze strony francuskiej spotyka się z zupełnie specjalnymi względami. W tych warunkach nie będzie się mógł prawdopodobnie uchylić od przeprowadzenia w Londynie rozmowy z gen. Gamelin. Nawiązanie bezpośredniego kontaktu z szefem sztabu francuskiego uważałby zresztą za rzecz korzystną, tym bardziej, że jest zwolennikiem wyklarowania naszych stosunków z Francją. Zgadza się ze mną, że Francja postępowała wobec nas nieraz nielojalnie, niemniej jednak jest przekonany, że poprawa stosunków polsko-francuskich leży na linii naszych interesów, jest ona bowiem zasadniczym warunkiem utrzymania się naszej obecnej pozycji w Berlinie. Pragnąłby uniknąć w swych ewentualnych rozmowach z gen. Gamelin wszelkich rozbieżności, między tym co powie, a tym co Francuzi zwykli słyszeć jako oficjalne tezy polskiej polityki. Dlatego wdzięczny byłby bardzo za dostarczenie mu notatki, zawierającej wyszczególnienie tych wszystkich momentów, które obciążają stosunki polsko-francuskie. Chodzi mu tak o zarzuty francuskie wobec Polski, jak i polskie wobec Francji. Mówiąc o stosunkach naszych z Francją, wspominałem generałowi o rozmowie mej z Marszałkiem Piłsudskim z dn. 26. XII. 1934 r., w czasie której Marszałek mówił o konieczności badania internum francuskiego, o konieczności zgłębienia, co to są naprawdę siły wewnętrzne Francji i jaki jest ich zasięg. Generał zaznaczył, że powyższe wskazania Marszałka doskonale pamięta, ale oświadczył, że wprowadziłby do nich tę korektywę, że poza obcym trzeba badać i własne internum.

W dalszym ciągu rozmowy zapytałem generała o opinię co do stosunków naszych z Niemcami. Odpowiedział, że, o polityce zbliżenia z Niemcami mówił swego czasu na posiedzeniu inspektorów armii pod przewodnictwem Marszałka Piłsudskiego i że zawsze zastanawiał się nad celem, który przyświecał Marszałkowi, kiedy inicjował porozumienie z Berlinem. "Jakkolwiek nigdy nie mogłem uzyskać na to odpowiedzi, rozumiałem zawsze, że ta cała robota jest na to, by dostać Francję".

Generał podkreślił dalej, że ze strony niemieckiej spotyka się osobiście z wielkimi awansami. Przy okazji pobytu swego w Polsce, Goering, prosił go już dwukrotnie do Berlina. Ostatnio dostał od niego zaproszenie do Rominten na polowanie. "Te polowania stały się już zwykłym sposobem organizowania politycznych spotkań polsko-niemieckich". Sądzi z powyższego zachowania się strony niemieckiej, że w czasie pobytu swego w Londynie znajdzie się ponownie pod presją niemiecką, by w drodze powrotnej do Polski odwiedził Berlin. Jest jednak

zdecydowany na zaproszenie takie odpowiedzieć odmownie. Celem posiadania ku temu odpowiedniego pretekstu prosi mnie o wystosowanie do niego do Londynu telegramu z prośbą o powrót przez Wiedeń "dla omówienia tam wiadomej sprawy".

W zakończeniu rozmowy, generał poruszył problem stosunków wewnętrznych w Polsce. Podkreślił, że — jego zdaniem — postulaty polityki wewnętrznej i gospodarczej winny być harmonizowane z wymogami polityki zagranicznej. Miewa pod tym względem dyskusje z Beckiem, który problemy te w odmienny sposób ujmuje.

Rozmowa z ks. Zdzisławem Lubomirskim¹⁾
(na śniadaniu u mnie). 8 lutego 1936.

Opowiadał mi poszczególne fragmenty swych stosunków z Marszałkiem. Pierwszą z nim rozmowę miał, gdy był jeszcze Prezydentem miasta Warszawy. Marszałek przyjechał wtedy do Warszawy i wyraził chęć porozmawiania z nim, gdyż — jak się wyraził — "mogą we dwóch wziąć Polskę za łeb". Ks. Lubomirski przyjął go jednak chłodno, gdyż widział w nim eksponenta elementów skrajnie lewicowych.

Kiedy Marszałek zapowiedział przemówienie publiczne do tłumu z balkonu hotelu "Victoria" na Placu Zielonym, Książę postarał się, by tego przemówienia nie było, a spowodował nawet wyjazd Marszałka tego samego dnia z Warszawy. Kierował się w tym wypadku obawą przed niepożądanymi zajściami, wiedział bowiem, że po wkroczeniu do Warszawy, Niemcy zapowiedzieli, że na żadne zgromadzenia na ulicy nie pozwolą, a w razie oporu będą strzelali.

Kiedy Marszałek wracał z Magdeburga, to Książę oczekiwał go na dworcu, skąd zabrał go do siebie. Na dworcu był wtedy również Koc, którego Książę jednak do rozmowy nie dopuścił. Obecnie z Kocem łączą go najlepsze stosunki i nieraz sobie ten moment wspominają.

Bardzo ostrą dyskusję z Marszałkiem odbył po utworzeniu rządu Moraczewskiego²⁾. Kiedy Marszałek oświadczył "byłem to winien moim dawnym towarzyszom", Książę zapytał osro: "a co Pan Naczelnik jest winien Polsce"? Na co Marszałek wyszedł i tak trzasnął drzwiami, jak później Lubomirski nigdy nie słyszał. Wieczorem przyszedł znowu i zaczął rozmowę od słów: "unicielem się trochę".

Książę powiedział mi, że wszystkie rozmowy z Marszałkiem ma spisane; pozwoli je jednak ogłosić dopiero po swojej śmierci.

1) Ks. Zdzisław Lubomirski, prezydent m. Warszawy, członek Rady Regencyjnej 1917-18, przekazał władzę Piłsudskiemu w listopadzie 1918, później senator.

2) Jędrzej Moraczewski, socjalista, mianowany premierem przez Piłsudskiego (listopad-grudzień 1918), później minister "sanacyjny".

Rozmowa z p. Augustem Zaleskim. 27 kwiecień 1936.

Opowiadał mi, że na którymś z ostatnich przedwyborczych zebrań francuskich doszło do znamiennych oświadczeń w sprawach polskich. Kiedy francuski minister oświaty poruszył problem paktu z Sowietami został przez kogoś z obecnych zainteresowany o stosunek tego paktu do aliansu francusko-polskiego. Odpowiedział, że jako członek rządu jest skrupowany w wypowiedzaniu opinii, ograniczy się więc tylko do stwierdzenia, że właściwa granica między Niemcami a Rosją przebiega po wschodniej granicy Niemiec.

Zaleski podkreślił dalej, że jest w posiadaniu wiadomości, z których wynika, że polityka francuska odwróciła się już od nas w sposób całkowicie zdecydowany. Będzie ona nam robiła na każdym kroku trudności, a na pierwszy plan pójdzie domaganie się spłaty naszych zobowiązań, przy czym w tym kierunku pierwsze kroki zostały już zrobione przez stronę francuską. Odchodząc szepnął mi do ucha: "to wszystko skierowane jest przeciwko pańskiemu szefowi a nie przeciwko Polsce".

Rozmowa z gen. Rydzem-Śmigłym. 30 czerwca 1936 r.

Następnie rozmowa przeszła na problemy polityki zagranicznej. Rydz-Śmigły podkreślił z naciskiem pragnienie, by stosunki z Francją uległy wyrównaniu. Jest to zasadniczy warunek uzyskania na rynku francuskim kredytów wojskowych, o które generałowi bardzo chodzi. Kiedy wyraziłem się sceptycznie o możliwościach uzyskania kredytów we Francji, generał oświadczył, że nie ma prawie dnia, by nie zgłaszali się w wojsku agenci francuscy z propozycjami zapośredniczenia w transakcjach kredytowych.

Stwierdzając konieczność kontynuowania polityki porozumienia z Niemcami, generał podkreślił, że należy jednak równocześnie bardzo wobec Niemiec mieć się na baczności. Zbrojenia niemieckie są bowiem niewątpliwie i przeciw nam skierowane. Na razie potrzeba jeszcze 2-3 lat, by doszła do pełnej gotowości bojowej. Nie jest wykluczone, że istotnie Niemcy obecnie wojny nie chcą. Jest to jednak tylko rezerwowanie sobie czasu dla przygotowania wszystkich swych sił do ataku.

Zwróciłem uwagę Generała na fakt, że III Rzesza przejawia tendencje kierowania swej ekspansji w kierunku południowym oraz podkreśliłem, że państwo hitlerowskie przejawia o wiele mniej zainteresowania dla Śląska i Prus Wschodnich, niż to miało miejsce w wypadku Królestwa Pruskiego. Generał odpowiedział, że cała granica Prus Wschodnich jest bardzo silnie ufortyfikowana, a brak podobnych fortyfikacji na Śląsku wskazywałby nie tyle na pewne negligowanie tego te-

renu, co na przeznaczenie w planie strategicznym temu odcinkowi roli bramy wypadowej. Oświadczył wreszcie, że wielką wagę przykładą do spraw gdańskich; jest bowiem przekonany, że tam powstanie konflikt, który spowoduje wojnę polsko-niemiecką.

Rozmowa z min. Beckiem. 21. grudzień 1936 r.

Następnie podzielił się ze mną pewnymi swych przewidywaniami co do rozwoju sytuacji w Europie. Jego zdaniem przyjąć może niebawem moment powzięcia przez Polskę zasadniczych decyzji... Nie wyklucza, że jeśli sprawy hiszpańskie przestaną się nadal komplikować, to Mussolini może powziąć decyzję aktywnego i otwartego wmiśzania się do sprawy. Francja nie będzie prawdopodobnie zdolna do zareagowania na ten krok włoski. Blum się nie ruszy, komuniści zaś będą pchali do wzięcia udziału w rozgrywce. W rezultacie Francja będzie całkowicie od wewnątrz sparaliżowana. Taki stan rzeczy może się odbić poważnymi komplikacjami w centralnej Europie przede wszystkim na odcinku czechosłowackim.

W takim wypadku stanie przed Polską do wyboru pięć rozwiązań, z których dwa — zdaniem jego — byłyby nie do przyjęcia: zachowanie pozycji pasywnej, względnie połączenie się z Czechami przeciw Niemcom. Pozostawało by więc, albo 1) obsadzić Cieszyń, pozwolić Węgrom zająć Ruś Podkarpaczką i odzyskać z nimi wspólną granicę. Co do Słowaczyny — powiedzieć w Budapeszcie, że tę sprawę przegrali i stworzyć z tego kraju rodzaj państwa-buforu pod naszym wpływem i opieką. To rozwiązanie wymagałoby posłania kilku dywizji na granicę sowiecką, 2) pójść na Kowno, 3) zająć Gdańsk.

Audiencja socjalistów na Zamku. 16 listopada 1937 r.

Minister (Beck), rozwodził się szeroko na ten temat. Podkreślił, że dodatek nadzwyczajny "Dziennika Ludowego", który w komentarzu do memoriału, złożonego przez socjalistów na Zamku, dawał do zrozumienia, że Prezydent akceptuje sprecyzowany w tym memoriale punkt widzenia, był dla niego nie do przyjęcia. Połączył się więc natychmiast telefonicznie z Zamkiem i poprosił Prezydenta o upoważnienie do skonfiskowania ex post dodatku nadzwyczajnego "Dziennika Ludowego" i wydanie odnośnego komunikatu, gdyż inaczej musiałby zgłosić swą dymisję. Powiedział również Prezydentowi, że miał za szczyt podpisać konstytucję kwietniową i jest ostatnim, który by nie uszanował w pełni praw politycznych Prezydenta R.P., ale nie może nie stwierdzić, że mógł oczekiwać uprzedzenia go przez Kancelarię Cywilną o mającej się odbyć audiencji. Zdaniem Becka, Kancelaria Cywilna dopuściła się wielkiego zaniedbania, dopuszczając do wręczenia przez socjalistów Pre-

zydentowi memoriału, uprzednio go nie czytając. Prezydent nie był w stanie w czasie audyencji dokładnie go przestudować; rzucił tylko nań okiem i oświadczył, że się z nim nie zgadza. Socjaliści zaś nadużyli dobrej woli Prezydenta, gdyż kiedy spytali go, czy mogą memoriał opublikować, Prezydent odpowiedział, że pozostawia to ich taktowi.

Rozmowa z p. Skiwskim. 18 listopad 1937 r.

Przeszliśmy do omawiania sytuacji wewnętrznej. Socjaliści, którzy byli przyjęci dn. 13 bm. na Zamku, rozgłaszają, że Prezydent obdarza pełnym zaufaniem jedynie min. Kwiatkowskiego i Poniatowskiego oraz, że rozmowy rozpoczęte w sobotę z głową Państwa będą kontynuowane. Lansuje się również tezę, że o ile by nie doszło do jakiegoś porozumienia z rządem, to na wiosnę rozpoczęłyby się próby strajku generalnego. Pod naporem dółów partyjnych już obecnie planowano zorganizowanie takiego strajku. Prowodrzy partyjni nie mają jednak na to ochoty, bo nie są pewni, czy strajk taki by się udał.

Socjaliści robią poza tym wyraźne awanse w stosunku do ludowców, ale ci nie pragną fuzji i do porozumienia między tymi dwoma odłamami opozycji na razie przynajmniej nie doszło. Akcji socjalistów przypisuje się poparcie ze strony frontu Morges. Kursują również pogłoski, że obecnie przedstawiciele ludowców zostaną przyjęci na Zamku. Jeżeli to nastąpi, to ludowcy z pewnością poruszą wobec Prezydenta sprawę emigrantów politycznych. Mówi się również ogólnie o nieporozumieniach między Zamkiem a Naczelnym Inspektoratem.

Rozmowa z b. premierem Kozłowskim. 29 marzec 1938 r.

Rozpoczęliśmy od omawiania sprawy litewskiej. Kozłowski określił rozwiązanie konfliktu z Kownem jako nasz sukces, podkreślił przy tym naszą wielką wstrzeźliwość, większą może nawet niż się tego z kraju spodziewano, "ale może to i lepiej". W dalszym ciągu swych wywodów Kozłowski stwierdził, że — jego zdaniem — polityka zagraniczna jest najjaśniejszym odcinkiem w Polsce. Prowadzona jest według wskazań Marszałka Piłsudskiego. Natomiast sytuację wewnętrzną państwa ocenia po prostu jako groźną. W rządzie panuje "bałagan"; niemal każdy minister reprezentuje inny kierunek polityczny. Cały kraj w stosunku do rządu mówi zgodnie nie! Pod tym względem opinia jest jednolita. Natomiast co do programu pozytywnego, to podobnego uzgodnienia poglądów na darmo trzeba szukać.

Kozłowski stwierdził dalej, że zaraz po śmierci Marszałka zaczęto wszystko robić niezgodnie z tradycją polityczną Marszałka. Marszałek miał np. wielkie zaufanie do Sławka i Prystora; obu ich usunięto. Marszałek zdecydował, że na jesień 1935 r. będzie obrany Prezydentem R.P. Sławek, wiadomo również kogo desygnował na premiera, zrobiono jednak prze-

ciwnie, pomijając wszystkie wskazania Marszałka. Jeśli chodzi o politykę gospodarczą, to tezę Marszałka było: tylko bez wielkich cudów. Obecna polityka gospodarcza z tezą tą stoi w oczywistej sprzeczności. W zakresie polityki rolnej Marszałek mówił, że czym prędzej zmienić kierownictwo, tym lepiej. Tylko w zakresie polityki zagranicznej Polska idzie śladami wyznaczonymi przez Marszałka, w innych dziedzinach ślady te zatarła. On może o tym mówić, gdyż wprawdzie niezbyt często, ale jednak od czasu do czasu miał okazję rozmawiać o tych problemach z Marszałkiem, którego myśli i sądy wówczas wypowiedane są dla niego sprawdzianem porównawczym tego, co się obecnie dzieje. Załatwienie sprawy litewskiej nastąpiło natomiast zupełnie według recepty Marszałka: umiarkowanie żądań, ale maximum nacisku. Beck kieruje naszą polityką w sposób znakomity. Jedynie odnośnie do strony wewnętrznej życia państwowego, to odgrodził się od niej drutem kolczastym, poza który nie wychodzi.

Rozmowa z min. Beckiem. 27 czerwiec 1938.

Minister scharakteryzował dalej pozycję, jaką zajmuje w wewnętrznej i zagranicznej polityce Polski. Z wypowiedzi jego na ten temat wyczułem, że posiada wyraźne poczucie swej wartości. Dawał do zrozumienia, że w Polsce było właściwie tylko dwóch ministrów spraw zagranicznych, zasługujących na to miano: on i śp. Aleksander Skrzyński. Ten ostatni pracował tylko w trudniejszych od niego warunkach, tym większa więc jego zasługa. Musiał się on liczyć z rozstrojem wewnętrznym Polski, nie miał właściwie dla swej pracy i dla swych koncepcji żadnego w kraju "Hinterlandu". Minister mówił dalej o śp. amb. Władysławie Skrzyńskim. Podkreślił, że dowodem wielkiej jego wartości było, że potrafił odrzucić cały obciążający balast swojej austriackiej przeszłości i wżyć się w nowe warunki i nowe czasy.

Gdy zapytałem Ministra incydentalnie czemu zawdzięczałem, że marsz. Piłsudski wyróżnił mnie posyłając mnie do Bukaresztu, Minister odpowiedział, że Marszałek uważał, iż się nie kłaniam wielkim mocarstwom, co wówczas było w Polsce rzadkością. Omawialiśmy dalej cały szereg personalii w polityce wewnętrznej. Minister podkreślił m. in., że bardzo wysoko ceni b. premiera Bartla, wyrósł on całkowicie własnym wysiłkiem i własną zasługą. Sam się wychował i wyuczył, nie miał żadnej szkoły domowej. Jako młody człowiek kołysał dzieci majstrowej, u której pracował. Minister przypisuje również duże walory osobie b. premiera Janusza Jędrzejewicza. Z wywodów Becka wynikało wyraźnie, że jest uszczęśliwiony z wyboru płk. Sławka na Marszałka Sejmu. Mówił o nim w sposób niezmiernie uczuciowy.

Rozmowa z Nuncjuszem Cortesi. 27 październik 1938 r.

Wręczyłem mu notatkę (wraz z mapą), dotyczącą sprawy podziału archidiecezji lwowskiej i utworzenia diecezji z siedzibą w Stanisławowie. Udzieliłem przy tym Nuncjuszowi szeregu wyjaśnień dodatkowych. Przyjął notatkę bez czynienia specjalnych uwag.

Następnie oświadczyłem, że pragnę nawiązać do naszej poprzedniej prywatnej rozmowy, odnoszącej się do utworzenia diecezji obrządku bizantyńsko-słowiańskiego w Kowlu. Już z mej ówczesnej reakcji na jego odnośną propozycję mógł wywnioskować, że odnoszę się do takiego projektu negatywnie. Nuncjusz odpowiedział skinieniem głowy. Chcąc jednak sprawdzić własne poglądy, sprawę tę przemyślałem i pragnę mu dziś w formie czysto prywatnej powiedzieć, co następuje. Doszedłem do przekonania, że utworzenie takiej diecezji jest zupełnie niemożliwe, że nikt w Polsce tego nie zaakceptuje i że żaden rząd polski przez podobne trudności by nie przeszedł. Poza tym stawianie tej sprawy nie może ułatwić stosunków między Rządem a Watykanem.

Nuncjusz, wyraźnie bardzo niezadowolony z mego oświadczenia, odpowiedział, że podobne argumenty słyszał już z ust dr Borkowskiego¹⁾. Mimo to musi stwierdzić, że pod względem religijnym stosunki panujące na kresach wschodnich należy uznać za niemożliwe, wobec czego powstaje konieczność uregulowania sytuacji. Na obszarach kresowych panuje stan religijnego prześladowania. Ze strony władz robi się wszystko dla obrządku łacińskiego i prawosławia, a obrządek bizantyńsko-słowiański się prześladowa. Nuncjusz zacytował mi fakty, które miały miejsce w Hrubieszowie, w kaplicy znajdującej się pod opieką zakonnic obrządku bizantyńsko-słowiańskiego. Według oświadczenia Nuncjusza miejscowe starostwo zastosowało w stosunku do tych zakonnic niezwykle ostre represje. Podobnie system największych szykan stosuje się do ojca Kapucyna, narodowości holenderskiej, który dojeżdża do seminarium w Pińsku z wykładami. Nuncjusz podkreślił, że takich faktów mógłby mi wiele cytować.

Odpowiedziałem, że z poszczególnych faktów nie można wyciągać wniosków ogólnych. Na obszarach granicznych stosowane są pewne specjalne zarządzenia i nie można wymagać, by pod tym względem w stosunku do kościoła czynione były jakieś wyjątki.

Nuncjusz odpowiedział na powyższe, że na terenach, o których mowa, ma się do czynienia z systemem zwalczania obrządku bizantyńsko-słowiańskiego oraz, że o sytuacji na tym terenie jest bardzo dobrze poinformowany. "Nuncjusz rozmawiając z rządem jest ściśle udokumentowany".

Na moją konstatację, że nie możemy uważać obrządku bi-

1) Ówczesny naczelnik wydziału wyznań w Min. W. R. i O. P.

zatyńsko-słowiańskiego za zjawisko pozytywne, Nuncjusz zaznaczył, że dziwi go podobne stanowisko w stosunku do obrządku będącego częścią składową świata katolickiego.

Oświadczyłem, że skoro rozmawiamy czysto prywatnie, to mogę mu powiedzieć, iż moim czysto osobistym zdaniem unia była nieszczęściem Polski.

Rozmowa z prof. Grabskim. 27 października 1938 r.

(na przyjęciu wieczornym u Becka z okazji wręczenia mu przez senat akademicki dyplomu doktora honoris causa Uniwersytetu Lwowskiego)

Na wstępie mówiliśmy o ostatnich wydarzeniach politycznych. Prof. Grabski zaznaczył, że — jego zdaniem — załatwienie sprawy Śląska Zaolzańskiego było doskonale przeprowadzone. Natomiast ma duże zastrzeżenia co do naszej pracy propagandowej. Poza tym, ponieważ mieszka w Małopolsce Wschodniej, więc na cały problem kryzysu zapatruje się z punktu widzenia reakcji, jaką zasada samostanowienia wywiera na ruch ukraiński. Reakcja ta jest bardzo silna i tym się tłumaczy, że we Lwowie sprawa Zaolzia nie wzbudza takiego entuzjazmu, jak w reszcie Polski. Istotnie bowiem, wysunięcie zasady samostanowienia jest niebezpiecznym precedensem z uwagi na problem ukraiński.

W dalszym ciągu rozmowy Grabski przedstawił mi bardzo radykalny program odnośnie do zagadnienia ukraińskiego w Polsce. Mówił mi, że we Lwowie zorganizowano rodzaj Arbeitsdienstu spośród młodzieży polskiej, w lecie organizacja ta pracowała na terenie całej Małopolski Wschodniej. Celem tej roboty jest uświadamianie elementów polskich biernych narodowo. Grabski podkreślił dalej, że najtrudniejsza jest sytuacja samego Lwowa, który jest otoczony pierścieniem powiatów ukraińskich. Na terenie tym trzeba przeprowadzić intensywną akcję polonizacyjną. Przede wszystkim należy przeciwdziałać działalności ukraińszczyźnianej księży ruskich.

Następnie mówiliśmy o sprawach kościelnych. Prof. Grabski wystąpił bardzo gwałtownie przeciw obrządkowi słowiańsko-bizantyńskiemu. Wypowiedział się jako gorący zwolennik podziału archidiecezji lwowskiej i utworzenia nowej diecezji łacińskiej, której siedziba winna być — jego zdaniem — w Tarnopolu.

Rozmowa z p. Mühlsteinem. 20 grudzień 1938 r.

Zaczął od ostrego ataku na naszą politykę w stosunku do Żydów, a zwłaszcza na ustawę o pozbawianiu obywatelstwa. Okreś-

1) Stanisław Grabski, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, jeden z założycieli PPS razem z Piłsudskim, później leader Narodowej Demokracji 1919-1926, sympatyk Ozonu 1935-1939, sikorszczyk 1939-1944, wreszcie agent Bleruta po Jalcie.

lił ją jako "wielkie głupstwo" i posunięcie bardzo błędne i fałszywe. Jej celem było zmniejszenie ilości Żydów w Polsce w rezultacie zaś, na skutek wydań niemieckich, ilość ta zwiększyła się o 20 tysięcy osób, nie mówiąc już o tym, że ustawa ta była powodem zwiększenia się nieludzkich prześladowań Żydów w Niemczech.

Mówiąc następnie o stosunkach polsko-niemieckich, Mühlstein stwierdził, że się ostatnio bardzo popsuly. Jest zdania, że Hitler nigdy nie daruje nam pociągnięcia sowieckiego (komunikat polsko-sowiecki). Mühlstein uważa, że nasze stanowisko w sprawie sudeckiej było błędne i fałszywe. Powinniśmy byli wystąpić we wrześniu jako mediatorzy, oświadczając Niemcom, że o ile nie zadowolą się postulatami karlsbadzkimi, to w takim razie Polska stanie po stronie Zachodu. Takie stanowisko byłoby — jego zdaniem — wzmocniło naszą pozycję, nie tylko na Zachodzie, ale i w Niemczech.

Według oceny Mühlsteina, we Francji popsuliśmy sobie naszą sytuację gruntownie; można powiedzieć, że alians przestał już istnieć. Rozmowy v. Ribbentropa z politykami francuskimi poszły dobrze. Alians francusko-angielski należy uważać za niewzruszony. Mühlstein przewiduje najdalej za 1 i pół roku wielki konflikt między Niemcami a Rosją, który przekształci się w potężną katastrofę, która obejmie wschodnią półkulę od Renu po Pacyfik. Niemcy swoim stanowiskiem zmusza nas do pójścia z nimi razem. W konflikcie tym dojdzie do wytepienia kilkuset tysięcy Żydów.

Rozmowa z amb. Lipskim. 8 styczeń 1939 r.

Opowiadał mi szczegółowo przebieg spotkania Becka z Hitlerem w Berchtesgaden. Rozmowa toczyła się w obecności Ribbentropa, von Moltke, Lipskiego i Lubińskiego.

Hitler zapytał na wstępie Becka, czy ma do niego jakieś specjalne zapytania, gdyż chętnie mu służy wszelkimi wyjaśnieniami. Beck zazaczył, że pragnął spotkać się z Kanclerzem, gdyż istnieją dwa zagadnienia, co do których chciał móc wymienić zdania: 1) sprawy związane z rozkładem Czechosłowacji; 2) sprawy gdańskie.

Wówczas Hitler zazaczył, że stale i niezmiennie dąży do tego, by utrzymać z Polską linię polityczną, zapoczątkowaną układem z 1934 r. Wspólność interesów Niemiec i Polski odnośnie Rosji jest — jego zdaniem — zupełna. Dla Rzeszy — Rosja czy to carska czy bolszewicka jest równie niebezpieczna. Bolszewicka może gorsza z uwagi na propagandę komunistyczną, za to carska niebezpieczniejsza wojskowo i bardziej imperialna. Z tych względów Polska silna jest dla Niemiec po prostu koniecznością. Kanclerz zrobił w tym momencie uwagę, iż każda dywizja polska zaangażowana przeciwko Rosji jest oszczędzeniem odpowiedniej dywizji niemieckiej. Kanclerz stwierdził dalej, że

Ukrainą interesuje się jedynie z punktu widzenia gospodarczego, natomiast politycznie nie ma tam zainteresowań.

Następnie Hitler przystąpił do wyjaśnienia swojej polityki związanej z arbitrażem wiedeńskim, przy czym bardzo silnie skrytykował stanowisko i politykę Węgier w tej sprawie. Na początku kryzysu sudeckiego liczył na ofensywne wystąpienie Węgier, do czego ich namawiał. Gdy zaś Węgry zachowały się biernie, musiał rozwiązać sprawę Rusi podjąć na własną rękę. Istniały dwie bazy rozwiązania tego problemu: polityczna i narodowościowa. Na rozwiązanie polityczne pójść nie mógł, bo — skoro Węgry nie dopisały, musiałyby być na nowo mobilizować, a wie, że na mobilizację jednej dywizji niemieckiej Francja odpowiedziałaby mobilizacją dwóch swoich dywizji i tak szłoby to ad infinitum in crescendo. Wobec tego musiał stanąć na platformie narodowościowej i to było podstawą stanowiska niemieckiego w czasie arbitrażu wiedeńskiego. Jeszcze raz podkreślił, że sprawą Ukrainy nie jest zainteresowany, ale że musi zachowywać baczność obserwację tego problemu. Zapewnił, że w każdym razie nic w tej kwestii nie podejmie przeciwko Polsce.

Przechodząc następnie do spraw gdańskich, Hitler podkreślił, że cała trudność polega na tym, że jest to miasto niemieckie. I tu rzucił dość wyraźną aluzję, że kiedyś Gdańsk do Rzeszy powróci. Twierdził, że to jednak w niczym nie zacieśni wszelkich uprawnień Polski w Gdańsku i zapewnił, że w każdym razie Rzesza nie zaskoczy nigdy Polski faktami dokonanymi. Zazaczył, że — jego zdaniem — można by na drodze wspólnego porozumienia znaleźć jakieś wyjście z sytuacji i osiągnąć jakąś formę zabezpieczenia słuszych interesów tak Polski jak i Niemiec. Gdyby się udało dojść w tej sprawie do porozumienia, to można by zupełnie i definitywnie wyczyścić i usunąć wszelkie trudności między obu państwami. Podkreślił, że gotów byłby dać w takim razie podobne oświadczenie do tego, jakie złożył wobec Francji odnośnie Alzacji i Lotaryngii, a wobec Włoch odnośnie Brenneru. Zwrócił wreszcie uwagę, nie precyzując tego silnie, na potrzebie większej swobody komunikacji między Niemcami a Prusami Wschodnimi.

Beck odpowiedział Hitlerowi bardzo mocno, że istotnie to co powiedział w sprawie Gdańska nie usuwa trudności między obu naszymi państwami; że on dla sprawy gdańskiej nie widzi w ogóle żadnego ekwiwalentu; że cała opinia polska jest na punkcie tej sprawy specjalnie drażliwa. I to nie opinia ludzi politykujących w kawiarniach warszawskich, ale opinia najgłębszych sfer społeczeństwa polskiego. Na to dictum Hitler nieco się cofnął ze swego stanowiska i zaczął mówić o możliwości znalezienia takich rozwiązań, które by mogły zabezpieczyć słusze interesy tak Niemiec jak i Polski.

Beck powiedział następnie swojemu otoczeniu, że rezerwuje sobie silniejsze zaakcentowanie swojego stanowiska w rozmo-

wie z v. Ribbentropem, gdyż w tak licznej kompanii nie mógł narażać całej rozmowy na zerwanie.

Podczas herbaty, którą następnie podano, toczyła się ogólna rozmowa na temat planów i projektów Hitlera w zakresie rozbudowy życia gospodarczego i kulturalnego Niemiec. Hitler wtrącił przy tym, że następstwo po nim obejmie Goering.

Rozmowa z p. Łubieńskim

Powtórzył mi mniej więcej to samo, co przed chwilą usłyszałem od Lipskiego na temat spotkania w Berchtesgaden... O Litwie i sprawie Kłajpedy Hitler wyrażał się oględnie, dając do zrozumienia, że nie posiada tam zainteresowań terytorialnych. Podkreślił natomiast silnie, że przedmiotem jego zainteresowań nie jest Ukraina, a sprawy kolonialne, które postawi teraz na porządku dziennym. Zakreślił też pewne plany kolaboracji z Polską w tym zakresie i wystąpił z bliżej nieskrystalizowanymi projektami załatwienia sprawy żydowskiej na płaszczyźnie kolonialnej, przy podkreśleniu możliwości współdziałania w tym względzie z nami.

Następnie Łubieński dał mi szereg szczegółów odnośnie przebiegu rozmowy Becka z Ribbentropem w Monachium. Zaznaczył dalej, że Beck wyszedł z tych rozmów zły na stronę niemiecką i ożywiony projektem aktywizowania obecnie stosunków z Anglią i Francją.

Raport z Rzymu amb. B. Wieniawy-Długoszewskiego, datowany dn. 16 maja 1939 r.

znaleziony w papierach hr. Jana Szembeka.

Ambasada R.P. w Rzymie

Nr 3/14

Rzym, dn. 16 maja 1939 r.

Tajne.

Sprawozdanie z rozmowy z hr. Ciano,
która miała miejsce 15. V. 1939 r.

Do Pana Ministra Spraw Zagranicznych
w Warszawie.

Rozmowę rozpocząłem ja, oznajmieniem, że prosiłem o nią po to, by dostać od niego jasną odpowiedź i wyjaśnienie, na czym polegają plotki, kolportowane przez prasę włoską, między innymi, a obiegające także i korpus dyplomatyczny, plotki na temat jakichś poczynąń ze strony dyplomacji włoskiej w celu odprężenia stosunków polsko-niemieckich.

W tym miejscu przerwał mi Ciano, zaprzeczając tym pogłoskom i dodając, że podobnie delikatnej misji rząd włoski mógłby się podjąć jedynie na prośbę obu, lub przynajmniej jednej ze stron zainteresowanych, że zatem poczynania takie nie miały miejsca.

Zabierając głos ponownie, powiedziałem, że chęć uzyskania

wyjaśnień w tym kierunku była pierwotnym powodem mej prośby o widzenie się z nim i o rozmowę, że jednak informacje te w tej chwili nie są mi już potrzebne, a celem mej wizyty dzisiejszej, jest oznajmienie mu wobec przyjaznych naszych dotąd osobistych stosunków, że od ogłoszenia komunikatu o rezultatach spotkania Ciano - Ribbentrop noszę się z zamiarem poproszenia Pana Ministra Becka, mojego obecnego szefa, by mnie zwolnił z mych obowiązków reprezentowania Polski w Italii, że zamiar ten przybrał charakter decyzji po otrzymaniu wiadomości o *démarche* hr. de Valentino w Warszawie, że zatem *dziś* przez kuriera list z taką prośbą wysyłam do Warszawy w przekonaniu, że lepiej i pożyteczniej będę służył mej Ojczyźnie w szeregach armii.

Na to moje "dictum" zachnął się C., że przecie nie zachodzi bezpośrednio niebezpieczeństwo konfliktu, że Niemcy z powodu Gdańska nie rozpoczną wojny z nami, że *démarche* Valentino i jego oświadczenie o wojennej w każdym wypadku solidarności Włoch z Niemcami zostały podyktowane lojalnością wobec Polski, dla której Duce i on sam i cały naród włoski żywią niezmienną sympatię.

Odparłem mu, że o sympatiach i przyjaźni dla Polski narodu włoskiego jestem głęboko przekonany, że od czasu naszego zatargu z Niemcami dostaję ciągle od rozmaitych Włochów zapewnienia i dowody tej przyjaźni, że w Mediolanie np. święto nasze narodowe 3-go maja było po prostu manifestacją tych uczuć ze strony mieszkańców tego miasta, że jednak z przykrością muszę stwierdzić, iż prasa włoska w organach swych najbardziej związanych z rządem, jak np. osobisty przyjaciel Ciano — Ansaldo, w nieprzyzwoity po prostu sposób zaatakował Polskę, nasz rząd i osobę Ministra Becka, co nabiera specjalnego znaczenia, zwłaszcza w porównaniu ze stanowiskiem Węgier, znajdujących się w znacznie trudniejszym położeniu od Włoch, a zdobywających się mimo to na jasne stwierdzenie niezmierniej dla Polski przyjaźni także w oficjalnym przemówieniu premiera Teleky, wygłoszonym 15 kwietnia. "Po co zresztą długie rozhowory" — tak zakończyłem — "nie jestem dyplomatą z zawodu". Na propozycję Min. Becka zgodziłem się na objęcie funkcji ambasadora w Rzymie, gdyż miałem żywą sympatię dla narodu włoskiego, dla Pana, dla Duce. Dziś mogę Paźnia oznajmić, że broniłem nieraz i Pana i nawet samego Duce przed krytykami wychodzącymi często i z kół włoskich, nie mogłbym już tego robić nadal, wolę więc wracać do kraju do moich dawnych prostych i miłych obowiązków wojskowych.

"Wiem" — przerwał mi w tym miejscu Ciano — "wiem", wszyscy wiemy o tym, wszyscy nauczyliśmy się bardzo lubić pana i szanować. Mam też nadzieję, iż cokolwiek nastąpi pozostaniemy nadal przyjaciółmi. Porozmawiamy zatem i teraz nie jak minister z ambasadorem, lecz jak dwóch przyjaciół, Wieniawa i Ciano. Powiedz mi Pan czy nie widzi Pan możliwości,

byście się w jakiś sposób mogli porozumieć z Niemcami? Czy nie możecie im dać np. jakiejś komunikacji przez Pomorze?”

“Komunikacji z Prusami Wschodnimi mają Niemcy kilka. Dajemy im w tym kierunku wszystkie ułatwienia i moglibyśmy im dać jeszcze takie czy inne techniczne udogodnienia. Żadną miarą jednak nie możemy ustąpić nic z naszych suwerennych praw, wiemy bowiem dobrze, my Polacy, wie o tym równie dobrze Pan sam, wiedzą o tym i Niemcy i dlatego właśnie nalegają na to, że każde, nawet najmniejsze ustępstwo w tym kierunku pociąga za sobą dalsze ustępstwa aż do zupełnej utraty suwerenności. O nasze więc suwerenne prawa się rozchodzi w tym sporze, o naszą suwerenność, a nie o jakąś tam drogę, tor kolejowy, wiadukt, czy tunel”!...

“Tunel” — przerwał mi w tym miejscu C. — “Tunel! Wypowiedział Pan genialną myśl! Wieniawa, mon cher — pomyśl Pan — tunel! Wieleż szerokości ma Pomorze w największym miejscu? 40 - 50 km. Cóż wam może szkodzić tunel! Suwerenność nie dotyczy podziemia. Kaźcież Niemcom kopać tunel! Jak Pan myśli? Na tunel możecie przecież się zgodzić?”

“Chwyta się Pan jednego słowa, rzuconego dla przykładu, że nie o rodzaj komunikacji tu chodzi, lecz o inne bardziej zasadnicze sprawy. Na temat przypadkowego słowa nawet nie mogę z Panem dyskutować. Co zaś do naszego stanowiska, to znane ono jest dostatecznie całemu światu ze słów Ministra Becka. Chcemy pokoju, lecz nie za wszelką cenę, a w każdym razie nie za cenę naszej suwerenności i naszego honoru”.

Od tego momentu rozmowa zeszła na temat groźby przyszelej wojny, jej przebiegu i jej prawdopodobnego wyniku, rozmowa w której zaiste nie minister spraw zagranicznych jednego państwa rozmawiał z ambasadorem, lecz kapitan lotnictwa z generałem kawalerii, rozmowa, w której krzyżowały się takie np. argumenty: “Co wam pomoże Anglia, Anglia jest daleko” (Ciano). “Dalej jeszcze Mandżukuo, wasz sprzymierzeniec, a już w nieosiągalnej odległości węgiel, nafta, benzyna” (ja) — Albo co wam pomoże Francja? Gdybyśmy tylko mogli rozegrać tę wojnę we dwójkę, my przeciw Francji! Rozbiliśmy ich w dwa tygodnie (Ciano). — To samo powiadają i z taką samą pewnością w zwycięstwo Francuzi (ja). Oś jest niezwyciężona (Ciano). — Przez dwa tygodnie, bo później się przetrze, lub zostanie zmiażdżona (ja). Rozmowa ta we wszystkich swych perypetiach nie zasługuje na dokładne powtórzenie, może zaznaczyć mi należy zdanie Ciano — **“Jesteśmy przeciwnikami każdego, kto jest z Anglią i Francją”** — i streścić dwa wywody, które z całą żołnierską otwartością zaaplikowałem wojenniczemu ministrowi.

“Drogi Panie — powiedziałem doń — wojny już mają to do siebie, że każda ze stron, która się na wojnę decyduje, ma nadzieję, że ją wygra i każda może ją przegrać. Dla was w razie wojny z Niemcami (przy współdziałaniu Mandżukuo) przeciw prawie całemu światu istnieją także dwie ewentualności, w

tym wypadku jednak wyjątkowo bliźniaczo podobne, albo tę wojnę przegracie, no to oczywiście będzie to dla was klęską, albo ją wygracie, to znaczy wygrają ją Niemcy i to będzie dla was także klęską, może jeszcze gorszą, gdyż wówczas Niemcy zawładną bezkonkurencyjnie basenem Dunaju, Bałkanami, dopchają się przez Rumunię do Morza Czarnego, staną się waszym nieodparcie potężnym konkurentem na Morzu Śródziemnym, zabrawszy wam oczywiście południowy Tyrol, Triest, a może i Wenecję i Mediolan”.

Przy sposobności zaś wojowniczych i zwycięskich pogroźek pod adresem Francji na następujące pozwoliłem sobie rozumowanie:

“Gdy zastanawiam się nad nieustępliwością Francji wobec waszych realnych dziś rewindykacji, wolny port w Dżibuti, udogodnienia w Kanale Suezkim i jakaś poprawa norm prawnych dla kolonistów w Tunisie (tu przyznał mi C., że ich żądania ograniczają się do tych trzech punktów), gdy analizuję powody tej nieustępliwości Francuzów, dochodzę do zabawnego wniosku: Francuzom w gruncie rzeczy wcale nie zależy na oderwaniu was od Niemców — przeciwnie, chcą was zmusić do wojny ramię w ramię z Niemcami. Niechno Pan spróbuje rozumować wraz ze mną. Przypuśćmy, że wybucha wojna francusko-niemiecka, w której wy jesteście sprzymierzeńcami Francji. Co zyskuje Francja w razie zwycięstwa? Pozytywnie nic — uwalnia się jedynie na szereg lat od groźby niemieckiej i uzyskuje pewność utrzymania swych dotychczasowych granic. Wy zaś z takiego zwycięstwa wynosicie dominujące stanowisko w basenie dunajskim, dominujące wpływy na Bałkanach, a więc, wzrost waszego znaczenia na Morzu Śródziemnym, gdzie i tak czas wobec waszej rozrodzności i prężności gra dla was, na waszą korzyść, gra ciągle i niezmiennie. Kto wie? Może Francuzi przyszl do przekonania, że jedynym sposobem zatrzymania tego dziejowego procesu, tej nieuchronnie grożącej im waszej supremacji, która zalewem kolonistów włoskich grozi Tunisowi, ba, całej południowej Francji, może jedynym sposobem zahamowania jej jest militarne zwycięstwo nad wami. Dla tego celu trzeba więc pójść na wojnę z wami, trzeba zatem zmusić was do tego, byście byli przeciwnikami Francji, trzeba zmusić was do trwania w przymierzu z Niemcami. Sami przecież powiadacie, że w ramiona Niemiec wtrąciła was Francja. Może powodem tego nie była krótkowzroczna nieustępliwość i jakieś tam doktrynerskie awersje do reżimu faszystowskiego, lecz daleko przewidujące i konsekwentne plany”?!

Tak przyjemnie rozmawialiśmy sobie przez jakąś godzinę, po czym, przy rozstaniu, Ciano zapewnił mnie raz jeszcze o swej dożgonnej przyjaźni i raz jeszcze zaręczył mi, że Niemcy z powodu Gdańska i owej drogi przez Pomorze nie pójdą na konflikt zbrojny z nami, co upewniło mnie w przypuszczeniu, że rację mieli moi informatorzy, którzy gwarantowali mi, że Wło-

si podpisali, a raczej zgodzili się na podpisanie aliansu wojkowego z Niemcami pod warunkiem, że do wojny nie dojdzie.

Ambasador R. P.

(B. Wieniawa-Długoszewski).

Rozmowa z min. Beckiem. 30 maj 1939 r.

Zaznaczył, że pragnie przed latem ułożyć porządek spraw i uporządkować personalia. Miał zamiar zaofiarować mi ambasadę przy Watykanie, gdyż obsadzenie tej placówki jest sprawą pilną. W międzyczasie jednak sytuacja uległa zmianie. Lipski w Berlinie pozostać nie może, zgrał się tam, Minister zawsze może go posłać do Watykanu, "niech się tam ujada o biskupów i kardynałów". Zapytuje więc mnie, na razie zupełnie nieobowiązująco, czy przyjąłbym Berlin. Prosi, bym się zastanowił i możliwie szybko dał mu odpowiedź. Musi do Berlina posłać kogoś wytrawnego i spokojnego. Placówka ta nie jest przyjemna, ale dla państwa posiada wielką wagę. We mnie widzi odpowiednie kwalifikacje na to stanowisko. Wie, że się przykrościami nie będę przejmował, a jeśli v. Ribbentrop zacznie mi prawić nonsensy ruszę na to ramionami. W każdym razie ambasadorem w Berlinie nie może być poznańczyk. Minister zaznaczył, że i Wieniawę będzie musiał odwołać.

Podkreślił następnie, że sprawa naszych stosunków z Niemcami jest pierwszorzędnej wagi. Pięć lat ostatnich wykazało, że z Niemcami współżyć nie można, ale może jeszcze można zrobić próbę rozsądnego kompromisu. Są drobne wskazówki, że Niemcy chcieliby z nami porozmawiać. Nominacja ambasadora jest więc konieczna. Stosunki Rzeszy z Anglią są zresztą może gorsze aniżeli z nami. Jak będzie trzeba, to pójdziemy na wojnę. Nie wiadomo czy wojna będzie, ale Niemcy zdają sobie sprawę, że choćby nawet całą Polskę zajęły, to natkną się wówczas na Sowiety i będą miały przeciwko sobie całą czerwoną armię. Minister dodał, że jeżeli bym się nie podjął misji berlińskiej, to mogę pójść do Watykanu. Odpowiedziałem, że wysoko sobie cenię zaszczyt tej propozycji, iż za kilka dni dam odpowiedź. Muszę się jednak namyślić.

Rozmowa z p. Łepkowskim. 1 czerwiec 1939 r.

Analizowaliśmy wspólnie mowę Mołotowa i doszliśmy do wniosku, że wynika z niej, iż powróciła znowu do głosu stara doktryna leninowska, według której ZSSR winno dążyć do wywołania wojny między państwami burżuazyjnymi, z której tylko może wypłynąć korzyść dla rewolucji światowej.

Rozmowa z ministrem Beckiem. 1 czerwiec 1939 r.

Zakomunikowałem mu, że zasadniczo przyjmuję propozycję objęcia ambasady w Berlinie. Mam jednak pewne wątpliwości, które pragnąłbym z nim omówić. W Berlinie i innych stoli-

cach europejskich może być wrażenie, że Polska wysyła specjalnie ugodowego ambasadora i że może to nadać mej nominacji wyraźny i specyficzny akcent polityczny. Mam też pewne wątpliwości czy w związku z przytoczonym powyżej moim nastawieniem w stosunku do Niemiec, potrafię zachować pełny obiektywizm w ocenie sytuacji w Rzeszy.

Minister odpowiedział, że nie chodzi mu wcale o wysłanie do Berlina kogoś specjalnie bojowego. Druga wojna światowa podczas jednej generacji, to trochę za dużo. Trzeba uczynić wszelkie próby, by do tego nie dopuścić. Czy można być tak zupełnie 100-procentowo pewnym, że Anglia i Francja nas nie wygrają?

Minister zaznaczył dalej, że odwołując Lipskiego, będzie chciał prosić o agrément dla mnie.

„ŚWIATŁO”

Kwartalnik poświęcony sprawom społecznym, gospodarczym i politycznym życia polskiego w Kraju i na emigracji pod dyktando Zygmunta Zaremby.

Adres: 5, rue d'Alsace — PARIS (10°)

Cena zeszytu — 50 frs Rocznie — 200 frs.

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Kronika ukraińska

Ukraińcy a likwidacja Powstania Warszawskiego

«Rozumiem Was i współczuję Wam jako narodowi, macie jednak w stosunku do narodu polskiego na sumieniu straszliwą zbrodnię: udział Ukraińców w Powstaniu Warszawskim po stronie Niemców. Musicie fakt ten zasądzić, społeczeństwo Wasze musi się od tej sprawy odseparować. Uczyńcie to jak najprędzej w imię współpracy między naszymi obydwojma narodami»... takie to słowa usłyszałem niedawno od współpracownika «Kultury», pana P. Słowa te padły więc z ust niezwykle kulturalnego dziennikarza polskiego, reprezentującego pismo, należące do szczytowych osiągnięć nie tylko polskiej, lecz bezsprzecznie całej emigracji wschodnio-europejskiej. Wspomniana rozmowa podyktowała mi konieczność napisania niniejszej informacji. Zarzut o rzekomym udziale Ukraińców w likwidacji Powstania Warszawskiego jest mi znany od dawna. Słyszałem go jeszcze wówczas, gdy z grupą najbliższych przyjaciół wyciągałem z osławionego obozu w Pruszkowie swoich polskich kolegów, albo gry później zaopatrywałem wywiezionych na roboty do Niemiec w Kennkarty, pomagając im organizować ucieczkę do kraju. Wówczas jednak nie zwracano na to specjalnej uwagi. Społeczeństwa nasze, jak wiadomo, kochają się w wyrażeniach i określeniach «sakramentalnych», dopasowanych do ich mitycznego sposobu myślenia. W moim społeczeństwie, na przykład, niejedna sprawa zaginęła, wiele zaś pomija się zdawkowo z tej przyczyny, iż z góry określa się ją odpowiednim terminem z tego «sakramentalnego» leksykonu: mason, marksista, czerwony, żydowski itp. Społeczeństwo polskie starej szkoły politycznej, żyjące pojęciami sprzed okresu zetknięcia się ze stalinizmem, posiada w swoim leksykonie sakramentalnym m.in. słowo «Ukraińiec» i «Ukraińcy».

Dziś jednak sprawa ma się już inaczej: stosunki polsko-ukra-

ińskie stały się z konieczności dziejowej, a nie dla zachcianek polskich ukrajinofilów czy odwrotnie ukraińskich polonofilów, zasadniczym problemem dla postępowych elementów obydwu narodów. Nawiązanie współpracy nie da się pomyśleć bez konieczności przejrzenia naszej wspólnej przeszłości włącznie do stosunków polsko-ukraińskich podczas tragicznej w wydarzenia okupacji Polski przez Niemców. Istnieje cały szereg zagadnień, rozpatrywanie których wymaga wielkiej odwagi. Informacja poniższa jest tylko pośrednim wkładem do tych zagadnień z tej prostej przyczyny, że Ukraińcy w likwidacji Powstania Warszawskiego w ogóle udziału nie brali. I to nie tylko jako naród, ale nawet jako ta część społeczeństwa ukraińskiego, która w czasie drugiej wojny światowej wybrała fatalną drogę w myśl hasła: «Chocząy z czortom, aby proty moskowskich komunistiw!» Z góry zaznaczam, iż nie mam zamiaru nikogo wybielać, a zwłaszcza daleki jestem od tego, by twierdzić, że konto ukraińskie w odniesieniu do Polaków w pod czas okupacji niemieckiej jest czyste. Interesuje nas w tej chwili konkretne zagadnienie udziału ukraińskiego w Powstaniu Warszawskim, które przy bliższym zapoznaniu się z tematem dowodzi, że w likwidacji Powstania brał udział cały szereg jednostek wojskowych nie niemieckich, które, niestety, fama wzięła i rozgłosiła ukraińskimi, robiąc olbrzymią krzywdę ukraińskiemu ruchowi niepodległościowemu. Jakież to były jednostki?

Tak zwana Brygada Kamińskiego

W roku 1942 na froncie wschodnim, koło miejscowości Leppel, dowództwo niemieckie zorganizowało, podobnie jak zresztą na innych odcinkach frontu wschodniego, formacje na pół wojskowe z byłych jeńców sowieckich. Oddziałów tych używano w pierwszym rzędzie dla ochrony transportów wojskowych jak również dla zwalczania akcyj partyzanckich. W okolicy Leppel organizacja oddziałów ochotniczych, dzięki specjalnej akcji generała Kamińskiego, nabrała znaczenia szerszego od wydarzeń lokalnych. W rejonie tym zrobiono próbę formowania rosyjskich elementów faszystowskich już nie tylko w ramach organizacji wojskowych, lecz również jako partii politycznej, określającej się nazwą «Russkaja Nacional-Socialisticheskaja Partija». Motorem tej partii i tego ruchu był generał Kamiński, który ogłosił się nawet wodzem partii. Było to całkiem nowe zjawisko polityczne, nie mające nic wspólnego z rosyjską partią polityczną analogicznego imienia, utworzoną w latach trzydziestych z inicjatywy emigrantów rosyjskich w Niemczech, która poza kilkoma ulotkami i deklaracjami antysemitkami, ogłoszonymi w niemieckim czasopiśmie «Stürmer» nie odznaczała się żadną działalnością. Akcja generała Kamińskiego opierała się wyłącznie na rosyjskim elemencie podsowieckim, sztab jego składał się z oficerów-jeńców lub dezertów Armii Czerwonej. Jest prawdą, że stare rosyjskie prawicowe partie polityczne na emigracji pilnie

śledziły działalność Kamińskiego, starając się dać mu poparcie. Zwłaszcza NTS wykazał w tym kierunku daleko idące zainteresowania. Organizacja ta wysłała do Leppel swojego wybitnego działacza Chomutowa, powierzając mu opracowanie ideologicznych zasad nowego centrum faszystów rosyjskiego. Do Leppel, to znaczy do sztabu Kamińskiego, przyjeżdżał również Roman Redlich, czołowy działacz NTS. Jednakowoż starym kołom rosyjskiej emigracji profaszystowskiej nie udało się pozyskać Kamińskiego: awanturnik ten do końca swego życia pozostał dyktatorem i to bezwzględny.

Poświęćmy kilka słów osobie Kamińskiego. Generał Kamiński urodził się w roku 1896 w Poznaniu. Matka jego była Niemką, ojciec Polakiem. Po pierwszej wojnie światowej wyjechał do Związku Sowieckiego i żył w Leningradzie, będąc z zawodu urzędnikiem administracyjnym. W roku 1942 dostał się, w okolicach Orla, do niewoli niemieckiej, jako sowiecki kapitan rezerwy. Zadeklarował z miejsca ochotę współpracy z Niemcami, przy czym skorzystał z pośrednictwa oficera-białogwardzisty Mielnika, zatrudnionego w miejscowej komendzie frontu. Działalność Kamińskiego zwracała się w dwóch kierunkach: przede wszystkim organizował on formacje wojskowe, które swój pierwszy chrzest bojowy otrzymały pod Witebskiem i Borysowem w walkach z sowieckimi oddziałami partyzanckimi. W związku ze wzrostem ruchu partyzanckiego w tych okolicach, Kamiński potrafił przekonać dowództwo niemieckie o konieczności centralizacji wszystkich swoich oddziałów ochotniczych i utworzył własny sztab wojskowy. Armię swoją Kamiński ochrzcił nazwą «Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija», w skrócie — RONA. W roku 1944, w ciężkich walkach, RONA przebiła się do Prus Wschodnich gdzie wyjęto ją z kompetencji Naczelnego Dowództwa Niemieckiego, oddając pod opiekę Himmlera i SS. Dowództwo oddziałów SS, niechętnie przyglądające się akcji tworzenia ochotniczych formacji nie-niemieckich na Wschodzie, w tym wypadku zgodziło się na dalsze istnienie RONA. Wpłynęły na to zakulisowe plany SS. W tym samym czasie Niemcy z inicjatywy Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych przystąpiły do organizacji ROA Własowa (Russkaja Oswoboditielnaja Armija). Ruch Własowa, będący bezsprzecznie najciekawszym zjawiskiem kolaboracji w czasie drugiej wojny światowej, nie cieszył się zaufaniem w kołach partyjnych, a zwłaszcza u Himmlera. Własow był nie tylko twórcą armii, lecz również koncepcji społeczno-politycznej, co się oczywiście nie mogło podobać kołom nazistowskim. Z tych przyczyn Himmler postanowił na razie popierać Kamińskiego (później sytuacja się zmieni) z tym prostym wyrachowaniem, że on może się kiedyś przydać, gdyby doszło do konfliktu w Własowem. Kamiński oczywiście zrozumiał należycie sytuację, wyczuł swoją szansę i postanowił wzmocnić swoją pozycję polityczną. Akcja RONA (organizacja rosyjskiego ruchu narodowo-socjalistycznego) skończyła się niepowodzeniem jedynie dlatego, że w sztabie Kamiń-

skiego byli przeważnie wojskowi, nie było zaś odpowiednich kadr politycznych.

W momencie wybuchu Powstania Warszawskiego jeden pułk RONA, zwany ogólnie Brygadą Kamińskiego, w sile 2.500 ludzi, rzucony został na odcinek warszawski i oddany do dyspozycji generała von dem Bach, naczelnego dowódcy oblężenia Warszawy. Generał von dem Bach-Zelewski w czasie swojego późniejszego pobytu w więzieniu warszawskim napisał dla Warszawskiego Instytutu Pamięci Narodowej dokładną relację o Powstaniu Warszawskim. Relacja ta jest najprawdopodobniej dokumentem, naświetlającym dość obiektywnie i dokładnie akcje niemieckie przeciwko powstańcom. Relacja ta została opublikowana w Kwartalniku Instytutu Pamięci Narodowej («Dzieje Najnowsze»), tom pierwszy, zeszyt drugi, rok 1947. W relacji tej o Kamińskim i o jego brygadzie czytamy: «Kamiński był awanturnikiem politycznym, wygłaszał do swych ludzi mowy propagandowe o wielkiej faszystowskiej Rosji, której chciał być przywódcą-führerem. Kobiety i alkohol były treścią jego życia. Dowództwo wojskowe pozostawiał swym dowódcom pułków. Pojęcie własności było mu obce, *żadnego narodu nie nienawidził tak jak Polaków*, których wspominał jedynie obelżywymi słowami. Nie chciał przyłączyć się do Własowa, przeciwnie, pragnął kiedyś przez swe stosunki z Himmlerem wysadzić Własowa z siódła». (Strona 317).

W innym miejscu swej relacji von dem Bach daje następującą ocenę wartości bojowej Brygady Kamińskiego: «Brygada Kamińskiego w ogóle nie miała wojskowej wartości bojowej. Jeśli pojedynczym ludziom nie można odmówić osobistej odwagi, to ta osobista odwaga ledwie się zaznaczała, ponieważ oficerom i żołnierzom brakowało jakiegokolwiek taktycznego zrozumienia. O ile atakowano, nie decydowały o tym taktyczne względy, lecz osobiste, egoistyczne instynkty rabunkowe. *Zdobycie składu wódek było dla brygady ważniejsze niż zajęcie jakiegokolwiek panującej nad ulicą pozycji. Każde natarcie natychmiast się zatrzymywało przez to, że oddziały po zajęciu obiektu rozpraszają się na luźne bandy plądrujące*».

O wyczynach Brygady Kamińskiego pisze von dem Bach jak następuje: «Południowe skrzydło grupy bojowej Reinefahrta posiadało łączność wzrokową, lecz nie dotyczyła do stanowisk brygady SS-Kamińskiego, która rzekomo wgrzyzła się w polski punkt oporu na Placu Narutowicza. Co do tego miałem wrażenie, że zajęcie fabryki wódek było główną przyczyną bezczynności na tym stanowisku...»

Z wystąpieniami brygady Kamińskiego w Warszawie związana jest niewątpliwie *większość zbrodni oddziałów niemieckich*, popełnionych w stosunku do cywilnej ludności. Rabunki a specjalnie gwałcenie kobiet były specjalnością brygady Kamińskiego. Sam Kamiński nigdy nie zabraniał swym żołnierzom tych zbrodni, lecz wręcz przeciwnie obojętnie do nich zachęcał. W jego kwaterze znajdował się m.in. specjalny magazyn rzeczy

wartościowych, zrabowanych na ludności cywilnej. Wystąpienia ludzi Kamińskiego wywołały ogólne oburzenie w kołach Wehrmachtu, a niektórzy bardziej opozycyjnie nastrojeni oficerowie śledzili nawet Kamińskiego, aby go przy pierwszej okazji zgładzić. Nawet żołnierze oddziałów SS odczuli, iż Kamiński przekroczył wszelkie granice dopuszczalności czynu. Generał von dem Bach postanowił Kamińskiego zlikwidować. W tajemnicy przed żołnierzami RONA Kamińskiego aresztowano i wyrokiem sądu polowego skazano na rozstrzelanie. Z obawy przed reakcją żołnierzy brygady, dowództwo SS po wykonaniu wyroku na Kamińskim rozpowszechniło pogłoski o jego rzekomej likwidacji przez powstańców AK w okolicach Krakowa.

Warto jeszcze krótko wspomnieć o dalszych losach RONA. Oddziały RONA wycofano z Warszawy na Śląsk, gdzie je całkowicie zreorganizowano. We wrześniu 1944 przerzucono je do Münsingen pod Stuttgartem i nie pytając zgody oficerów i żołnierzy *włączono do armii ROA Własowa*, który w międzyczasie nawiązał jak najściślejszą współpracę z Himmlerem. W ten sposób RONA stała się materiałem na utworzenie pierwszej Własowskiej dywizji ROA. Warto nadmienić również, że w wielu wspomnieniach oficerów Własowa, opublikowanych obecnie, jest mowa o trudnościach zaistniałych przy przekształcaniu oddziałów RONA w formacje własowskie. Wszyscy oni podkreślają brak dyscypliny wojskowej u ludzi Kamińskiego. Oddziały RONA w większości składały się z młodych żołnierzy, poniżej 18 lat, natomiast posiadających już 2 lata ciężkich walk i korzystających jeszcze z ztw. Jugendzuteilung w zaopatrzeniu.

Taki był los osławionej brygady Kamińskiego, stanowiącej najdzikszy oddział wojskowy, użyty w likwidacji Powstania Warszawskiego. Na jej sumieniu leży większość zbrodni, popełnionych na warszawskiej ludności cywilnej. Brygada Kamińskiego, stanowiąca trzon rosyjskiego ruchu narodowo-faszystowskiego, w oczach większości nieorientowanych warszawian uchodzi dziś jeszcze za «Ukraińców»...

Oddziały kozackie

W relacji generała van dem Bach-Zelewskiego znajdujemy następujące dane o oddziałach wojsk kozackich, użytych w akcji likwidacji Powstania Warszawskiego: «Kozacy 9 armii, którzy należeli do armii Własowa, składali się z 1 batalionu piechoty i 5 szwadronów jazdy. Byli użyci dla zamknięcia Żoliborza i tworzyli na zachodzie Warszawy drugą linię za frontem. W ten sposób miało się przeszkodzić przenikaniu partyzantów przez linie frontu». W innym miejscu relacji czytamy: «Dowódcą kozaków 9 armii był były oficer rosyjski, białogwardysta, nałogowy pijak (nazwiska sobie nie przypominam). Również pozostali oficerowie kozaków byli wszyscy Rosjanami. Jedynie porucznik niemiecki był przydzielony dowódcy jako oficer łącznikowy 9 armii. Wartość bojowa kozaków — jak zwykle u takiego zbioro-

wiska ludzi bez ojczyzny — bardzo niska. Dlatego używano ich tylko w celu zamknięcia, względnie utrzymania zajętej już linii. Kozacy mieli skłonność do alkoholu oraz do innych ekscesów i w ogóle posiadali mało zrozumienia dla dyscypliny wojskowej» (str. 310).

Informacja von dem Bacha o tym, że kozacy należeli do armii Własowa jak i również jego ocena bojowej wartości kozaków nie jest prawdziwa. Ażeby tę sprawę wyjaśnić, należy nieco dokładniej wspomnieć o zagadnieniu kozackim w czasie drugiej wojny światowej.

Emigracja kozacka po pierwszej wojnie światowej dzieliła się na dwa obozy: prorosyjski i niepodległościowy. Pomimo szalonego rozbicia — istniało wówczas tylu «kozackich atamanów» ile partii rosyjskich — obóz prorosyjski był silniejszy. Obóz niepodległościowy miał swoich zwolenników zwłaszcza na terenie Czechosłowacji. Stosunki w szeregach emigracji kozackiej uległy radykalnym zmianom w czasie drugiej wojny światowej, dokładniej z momentem wypowiedzenia się kozaków podsowieckich, tzn. nowych emigrantów, w sprawach istniejącego sporu. U schyłku roku 1942 armie niemieckie zbliżyły się do kozackich terenów etnograficznych (Kubań, Don). Na ziemiach kozackich wybuchły powstania przeciw bolszewikom, a tysiące kozaków przylączyły się do walki po stronie Niemców. Setki tysięcy ulotek rozpowszechniano w zapleczu armii sowieckiej. Główną rolę w tej akcji odegrała organizacja pod nazwą «Kozackoje Nacjonalno-Oswoboditielnoje Dżwienije». Kozacy, zwolnieni spod jarzma bolszewickiego stanęli całkowicie po stronie tego kozackiego ruchu niepodległościowego i oni to właśnie zadecydowali o zaniku prorosyjskiej orientacji w ruchu kozackim, czemu nie mógł przeszkodzić nawet fakt posiadania przez nią silnych protektorów w Berlinie. Wyglądało to wszystko na istną rewolucję. W najbardziej przykrych sytuacjach znalazł się wówczas kozacki generał, Ataman Krasnow. Między dwiema wojnami należał on bezsprzecznie do czołowych osobistości ruchu białogwardyjskiego. Spotkania z nowymi przybyszami z Sowietów przekonały go jednak, iż dla zachowania wpływu konieczne jest przyjęcie platformy niepodległościowej. Pozostaje specjalnym zagadnieniem ustalenie faktu, czy krok generała Krasnowa był szczery. Liczni białogwardyjscy publicyści w swych wspomnieniach, opublikowanych po wojnie, twierdzą, że Krasnow nigdy nie zerwał z obozem prorosyjskim. Ważny jest jednak również fakt, że Krasnow w czasie drugiej wojny okazał się ślepym narzędziem w ręku niemieckim i uczynił wszystko, aby przez wykorzystanie nienawiści kozackiej do bolszewików oddać siłę oddziałów kozackich do wyłącznej dyspozycji dowództwa niemieckiego w myśl potrzeb i celów tego dowództwa. Wybuch narodowej odrębności kozaków wywołał wśród działaczy białej emigracji rosyjskiej i jej opiekunów niemieckich istną panikę. Zrobili oni wszystko dla stłumienia tego prądu. Pisze o tym wyraźnie patriota rosyjski W. Nikonow w rosyjskim cza-

sopiśmie emigracyjnym «Czasowoj» nr 298, str. 20. Potwierdza-
jąc raz jeszcze, że w roku 1942 masa kozaków podsowieckich
witała swoich działaczy niepodległościowych i finansowała roz-
budowę ich prasy, Nikonow podaje takie informacje o akcji bia-
łych Rosjan przeciw niepodległościowcom: Generał Krasnow
zobowiązał się wobec Niemców do pomijania w swej akcji pro-
pagandowej momentu rosyjskiego. Pozostając w duszy Rosjani-
nem, dla otoczenia stał się kozakiem. Ale przez to właśnie —
według słów Nikonowa — przysłużył się sprawie rosyjskiej, wy-
trącając kierownictwo ruchem kozackim z rąk aktywnych nie-
podległościowców, których potrafił utrzymać na wodzy swym
autorytetem. Zadanie Krasnowa, jako patrioty rosyjskiego, nie
było łatwe: dopiero po zwolnieniu ze stanowiska dyrektora de-
partamentu politycznego w ministerium Rosenberga Leib-
brandta Rosjanom udało się pozyskać dla swoich celów prof.
Mende, który zastąpił Leibbrandta, oraz dra «Nikołaja Nikoła-
jewicza» Himpela, referenta oddziału kozackiego. Wtedy Rosja-
nom udało się unicestwić plany niepodległościowców i urabiać
masę kozacką w duchu prorosyjskim, chociaż — co przyznaje
sam Nikonow — Rosjanom nie udało się całkowicie wyeliminowa-
wać wpływów niepodległościowych środowiska praskiego.

Na skutek ugodowej polityki generała Krasnowa odnośnie
Niemców, w ruchu kozackim sformowała się wewnętrzna opo-
zycja, grupująca się przy czasopiśmie «Kazaczij Wiestnik»
(Glazkow, Polakow, Bezuglow). Opozycja walczyła o uznanie nie-
podległości terytorium kozackiego i ostro zwalczała używanie
oddziałów kozackich na frontach, nie mających bezpośredniego
znaczenia dla frontu wschodniego. Odnosiło się to w szczegó-
łności do wysłania oddziałów kozackich przeciw partyzantom
Tita do Jugosławii i przeciw powstańcom polskim w Warszawie.

Wojska kozackie po stronie niemieckiej liczyły 250.000 żoł-
nierzy. Trzonem tych wojsk był tak zwany korpus kozacki
(70.000 ludzi, liczący 1 i 2 dywizje kozackie), dalej 2 kozackie
brygady we Francji oraz złożona z 12 pułków rezerwa kozacka
pod dowództwem Atamana generała Tymofija Domanowa.
Oprócz tego, przy większych jednostkach niemieckich, istniały
samodzielne pomocnicze kozackie oddziały wojskowe. Sztab od-
działów kozackich znajdował się w mieście Chersoniu, później
w Mikołajewie nad Dniestrem, zaś po zajęciu tych terenów przez
Armię Czerwoną w Nowogródku na Wileńszczyźnie. Dopiero
stamtąd przerzucono kozaków do Włoch. W czasie ewakuacji
kozaków z północy do Italii wybuchło powstanie warszawskie,
przecinając kozakom drogę marszu. Komenda niemiecka zażąda-
ła od dowództwa kozackiego jednej dywizji do dyspozycji ge-
nerała von dem Bacha, przy czym zapewniono kozaków, że pow-
stanie warszawskie zostało inspirowane i zorganizowane przez
Moskwę. Nie zważając na żądania von dem Bacha, kozacy oddali
mu tylko jeden pułk, a mianowicie 4 Kubański pułk pod do-
wództwem pułkownika Bondarenki.

Dane w relacji von dem Bacha o kozakach nie odpowiadają w

НА КАЗАЧЬЕМ ПОСТУ

Двухнедельный общеказачий журнал

№ 36

15 октября 1944 года

№ 36



СОДЕРЖАНИЕ:

Приказ казачьим войскам
№ 16

Исторические очерки Дона
(продолжение) — П. Н. Кра-
снов

Наше знамя — Е. Тарусский

Под свободные знамена —
песни

Казак Семен Дежнев — исто-
рический очерк

Воротничок — рассказ Марии
Ярьин

Что было в Варшаве? — фото-
репортаж

Покров в Кубанской станице —
Ф. Печорин

Книжная полка

Богатырская сказка-быль —
Евгений Полоцкий

В Первой Казачьей — очерк
А. Яганова

Розыски



Казачи в Варшаве

Офицеры изучают карту восстановленной столицы с отмеченными очагами
сопротивления

Адрес редакции: „Kosakenposten“ F. P. Nr. 02306

szczegółach prawdzie. Przede wszystkim nie należeli oni do armii Własowa, wręcz przeciwnie, nie zważając na nacisk kół niemieckich, współpracę z Własowem odrzucali. Dopiero na kilka tygodni przed zakończeniem wojny ukazał się wspólny komunikat Krasnowa i Własowa o współpracy, w praktyce nigdy nie zrealizowany. Również twierdzenie von dem Bacha o wątpliwej wartości bojowej kozaków nie odpowiada stanowi faktycznemu. Kozacy traktowali swój udział na froncie antypowstańczym jako zadanie bojowe, nie troszcząc się o głębsze motywy polityczne i *nie wiele wiedząc o walce narodu polskiego*. Zadanie swoje wykonywali z niezwykłą odwagą, a ekscesy na odcinku ich walk były niewspółmiernie mniejsze od zbrodni na terenie odcinka brygady Kamińskiego.

Dowództwo niemieckie ustanowiło specjalny medal za udział w likwidacji Powstania Warszawskiego, który przyznano wielu kozakom (żołnierzom Kamińskiego tego orderu w ogóle nie przyznawano). Również w specjalnym rozkazie generała kawalerii Koestringa, naczelnego niemieckiego dowódcy wojsk ochotniczych, wydanym 20 października 1944 jest mowa o «przykładnym męstwie i bojowym duchu kozackich batalionów NrNr 572, VI/57 i oddziale kozaków Nr 69».

Oddziały kozackie po stłumieniu powstania ewakuowano na południe, do Italii. Po wkroczeniu Anglików masę kozaków wśród bardzo tragicznych okoliczności i masowych samobójstw oddano w ręce Sowietów. Ewakuacji przymusowej poddano 160.000 kozaków, w tej liczbie 2756 oficerów, 35 generałów i 160 pułkowników. W taki tragiczny sposób zakończyła się naprawdę krwawa i tragiczna historia tego narodu, którego nieważność do tyranii stalinowskiej potrafili Niemcy za pomocą kozackich Quislingów w czasie drugiej wojny światowej wykorzystać i nadużyć.

W końcu kilka uwag dla tych polskich czytelników, których znajomość wielkiego i skomplikowanego zagadnienia kozackiego ogranicza się do informacji z literackich utworów Sienkiewicza. Oddziały kozackie, pod dowództwem generała Krasnowa, a w szczególności oddział Bondarenki w Warszawie nie mają wiele wspólnego ze sprawą ukraińską. Ruch kozacki jest odrębnym zjawiskiem narodowym, zaistniałym jako produkt rewolucji w r. 1917. Podobnie jak Ukraińcy, Białorusini i cztery narody kaukaskie Kozacy w roku 1918 głosili swoją niepodległość i walczyli o państwową niepodległość swych ziem nad Donem, Kubanem i Terekiem.

Inne oddziały nie-niemieckie w Warszawie

W wydanej przez oficjalną instytucję polską w Warszawie relacji niemieckiego generała von dem Bacha nie ma żadnej wzmianki o innych nieniemieckich oddziałach, oprócz wspomnianych powyżej grup Kamińskiego i pułku Bondarenki. Ze źródeł wiarygodnych mieliśmy możliwość stwierdzenia, że po stro-

nie niemieckiej w likwidacji Powstania Warszawskiego brały również udział drobne oddziały Azerbejdżanów, Kałmuków i Turkestanów, które były stacjonowane w pobliżu Warszawy i przez to tylko znalazły się w zasięgu Powstania. Oddziały te jednak były tak drobne (razem około 500 żołnierzy), że nie mogły odgrywać żadnej roli w wydarzeniach. Niestety, nie udało się nam znaleźć w tej sprawie szczegółowych danych.

ПРИКАЗ

ГЕНЕРАЛА ДОБРОВОЛЬЧЕСКИХ ВОЙСК ПРИ НАЧАЛЬНИКЕ ГЕНЕРАЛЬНОГО ШТАБА СУХОПУТНОЙ АРМИИ

Инспирированное Лондоном и Москвой варшавское восстание поляков окончилось победой германского оружия. Этот успех достигнут также благодаря примерной храбрости и боевому порыву казачьих батальонов №№ 572, У1/57 и казачьей части № 69.

Еще раз Советы и англо-американцы погнали ложными обещаниями на верную смерть другой народ против Германской армии. Добровольцы сами узнали, как были обмануты, Советами и их союзниками варшавские повстанцы в их надеждах на вооруженную помощь.

Освобождение родины добровольцев от большевизма будет достигнуто только победой Германской армии. В достижении этой победы будет и заслуга добровольцев. Их верность приведет к окончательной победе над большевизмом и его союзниками и к возвращению в освобожденную отчизну.

КЕСТРИНГ,

Генерал от кавалерии,

Генерал Добровольческих войск.

Главная квартира. 20 октября 1944 г.

(Подziekowanie gen. Koestringa Kozakom za pomoc w tlumieniu Powstania Warszawskiego).

Gdzie są Ukraińcy?

Cała Warszawa o nich mówiła i ich widziała. Cała polska emigracja jeszcze mówi o nich. Natychmiast po zaprzestaniu walk pod Warszawą starałem się zdobyć jakieś dane na ten temat. Zebrane wówczas «dane», chętnie chce podać do wiadomości czytelników «Kultury».

W towarzystwie mojego warszawskiego przyjaciela K. spotkałem jednego warszawskiego inteligenta, który opowiadał, że żonę jego «Ukraińcy zgwałcili kilkanaście razy». Na moje pytanie, jak on mógł poznać Ukraińców, padła charakterystyczna odpowiedź:

Wszyscy mieli skośne oczy...

Musimy zrobić małą dygresję. Nie chcemy rzucać żadnych oskarżeń pod adresem skośnookich Azjatów. Osobiście byli mi oni i są dziś bliżsi zawsze jak np. elegancy i wygoleni oficerowie amerykańscy. Czuję się związany z tymi narodami nie tylko dlatego, że moja matka spoczywa snem wiecznym w stepach Kazachstanu, lecz również dlatego, że z tymi narodami, my, Ukraińcy, tworzymy odrębną — *bo rewolucyjną* — wspólnotę narodów ujarzmionych przez Moskwę.

Jeśli zaś powtarzamy wypowiedź nieszczęsnego inteligenta polskiego o «skośnookich Ukraińcach», to oskarżamy nikogo innego, tylko właśnie społeczeństwo polskie, a zwłaszcza jego warstwę przewodnią, której brak odwagi spojrzenia na to, co się dzieje na wschód od granic wschodnich Rzeczypospolitej, zamieniła w kult ignorancji wśród masy własnego narodu. «Ukraińcami» w Warszawie byli zatem nie tylko skośnooki, lecz również kozacy Bondarenki i brygadziarze Kamińskiego, a nawet rodowici Niemcy, jeśli nosili czarne mundury. (Nikt inny jak profesor Uniwersytetu Poznańskiego, lekarz dr S. informował mnie, że czarna barwa munduru rozróżnia SS-ów ukraińskich od niemieckich...).

W swej relacji o Powstaniu Warszawskim von dem Bach wylicza wszystkie jednostki wojskowe, które brały udział w likwidacji Powstania Warszawskiego. O rzekomych oddziałach ukraińskich von dem Bach nie wspomina ani słowa. Gdyby takie istniały, wspomniałby o nich na pewno, co więcej: gdyby taka chociaż drobna jednostka ukraińska na przedpolach Warszawy została wówczas stwierdzona, staliński polscy i rosyjscy rozzmuchałoby fakt jej istnienia do olbrzymich rozmiarów. Jeśli tego nie uczyniono, to jedynie właśnie dlatego, że pogłoski o udziale Ukraińców w Powstaniu Warszawskim nie odpowiadają prawdzie.

Ażeby nie być posądzonym o stronniczość, należy tu jednak wspomnieć o sprawie tak zwanego Legionu Ukraińskiego, o udziale którego w walkach pod Warszawą można nawet usłyszeć z ust wybitnych polskich znawców zagadnienia. Najpierw więc słów kilka o historii tej jednostki wojskowej. Legion został utworzony w końcu 1943, na Wołyniu. Do szeregów tak zwanego Legionu Samoobrony należeli przeważnie członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, grupy płk. Andrija Melnyka. 80 procent składu tej jednostki stanowili Ukraińcy z Wołynia, resztę Ukraińcy z Naddnieprza. OUN(M) dała swą cichą zgodę na utworzenie takiego Legionu, co było wynikiem konieczności sytuacyjnej danego okresu. Z jednej bowiem strony melnykowska młodzież wołyńska padała

wówczas ofiarą partyjnych porachunków grupy Bandery, z drugiej miała możność obserwowania antyukraińskiej współpracy pewnych kół polskich na Wołyniu z czynnikami okupacyjnymi niemieckiego komisarza Rzeszy, Ericha Kocha. (Mamy na myśli polskie policyjne bataliony dla zleceń szczególnych, z których pierwszy Nr 101 stacjonowany był w Kobryniu, drugi w Kowlu, trzeci w Rożycach, czwarty w Klewaniu). W tych warunkach ukraiński Legion Samoobrony chciał «ratować, co jeszcze można było ratować». Legion nie rozwinął większej działalności, bo młodzież ukraińska na Wołyniu w tym czasie popierała masowo UPA, a zresztą wkrótce pod naporem frontu sowieckiego, po wielu krwawych walkach z partyzantami sowieckimi, Legion został przez Hrubieszów ewakuowany w okolicę Krakowa. W tydzień po wybuchu Powstania Warszawskiego część Legionu dostała rozkaz przejazdu na front wschodni pod Warszawę. Dwie kompanie żołnierzy (400 ludzi) pod dowództwem pułkownika Diaczenki przybyły pod Warszawę i tam, na Powiślu, a właściwie na Czerniakowie, zajęły stanowiska naprzeciw armii Rokossowskiego. Legion przemaszerował przez przedmieścia Warszawy, «oczyszczone» ludźmi brygady Kamińskiego, i o teren Powstania Warszawskiego w ogóle nie zaważył. Ze względu na stały wgląd sowiecki w stanowiska Legionu trudno jest w ogóle przypuszczać, by miał on możność i czas zajmowania się wydarzeniami, rozgrywającymi się dalej na północ w śródmieściu Warszawy. Po 5-tygodniowych walkach z armią Rokossowskiego Legion wycofano ponownie do Krakowa. Warto jest tu zanotować los pozostałych części Legionu. Pod Krakowem znalazły się jeszcze dwie kompanie piechoty i oddział kawaleryjski. Dowództwo niemieckie zażądało od Legionu wzięcia udziału w zwalczaniu powstańców Armii Krajowej. Jak już jednak wspomnieliśmy na wstępie, Legion pozostawał pod wpływami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów pułkownika Melnyka, która zdecydowanie zabroniła udziału w walkach przeciw Polakom, natomiast zezwalała na udział w walkach przeciw Sowietom. Nie wykonanie rozkazu niemieckiego spowodowało bezwzględne represje w Legionie, przy czym delegat OUN i właściwy organizator Legionu, Soltys, wraz z najbliższymi współpracownikami został przez Niemców rozstrzelany. Legion rozbrojono i zwolniono ze służb wojskowej. W tym czasie z frontu nad Wisłą powróciły dwie kompanie Legionu, które też zostały zdemobilizowane. Stąd też kursująca wersja o udziale Legionu pod dowództwem płk. Diaczenki w likwidacji powstania Warszawskiego po prostu nie odpowiada prawdzie.

Stanowisko kół warszawskich
w sprawie rzekomego udziału Ukraińców
w Powstaniu Warszawskim

Trzeba tu obiektywnie przyznać, że nie z kół emigracji pol-

skiej, lecz z kół krajowych wyszły pierwsze próby wyjaśnienia rzekomego udziału ukraińskiego w likwidacji Powstania Warszawskiego. Próby te są bardzo nieśmiałe i niekonsekwentne, ale stanowią mimo to pierwszy krok w tej sprawie. Tak, na przykład, w Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, tom 1, rok 1946, na stronie 233 czytamy: «Fakt, iż znaczną część niemieckich oddziałów wojskowych stanowiły brygada policyjna, składająca się z kryminalistów i Volksdeutschów, lub oddziały tzw. armii Własowa, utworzone z jeńców armii sowieckiej (w terminologii warszawskiej określano ich przeważnie mianem «Ukraińców»), w niczym nie zmienia istoty sprawy». Inne wydawnictwo warszawskie zabiera w tej sprawie bardziej autorytatywny głos. Mamy na myśli Słowo wstępne prof. Zygmunta Wojciechowskiego do publikacji Instytutu Zachodniego w Poznaniu, pt. «Zbrodnia Niemiecka w Warszawie», gdzie m. in. czytamy: «Osobny rozdział tej perfidnej polityki wyraził się w używaniu w Warszawie do pacyfikacji miasta m. in. «Własowców», czyli z tych, spośród jeńców rosyjskich, którzy zdradziwszy własną ojczyznę przeszli na służbę niemiecką. W terminologii warszawskiej określano ich przeważnie mianem «Ukraińców». Cała odpowiedzialność za zużycie tych ludzi spada na Niemców, którzy w ten sposób chcieli upiec równocześnie dwie pieczenie. Pragnęli przeważną część odium za mord w Warszawie zrzucić na «Własowców» i zakłócić — w ich intencji — stosunki polsko-rosyjskie. Należy jednak stwierdzić, że społeczeństwo warszawskie od początku zdawało sobie sprawę z tych intencji i z tej perfidii». Tak samo w innych wypadkach źródła warszawskie starają się sprostować rzekomu udziałowi «Ukraińców» w Warszawie, jak na przykład cytowane już przez nas uprzednio «Dzieje Najnowsze», które przy jednym z dokumentów zamieszczają taką charakterystyczną notatkę: ... «Kłeskę oddziału RONA, mylnie nazywając go Ukraińcami, potwierdza Maria Lesińska w artykule Rzeź Woli, miesięcznik «Opiekun Społeczny, rok II (IV), nr 3-4, marzec-kwiecień, 1947». Te wszystkie próby wyjaśnienia są bardzo niekonsekwentne i to nie tylko dlatego, że w pracach wspomnianych cytowane są protokoły, w których i nadal używa się stale nazwy «Ukraińcy», lecz i z pewnego innego powodu. W warunkach panujących w dzisiejszej Polsce stalinowskiej prawda nie może być wypowiedziana do końca, albowiem sprawa ta dotyczy nie stosunków polsko-rosyjskich, jak pisze prof. Wojciechowski, lecz stosunków polsko-ukraińskich, bo wszystko to, co stało się w Warszawie, jest prowokacją w dziedzinie stosunków tylko między naszymi narodami. Nie zwracając jednak nawet uwagi na to, każdy naprawdę postępowy Polak i Ukraińiec powinni witać te pierwsze kroki w kierunku obiektywnego wyjaśnienia obcych prowokacji.

Niniejszymi naszymi uwagami informacyjnymi chcieliśmy dać prawdziwy obraz rzekomego udziału Ukraińców w Powstaniu Warszawskim. Raz jeszcze musimy się zastrzec przed podejrzeniami, jakobyśmy chcieli twierdzić, że w stosunkach ukraińsko-polskich w czasie ostatniej wojny wszystko było w porządku. Jest to zupełnie inna sprawa. I gdyby obydwie zainteresowane strony zechciały przestudiować materiał tego zagadnienia, dopiero wtedy można by mówić w jakim stopniu konta nasze obciążone są winą. Informacja nasza ogranicza się wyłącznie do Powstania Warszawskiego. Legenda o udziale ukraińskim w tym Powstaniu jest symptomem istniejącej w pewnych polskich kołach tchórzliwej mentalności i braku odwagi rzeczowego patrzenia na zagadnienia wschodnie. Często słyszymy zarzut, że Niemcy, Francuzi i Amerykanie itd. nie mają pojęcia o zagadnieniach wschodu Europy. Wydaje się nam, że Polacy nie powinni nadużywać tego twierdzenia. Przynajmniej tak długo, jak długo «skośnoocy», kozacy i żołnierze RONA Kamińskiego w ich pojęciu są Ukraińcami.

B. LEWYCKYJ.

Polonica w prasie ukraińskiej

W szerokim wachlarzu ukraińskich pism emigracyjnych, skupiających się, jak dotąd, wciąż jeszcze na terenie Niemiec, sprawom polskim i zagadnieniom stosunków polsko-ukraińskich poświęcają najwięcej uwagi «Suczasnna Ukraina» w Monachium, będąca organem Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej (UHWR), grupy politycznej, która wyszła ze środowiska nacjonalistycznego i odbyła ewolucję w kierunku demokratycznym, oraz ukazujące się dwa razy w tygodniu pismo nowej emigracji ukraińskiej z Ukrainy Sowieckiej «Ukraiński Wisti» w Ulm.

«Suczasnna Ukraina» opublikowała m.in. na tematy polskie: «Przed zmianą stosunków polsko-niemieckich?» (nr 2/1951), «Niemieckie propozycje — polskie milczenie» (nr 6/1951), «Rewizjonizm niemiecki odżywa» (nr 11/1951), «Proces Warszawski» (nr 18/1951) — (artykuł J. Prirwy o procesie przeciwko generałom polskim w Warszawie. Autor pisze m. in.: «Dla nas Ukraińców wiele rzeczy z dziedziny polskiej taktyki politycznej w czasie i po drugiej wojnie światowej pozostaje niezrozumiałych. Chociażby powrót polskich wpływowych polityków i oficerów z emigracji do kraju, przejście WIN-u z podziemia na «amnestię» w nadziei, że będzie można zupełnie legalnie walczyć z bolszewizmem. Przypominam sobie nasze rozmowy z polskimi oficerami WIN-u na Chełmszczyźnie w 1946 r. Z pewnego rodzaju pogardą wysłuchiwali oni naszych argumentów o konieczności walki zbrojnej — n'by to Polacy — naród państwowy i nie można ich porównywać z Ukraińcami. Ale historia pokazuje, że środki, stosowane wobec Ukraińców w dwudziestych latach dały nie gorsze wyniki i w innych krajach»). «Kreml «leczy» rany polsko-niemieckie» (nr 20/1951). W artykule tym wyświetlono kulisy stosunków między Warszawą a wscho-

dnim Berlinem. Reasumując, autor stwierdza: "Stosunki polsko-niemieckie, mimo ostatnich pociągnięć Kremla, pozostają zagadnieniem otwartym nie rozwiązany. Nie rozwiążą tego problemu ani aranżowane przez Moskwę towarzystwa, ani imperialistyczno-nacjonalistyczne koła obydwu narodów. Sprawa ta może być w jakiś sposób pozytywnie rozwiązana tylko wówczas, kiedy z obydwu stron wystąpią wolne i postępowe siły polityczne obydwu narodów. Sprawy tej szczególnie nigdy nie rozwiąże jednostronny rewizjonizm niemieckich uchodźców ani też rozkaz Kremla, dyktujący "wschodnim" Niemcom i "warszawskim" Polakom wzajemną miłość".

Spośród artykułów o tematyce polskiej na łamach "Ukraińskich Wistiej" należy wymienić: "Katyń przedmiotem dyskusji" (nr 9/1947), "Znowu Katyń" (nr 61/1949), "Generał Bór-Komorowski o powstaniu" (nr 38/1949), "Dalekosieżne zmiany wśród emigracji polskiej" (nr 104/1949), "Gospodarka Polski współczesnej" (6.2.49), "Koniec przyjaźni polsko-francuskiej — uwagi w związku z napiętymi stosunkami między Paryżem a Warszawą" (nr 100/1949), "W Warszawie urzęduje sowiecki połpred" (nr 21/1951); w artykule gazeta przypomina rolę, jaką odgrywali namiestnicy i generał-gubernatorowie carscy w Warszawie, analizując następnie stosunki i robotę ambasady sowieckiej w Warszawie pod kierownictwem "połpreda" Lebediewa. "Wiosenne zmartwienia mieszkańców Warszawy — przekrój życia w zso-wietyzowanej stolicy Polski" (nr 43/1951), "Konflikty Polski komunistycznej z Zachodem", artykuł ilustrujący pierwsze lata flirtu reżimu warszawskiego z Zachodem i obecne hermetyczne izolowanie od wpływów zachodnich, na tle konfliktu z USA i spór ze Szwecją (nr 96/1951), "Przyszła kolej na Osóbkę i Zymierskiego" (nr 97/1951). Z dziedziny aktualnej ukazał się ciekawy artykuł, poświęcony pamięci Józefa Konrada Korzeniowskiego "Emigrant-zdobycza", analizujący słowiańskie i polskie pierwiastki w twórczości Konrada i porównujący go z Hoholem (nr 65/1949). Wreszcie bardzo wnikliwy artykuł "Trójpodział polskiej emigracji politycznej" (72, 73/1951).

Jeśli chodzi o inne głosy prasy ukraińskiej w sprawach polskich, to w pierwszej mierze trzeba wspomnieć o artykule "Przyczyny klęski polskiego ruchu wyzwolenieckiego" w lewicowym czasopiśmie ukraińskim "Wpered" (nr 9-10/1950), pióra Jewhena Prirwy, dowódcy oddziału "Ukraińskiej Armii Powstańczej", który w końcu 1948 r. przedarł się na zachód. Prirwa dał szeroką analizę polskiej walki podziemnej przeciwko Sowietom, zastanawiając się szczególnie nad przyczynami upadku zbrojnego ruchu oporu w Polsce. Główną przyczynę tych niepowodzeń Prirwa widzi w braku programu społecznego, który by mógł skutecznie być przeciwstawiony komunistycznym reformom społecznym. Autor opowiada, jak przed wspólnym natarciem oddziałów UPA i WIN-u na Hrubieszów, obecny na naradzie przedstawiciel głównej komendy WIN-u, Ostojka, zaznajomiony się z programem ukraińskiego ruchu wyzwolenieckiego, był nim wyraźnie przejęty. Wśród dółów ruchu oporu podnosili się coraz częściej żądania zmiany programu. Prirwa pisze, że w lipcu 1946 r. jakaś oddzielna grupa podziemna wydała na własną rękę "Program Polski Podziemnej", z którego autor przytacza następujące fragmenty: "W czasie naszych kilkuletnich cierpień zagnęły w naszym narodzie stare formy społeczne. Stajemy się społeczeństwem społecznym jednorodnym. Uważamy to za wielkie i powszechne osiągnięcie i nie oddamy go nigdy i nikomu. Do starych form społecznych już nie powrócimy. Chociaż zmiany te nastąpiły pod ciosami naszych wrogów, jesteśmy świadomi tego, że historia wybiera rozmaite drogi w pochodzie do sprawiedliwości..., jesteśmy świadomi, że nasze siły są za słabe, abyśmy sami mogli wywalczyć swe prawa. Musimy szukać sojuszników pośród narodów pobitych, a przede wszystkim wśród naszych najbliższych sąsiadów: Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Słowaków, Czechów, Rumunów, Węgrów, Jugosłowian, Bułgarów — w całej środkowo-wschodniej Europie". Ale były to tylko próby oddolne, za którymi nie umiała pójść kierownicza góra w Polsce i, jak powiada Prirwa, "londyński rząd emigracyjny, który ostatecznie

oderwał się od kraju". Drugą przyczynę porażek ruchu wyzwolenieckiego w Polsce autor widzi w fałszywej taktyce tego ruchu w stosunku do bolszewików, a mianowicie w paktowaniu z nimi i operowaniu przy pomocy aparatu zalegalizowanego, do którego łatwo było przeniknąć bolszewickiemu systemowi policyjnemu w Polsce.

Bilans dyskusji 1947-1948

Zagadnienie znormalizowania stosunków polsko-ukraińskich, celem nawiązania koniecznej z punktu widzenia obopólnych interesów współpracy, było przedmiotem ożywionej dyskusji prasowej na łamach polskich i ukraińskich pism diplosowskich w Niemczech w okresie 1947/48. W dyskusji tej, prowadzonej początkowo przez "Kronikę" Klaudiusza Hrabyka ze strony polskiej oraz przez "Czas" Romana Ilnyckiego ze strony ukraińskiej, wzięły z czasem również udział inne pisma ukraińskie: "Nedila", "Nasze Żyttia", "Ukraińska Trybuna", ze strony polskiej zaś "DP-Express", a nawet londyński "Orzeł Biały". Podczas, gdy polskimi partnerami w tej dyskusji byli Klaudiusz Hrabyk, Wojciech Zaleski, Jerzy Bielski i Jarosław Zagórski, stanowisko ukraińskie reprezentowali Roman Ilnycki, Radowycz, Balej, dr Lew Rebet, inż. Dmytro Andrijewski, Mykoła Liwickij i Pawło Kotowycz. Cała ówczesna dyskusja wykazała, jak rozbieżne i przeciwstawne są poglądy obu stron. Ukraińcy bronili Jałty i granicy Bug-San, Polacy zaś Rygi i Zbrucza. Dyskusja toczyła się na temat roli Polski i Ukrainy w koncepcji federalistycznej "Miedzymorza". Były w tej dyskusji tu i tam wyłomy ze sztywnych, nieprzejednanych frontów np. w wypadku publicysty polskiego Bielskiego, ale w ostatecznym bilansie dwuroczna dyskusja nie pozostawiła nawet śladu w postaci jakiegos koordynacyjnego ośrodka polsko-ukraińskiego lub nawet jakiegos centrum dla wymiany prasowo-informacyjnej. Patrząc dziś retrospektywnie na ówczesną dyskusję polsko-ukraińską, dochodzi się do wniosku, że rozwinięła się ona nieograniczenie, sięgając od razu po rozwiązanie spraw kluczowych i hierarchicznie najwyższych (np. form federacji), a pozostawiając wiele spraw i zadrażeń podstawowych. Wydaje się dziś pewne, że taki nagły skok na wierzchołek piramidy skomplikowanych i nawarstwionych wzajemnymi żałami i urazami psychicznymi zagadnień polsko-ukraińskich był fałszywą metodą, która już w zaraniu dyskusji przesadziła o jej jakości. Miejmy nadzieję, że rozwijająca się na nowo dyskusja polsko-ukraińska uniknie błędów z lat 1947/48 i skoncentruje się najpierw na żmudnym rozbijaniu uprzedzeń i urazów, na wyjaśnianiu spraw zasadniczych, nawiązaniu stałego kontaktu dla wymiany myśli i poglądów, aby tą drogą wspinać się na szczyty naszych wspólnych spraw i budować długotrwały kompromis.

Czym są dla Ukraińców ziemie sporne?

W celu naprawde twórczej i owocnej dyskusji, trzeba w pierwszej mierze i możliwie jak najdokładniej, wiedzieć jakie są poglądy ukraińskie w sprawie tej ziemi, która jest kością niezgody i przeszkodą w osiągnięciu tak potrzebnej współpracy polsko-ukraińskiej.

Dr B. Hałyniak ogłosił w tej sprawie wyczerpujące wyjaśnienie na łamach miesięcznika ukraińskiego w Argentynie "Owyd" (nr 6/51). Polemizuje on przeciwko terminowi "Małopolska Wschodnia", stwierdzając, że tym terminem można by nazwać chyba Lubelskie i Rzeszowskie. Po Unii w 1569 r. Polska czyli Korona — pisze Hałyniak — dzieliła się na Wielkopolskę i Małopolskę. Ta ostatnia obejmowała, oprócz właściwej pierwotnej, historycznej Małopolski, a więc dzisiejszych województw Krakowskiego, Kieleckiego i zachodniej części Rzeszowskiego i Lubelskiego, również wszystkie ziemie ukraińskie, z wyjątkiem Polesia i Podlasia, a więc województwa: ruskie (dawne Królestwo Halickie), Belzkie, Wołyńskie, Podolskie, Braclawskie, Kijow-

skie i Czernihowskie. W tym drugim, szerszym znaczeniu, Ziemia Halicka zasługuje na nazwę "Małopolski" nie więcej aniżeli Czernihowszczyzna lub Kijowszczyzna. Publicysta ukraiński, pisząc następnie o dziejach Ziemi Halickiej pod panowaniem Austrii, stwierdza, że Polacy, dzięki swej szlachcie, zdołali opanować niemal całkowicie administrację halicką tak, że ziemia ta stała się "prawdziwym polskim państwem w państwie". Aby się uwolnić od tej dominacji polskiej, Ukraińcy stale domagali się podziału Ziemi Halickiej na dwie odrębne prowincje: wschodnio-ukraińską i zachodnią, krakowską-polską. Dopiero w roku 1918 — już zapóźno — zgodziła się Austria na ów podział. Dr Hałyniak utrzymuje, że Polacy, korzystając, w odróżnieniu od swych rodaków, uciskanych pod rządami Niemiec i Rosji, z szerokiej swobody politycznej i kulturalnej, dopiero za Franciszka Józefa I zaczęli uważać ukraińską Ziemię Halicką za kraj polski i nazywać ją "Wschodnią Małopolską". "Hałczyne nazywają Wschodnią Małopolską, bo w niej mało Polaków" — mawiano kiedyś u nas, powiada Dr Hałyniak, konkludując następnie: "Polacy haliccy, zasiedlili przedziadowskie ziemie piastowskie nad Odrą i Nysą. Polacy lwowscy przesiedlili się do Wrocławia, zabierając ze sobą lwowskie muzea, biblioteki i inne dobra kultury, nawet nazwy ulic — a razem z tym i legendę polskiego Lwowa. Wierzymy, że z tą chwilą zakończył się tragiczny spór między dwoma sąsiednimi narodami — spór, którego wyrazem była sama nazwa: Małopolska wschodnia.

Inny Ukrainiec halicki, publicysta Dr Iwan Łysiak-Rudnicki, analizując swego czasu na łamach pisma "Ukraiński Wist" (nr 21/48), "Wszechukraińskie znaczenie halickiego zrywu 1918/1919" pisał, że wartość tego zrywu polega przede wszystkim na tym, że "Ziemia Halicka dała w latach 1918/1919-tym jedynym w nowoczesnej historii przykład ukraińskiej państwowej praworządności... Przez cały okres niepodległości i wojny polsko-ukraińskiej, na całym terytorium zachodniej Ukrainy, polskiej ludności cywilnej nie spadł włos z głowy. Nie było ani jednego pogromu żydowskiego, a kiedy ukraińska armia halicka odeszła za Zbrucz, tamtejsze miasteczka żydowskie prosiły o załogę halicką, widząc w niej najpewniejszą ochronę przeciwko wszelkiego rodzaju grabieżcom i maruderom. Chłop halicki, zamiast palić dwory i rozkradać obce dobro, czekał na załatwienie kwestii agrarnej drogą ustawodawczą, dając tym samym dowód zaufania do władzy ukraińskiej, którą równie społecznie uważał za swoją. Rząd Zachodniej Republiki Ukraińskiej, opierający się na plejadzie owych Lewickich Petruszewiczów, Oleśnickich, Makuchów, Hankewiczów i dwupartyjnym systemie narodowych demokratów i socjalistów, miał ogólny autorytet w społeczeństwie. Słowem: w Zachodniej Ukrainie w latach 1918/1919 stwierdzamy istnienie zasadniczych warunków realnego życia państwowego... Halicki przykład lat 1918/1919 krzepi wiarę w ukraińską przyszłość i państwo ukraińskie praworządne".

Jakież jest tedy stanowisko Ukraińców halickich wobec Kijowa i Ukrainy Naddnieprzańskiej? Odpowiedź na to pytanie daje nam S. Czernecki, również na łamach "Ukraińskiego Wist" (nr 55/56-1948): "Nie zapominajmy, że gdyby nie Naddnieprze, nie byłoby na ziemi halickiej naszego narodowego rozwoju w stylu ukraińskim, nie byłoby halickiego Piemontu. Gdyby nie Kotłarewski¹⁾ i literackie dzieła z Nadnieprza, nie byłoby ukraińskiego M. Szeszkewycza i jego towarzyszy²⁾, Szewczenko³⁾ i Drahomanow⁴⁾ dali Franka⁵⁾, Łysenko⁶⁾ dał

1) Kotłarewski, Iwan (1769-1838), autor "Eneidy" — satyry na ukraińską ówczesną rzeczywistość, napisanej według klasycznych wzorów w ukraińskim języku ludowym i dlatego uważany za "ojca" nowej literatury ukraińskiej.

2) Szeszkewycz, Markijan, wraz z Iwanem Wahiłewyczem i Jakiem Hołowackim występuje w 30-tych latach XIX stulecia jako pionier odrodzenia ukraińskiego życia literackiego w Ziemi Halickiej. W 1837

Ludkiewicza, Barwińskiego i innych⁷⁾, Antonowycz i Hruszewskij⁸⁾ — Stefana Tomasziwskiego⁹⁾, Myrona Kordubę¹⁰⁾, Iwana Krypakewycza¹¹⁾; Symerenko, Myloradowycz, Czykałenko ufundowali towarzystwo imienia Szewczenki we Lwowie. A czyż Cegłyński, Worobkewycz, Wasyl Paczowski nawet z Iwanem Franko stworzyliby ukraiński narodowy repertuar teatralny? Czyż to nie Ukraińcy Naddnieprzańscy dali naszemu teatrowi ukraiński kolor, styl i ducha? Rodzina Barwińskich, pierwsza na Ziemi Halickiej poprowadziła rzeczywistość ukraińskie życie i politykę, w wielkiej mierze dzięki P. Kuliszowi. Nawet młodzi nasi nacjonalisci odczuwają, że E. Konowalec¹²⁾ bez Michnowskiego¹³⁾, bez Łesi Ukrainki¹⁴⁾, a nawet Chwyłowego¹⁵⁾ i jego towarzyszy nie mogliby samodzielnie egzystować. Bowiem bez Połtawy i Kijowa, nie ma i ukraińskiego Lwowa, Tarnopola, Stanisławowa i Kołomyji. Bez Ukrainy naddnieprzańskiej, Ziemia Halicka — to tylko Prowansalia, ale nigdy państwo ukraińskie".

r. ukazuje się "Rusalka Dnistrowaja", almanach poetycki, napisany przez tę grupę. Jest to pierwsze dzieło literackie na Zeim Halickiej, wydane w ludowym języku ukraińskim.

3) Szewczenko, Taras (1814-1861), ukraiński poeta i wieszcz narodowy, którego dzieła stały się ewangelią w walce o odrodzenie polityczne i kulturalne Ukrainy.

4) Drahomanow, Mychajło (1841-1895), prof. uniwersytetu Kijowskiego, przebywał jakiś czas we Lwowie, następnie na emigracji w Genewie i w Bułgarii jako profesor uniwersytetu w Sofii. Już w czasie studiów w Niemczech i Austrii doszedł Drahomanow do wniosku, że niemieckiemu państwu na wschód należy przeciwstawić federację narodów Europy Wschodniej. We Lwowie wywarł Drahomanow wielki wpływ na młodych działaczy ukraińskich i przyczynił się do utworzenia stronnictwa radykalnego. Na emigracji, w Genewie, Drahomanow głosił ideę światowej federacji poprzez federację europejską, czyli, jak wówczas pisał, "Spółkę Europejską".

5) Franko, Iwan (1856-1916), poeta, naukowiec i polityk o socjalistycznych przekonaaniach. Odegrał on olbrzymią rolę w odrodzeniu życia ukraińskiego na Ziemi Halickiej, współpracował z postępowymi kołami polskiego życia politycznego i naukowego.

6) Łysenko, Mykoła (1842-1912), kompozytor, po studiach muzycznych w Lipsku rozpoczął nowy okres rozwoju muzyki ukraińskiej.

7) Ludkiewicz, Stanisław (ur. w 1879 roku) i Barwiński, Wasyl (ur. w 1888 r.), kompozytorzy, którzy przybliżyli ukraińską twórczość muzyczną na Ziemi Halickiej do ogólnego nurtu muzyki europejskiej.

8) Antonowycz, Wołodmyr (1834-1908), profesor uniwersytetu Kijowskiego, historyk, położył fundamenty pod nowoczesną historiografię ukraińską. Hruszewskij, Mychajło (1866-1934), autor monumentalnej historii Ukrainy, pierwszy zwierzchnik odrodzonego państwa ukraińskiego w 1918 r. Organizator Wszechukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie, zamęczony przez bolszewików.

9-11) Tomasziwskij Stefan, Korduba Myron, Krypakewycz Iwan historycy ukraińscy na Ziemi Halickiej, po pierwszej wojnie światowej.

12) Kulisz, Pantelejmon (1819-1897), poeta, historyk, etnograf, krytyk i tłumacz (patrz "Kultura" nr 2/3-1952 — "Przeciw upiorom przeszłości", str. 16-17).

13) Konowalec, Eugeniusz, pułkownik Korpusu Ukraińskich Strzelców Siczowych w czasie pierwszej wojny światowej, organizator i komendant podziemnej Ukraińskiej Organizacji Wojskowej w dwudziestych latach na Ziemi Halickiej, przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, zginął w zamachu bombowym dn. 23.V.1938 r. w Rotterdamie.

14) Michnowskij, M., współorganizator pierwszej ukraińskiej partii socjalistycznej (Rewolucyjna Ukraińska Partia) w r. 1907 w Charkowie i autor broszury "Samostijna Ukraina". W kilka lat później opuścił obóz socjalistyczny, skłaniając się ku ideom narodowym. Przez nacjonalistów uważany za ojca ideowego ich ruchu.

Byli to wyznania wiary Ukraińców halickich, ale i publicyści wschodnio-ukraińscy, wyrazicieli opinii tej stutysięcznej masy, o której Pawło Kotowycz w liście do londyńskich "Wiadomości" podkreślał, że masa ta nie zdezeretowała do obozu rosyjskiego, ale trwa na pozycjach ukraińskich, dają wyraz uczuciom i poglądom Ukrainy naddnieprzańskiej na Ziemię Halicką. Z okazji 30-lecia wybuchu powstania ukraińskiego na Ziemi Halickiej, jeden z czołowych publicystów t.zw. pod-sowieckiej emigracji Jurij Dywnycz pisał na łamach "Ukraińskich Wistej" (nr 88/1948), że Ziemia Halicka, która od dziesiątego stulecia ma typowy ukraińsko-macierzysty, a nie polski charakter, nigdy w ciągu tysiąclecia nie straciła związku z całą Ukrainą. W roku 1918 Zachód, poprzez Polskę, ugodził sztyletem w plecy Ukrainy, której młodzież krwawiła się wówczas w tragicznej walce przeciwko bolszewickiej Moskwie. To uderzenie sztyletem z Zachodu było wymierzone właśnie przeciwko tej ziemi ukraińskiej, która była najbardziej związana z Zachodem, któremu najbardziej wierzyła i zbytnio ufała. W oświadczeniu tym Dywnycz stwierdził, że "pragnąc jak najlepszych, przyjacielskich stosunków z naszymi zachodnimi sąsiadami, nie pozwolimy sobie nigdy na traktowanie Ziemi Halickiej jako odrębnego problemu". Tenże autor rozpatruje w "Ukraińskich Wistach" (nr 24/1948) specjalnie sprawę Ziemi Halickiej w ramach rozprawy "przed nowym etapem" i dochodzi do takich oto wniosków: "Na skutek pierwszej wojny światowej i rewolucji ukraińskiej, problem ukraiński wyszedł od razu, w ciągu kilku miesięcy 1917 r., poza regionalne granice i stał się wszechukraińskim, a zarazem i światowym zagadnieniem. Różnice regionalne odeszły na drugi plan, ba, stały się nawet zastarzałymi, szkodliwymi przeżytkami. Dziś nie ma już halickiego, bukowińskiego, zakarpacieckiego problemu. Dziś istnieje ukraiński problem światowy, a z peryferyjnych — chyba zagadnienia Kubania, Tahanrogu, Podonia, Północnego Kaukazu i Krymu, w których kwestionuje się nasze prawa zasadniczo i formalnie... Można powiedzieć, że Ziemia Halicka, nie mając możliwości przeżycia w całej głębi ogólnonarodowej rewolucji lat 1917-1920, przeżywała ją jakby wtórnie w szczuplejszej formie "budowania państwa w państwie" metodami spółdzielczo-oświatowymi jako też tak zwanym "rewolucyjnym czynem OUN". Ta stronica życia halickiego ma takie same wszechukraińskie znaczenie, jak i halickie zbrojne walki wywołane w latach 1918-1920. Byłoby zbrodnią tego niedoceniać. W wyniku bowiem tej roboty powstała jednolita świadomość narodowa całej ludności Ziemi Halickiej, czego nie było jeszcze 1.11.1918 r.

Inny publicysta z emigracji wschodnio-ukraińskiej, Jurij Koszelniak podnosi znaczenie kontynuacji kontaktów między Kijowem a Lwowem w minionych 10-leciach. ("Ukraiński Wisti", nr 98/1948). Píše on, że "nawet wtedy, kiedy Zbrucz jeszcze istniał jako państwowy kordon między rosyjskim i austrowęgierskim imperium, a później między USRR i Polską, ta materialna przeszkoda nie doprowadziła w ukraińskim świecie politycznym do budowy jakichś dwu linii polityki narodowej, dwu koncepcji jej polityki zagranicznej. Psychologiczne zasy-pywanie kordonu na Zbrucz rozpoczęło się już dawno, jeszcze wówczas, kiedy ukraińscy działacze kulturalni i polityczni z podrosyjskiej Ukrainy (Kulisz, Konyskij¹⁵), później M. Hruszewskij, M. Kociubyn-

15) Ukrainka, Lesia (1872-1913), największa poetka Ukrainy, autorka przepięknych liryk oraz wielu dzieł dramatycznych. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Laryssa Kosacz. Patriotyczne wiersze Lesi Ukrainki, których dewizą było "Contra spem spero", odegrały wielką rolę w uświadamianiu ukraińskich mas ludowych.

16) Chwyłowij, Mykoła (1893-1933), wybitny ukraiński pisarz Ukrainy Sowieckiej, prozaik, essayista, członek partii komunistycznej, który rzucił hasło "Precz z Moskwą, orientacja na Europę psychologiczną". Chwyłowij został zmuszony przez Moskwę do samobójstwa.

17) Konyskij, O., pisarz ukraiński, przy końcu XIX i na początku

skij¹⁸) przebywali długo na Ziemi Halickiej, pracując pośród tamtejszego społeczeństwa". Upadek imperium rosyjskiego i utworzenie państwa ukraińskiego nad Dnieprem wzmocniło dyfuzję ukraińskiego wschodu i zachodu i połączenie w sensie państwowo-twórczym. (Proklamowanie połączenia Zachodniej Ukraińskiej Republiki Ludowej z Republiką UNR dn. 3.1.1919 i akt ujednolicenia państwa ukraińskiego, ogłoszony 22.1.1919 w Kijowie). Koszelniak podkreśla w dalszym ciągu, że "po naszej klęsce i ostatecznym utworzeniu USRR kontakty kulturalno-polityczne między zachodnimi i wschodnimi ziemiami Ukrainy nie uległy przerwie i wielu Ukraińców halickich, bukowińskich i zakarpacieckich pracowało nad rozbudową ukraińskiego życia kulturalno-artystycznego w USRR, czyniąc wydatny wkład do wspólnej skarbnicy naszej kultury. Wystarczy przypomnieć imiona takich działaczy (formalna przynależność części z pośród nich do kompartii nie powinna zamydlać nam oczu i obniżać ich zasługi w rozwoju naszej kultury narodowej) jak Sijak, Demczuk, Juryneć, Jaworski, Matwij Baran, Les Kurbas, Kruszelnicki i inni¹⁹). Wspomnijmy również wszechukraińską Komisję Pisowni i konferencję w 1928 r. w Charkowie, która ustaliła pisownię ukraińską, przy aktywnym udziale zachodnio-ukraińskich uczonych i literatów: W. Simonowycza, St. Smal-Stockiego, W. Stefanyka i innych. Dzień 17 września 1939 r., kiedy sowieckie dywizje kijowskiego, charkowskiego i odeskiego okręgu wojskowego, złożone przeważnie z Ukraińców, wkroczyły na Ziemię Halicką i zachodni Wołyń, był — podkreśla publicysta wschodnio-ukraiński — zarówno dla Ukraińców, służących w armii sowieckiej, jak również dla "podpolskich Ukraińców" (mimo że z nakazu czerwonej Moskwy) — aktem o olbrzymim ogólnonarodowym znaczeniu, który położył koniec wiekowemu podziałowi terytorium i narodu Ukrainy".

Przeciwko "salonce Piłsudskiego i ciepłuszcze Pietlury"

W toku dyskusji polsko-ukraińskiej w roku 1947/48 któryś z polemistów ukraińskich wysunął twierdzenie, że Polacy wyobrażają sobie wciąż jeszcze federację polsko-ukraińską w podobnej formie, jak to było, gdy Piłsudski i Petlura szli na Kijów i kiedy to Piłsudski jechał zarekwirowaną salonką Petlury, Szymon Petlura zaś ordynarną "ciepłuszką". O ile wiem, twierdzenie to nie odpowiada faktom historycznym, w każdym razie jednak ilustruje ono znakomite obawy ukraińskie przed polskimi koncepcjami federacyjnymi. Ta wrażliwość, graniczona niejednokrotnie, w niektórych środowiskach ukraińskich, nieomal z egzaltacją, sprawia, że organ nacjonalistów ukraińskich grupy Bandery "Ukrainiec-Czas" (nr 48/1951) weszły imperializm polski nawet w grupie "Kultury". W artykule p.t. "Federalistyczny imperialiści" pismo to dopatruje się w wysuniętym przez londyńskiego korespondenta Kultury p. Mieroszewskiego, projekcie utworzenia międzynarodowej brygady wschodnio-europejskiej przy europejskich siłach zbrojnych — zakamuflowanego imperializmu polskiego. Ekstremiści ukraińscy widzą ten imperializm w sformułowaniu, że sporne sprawy terytorialne mają być rozwiązane dopiero po utworzeniu federacji europejskiej i to nie na podstawie historycznych ambicji, ale na zasadach

XX stulecia, wywarł poważny wpływ na rozwój życia kulturalnego Ukraińców Ziemi Halickiej. W r. 1890 Konyskij wystąpił z inicjatywą kompromisu między Ukraińcami a Polakami na Ziemi Halickiej.

18) Kociubynskij, Mychajło (1864-1913), utalentowany nowelista ukraiński, pionier realizmu w literaturze ukraińskiej. Urodzony w Winicy na Podolu, przebywał dłuższy czas we Lwowie i na Huculszczyźnie.

19) Działacze kulturalni, pisarze, aktorzy, którzy w 20-tych latach porzucili Ziemię Halicką, oddając swój talent i siły budownictwu państwowości Ukrainy Sowieckiej. W pierwszych latach stalinizmu zostali zlikwidowani.

sprawiedliwości, dla dobra wspólnoty europejskiej oraz na zasadach równowagi gospodarczej między poszczególnymi członkami federacji. Uważają oni, że "równowaga gospodarcza" to w rozumowaniu Polaków "podolska i wołyńska pszenica, białoruskie lasy i wody, bo na kaszubskich piaskach tego wszystkiego nie ma". Ukraińskie pismo nacjonalistyczne zapytuje, co powiedzieliby ci federalistyczni imperialiści, gdyby Ukraina żądała (dla równowagi gospodarczej!) bodaj części Śląska i jego węgla, gdyż transport na zachodnie ziemie ukraińskie aż z Donieckiego Zagłębia może poważnie podwyższyć cenę tego tak ważnego produktu. Gazeta banderowska doradza w końcu Polakom, aby zrozumieli wreszcie, że ich miejsce jest tylko w szeregach narodów, które tworzą ABN! ²⁰⁾

Oczywiście, nie wszystkie zastrzeżenia ukraińskie są tak przesadzone jak zacytowany przykład. Publicyści środowiska, reprezentowanego przez "Ukraiński Wisti", wysuwając zastrzeżenia, podkreślają głównie dwie myśli, a mianowicie to, że Ukraińcy w rozmaitych koncepcjach regionalnej federacji Europy Środkowo-Wschodniej widzą niebezpieczne tendencje neutralistyczne w stosunku do problemu rozbicia imperium rosyjskiego i włączenia narodów podbitych przez Rosję Sowiecką — Białorusi, Kaukazu i Ukrainy do federacji europejskiej z jednej strony, a hegemonistyczne tendencje federalistów polskich w stosunku do Białorusi i Ukrainy z drugiej strony. ("Ukraiński Wisti" nr 20, 42, 96/1928). W tym kontekście nawet idea "zmodernizowanej" Unii Jagiellońskiej jest straszakiem dla demokratów ukraińskich. Właśnie w tej sprawie ogłosił swe krytyczne uwagi cytowany już poprzednio socjalista Czerniecki ("Ukraiński Wisti", nr 18/1952). Nawiązuje on do uchwał grudniowego zjazdu PSL-Jedność Narodowa w Londynie, gdzie podobno wysunęto koncepcję unowocześnionej idei jagiellońskiej. Czerniecki stwierdza, że dziś zapóźno już lansować narzuconą kiedyś Litwie i Ukrainie przez szlachecki imperializm polską ideję jagiellońską, która skończyła się fiaskiem. Zresztą kto z Ukraińców może uwierzyć dziś Polsce, zapytuje Czerniecki i przypomina, że "Polacy podpisali kiedyś ugodę z Chmielnickim i Wyhowskim i co z tego wyszło? Wyhowskiego nawet rozstrzelali. Podpisali umowę z Petlurą, a potem rozfrymarczyli ją z bolszewikami w Rydze. Godzili się i z Antonim Wasylczukiem i z Włodzimierzem Baczyńskim i z Sewerynem Danyłowiczem i Wasylem Mudrym ²¹⁾ i czy choć jednej umowy dotrzyмали?... Wedle stawu grobla, powiada przysłowie polskie, w miarę sił i możliwości winni Polacy dążyć do odbudowy swego niezawisłego państwa narodowego, a nie oszukiwać siebie samych faktami minionej, kolonialnej polityki imperialistycznej na ziemiach ukraińskich... Drugiej Armii Hallera Francja Polsce już nie da, choćby i chciała. Paderewskiego nie ma, a zresztą Truman i Eisenhower, to nie profesor Wilson. Na cóż i na kogo liczą więc Polacy dziś ze swym imperializmem w stosunku do ziem ukraińskich? Na porozumienie z Moskwą? Zapominają, że po umowie Andruszowskiej, w której Polska i Rosja podzieliły między siebie ziemie ukraińskie, nastąpił rozbiór Polski przez Moskwę i Niemcy, że po traktacie z bolszewikami w Rydze przyszło niemiecko-moskiewskie porozumienie w Rapallo, a później pakt Stalin-Hitler i zniszczenie Polski w 1939 roku". Na pomoc i opiekę Francji, Anglii czy Rumunii albo "braci Węgrów", Polacy — zdaniem Czernieckiego — po doświadczeniach 1939 r. liczyć nie powinni. Między Niemcami a Rosją Polska niepodległa się nie utrzyma, ale Polska w przymierzu z uciemiężonymi dziś, wraz z nią, przez moskiewski bolszewizm narodami może się utrzymać jako państwo niezawisłe, na-

20) ABN — "Antybolszewicki Blok Narodów", organizacja między-narodowa prawicowych ugrupowań emigracji wschodnio-europejskiej i bałkańskiej, utworzona z inicjatywy ukraińskich nacjonalistów grupy Bandery.

21) Ukraińscy politycy parlamentarni z okresu między dwiema wojnami światowymi, którzy prowadzili pertraktacje z polskimi czynnikami w Warszawie.

samprzód przeciwko Niemcom, a odgradzona innymi państwami — i przed Rosją. I dlatego czyż nie warto zgodzić się na projekt, który wysunęła Ukraińska Rada Narodowa i nie przystąpić do bloku narodów od Morza Bałtyckiego po Morze Czarne, do którego weszłyby Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś, Polska, Czechy, Słowacja, Ukraina, ziemie kozackie i narody Kaukazu? Tylko taka koncepcja jest realna i zabezpiecza istnienie Polski niepodległej jako państwa. Ale Polska nie może tu realizować swej idei jagiellońskiej i kolonizować tych ziem. Idea jagiellońska, to stara idea, to dawno minione słupy przydrożne, jak to słusznie określił niegdyś polski malarz i pisarz, Stanisław Witkiewicz. Polska w takim bloku narodów może być tylko jako równa pośród równych, ale nigdy jako pierwsza wśród "pierwszych!" Takie polskie aspiracje to nierealna, chimeryczna utopia. Polska jest dziś za słaba, aby mogła negować naród ukraiński. Nie uda się jej spolonizować i skolonizować ukraińskie ziemie polskim elementem. Polacy powinni rozumnie gospodarzyć na swych własnych ziemiach, a nie spozierać na cudzy grunt, nie powinni zaorywać sąsiadom miedź i wlażyć nieproszeni do chaty, aby tam zaprowadzać swoje porządki. My nie jesteśmy wrogami narodu polskiego i jego niepodległego państwa. My nie za-wojowywaliśmy ani Krakowa, ani Warszawy, ani Poznania, my nie rozdzieliliśmy Polaków na Kaszubów, Górali, Ślązaków, Mazurów, tak jak to Polacy robili z nami. Niech sobie i to przypomni polscy ludowcy. Kiedy przed pierwszą wojną światową, krakowska krytyka przeprowadziła wśród polityków europejskich ankietę w sprawie niepodległego państwa polskiego, Ukraińcy prof. Mychajło Hruszewskij, późniejszy przewodniczący Centralnej Rady UNR, pisarz Borys Hrinchenko ²²⁾ i przywódca chłopów ukraińskich Kyryło Tryłowski wypowiedzieli się za niepodległym państwem polskim. W obronie niezawisłości Polski przywódcą socjalistów ukraińskich Mykoła Hankewycz napisał książkę "Niepodległość Polski". Było to wówczas, kiedy Polacy nie uznawali Ukraińców, kiedy nie pozwalali na utworzenie uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie... Przypominamy to dziś obecnej młodej generacji ludowców polskich. Jak widać z rezolucji ich ostatniego zjazdu, znają oni swą partię tylko z czasów Wincentego Witosa, Rataja, Thugutta i Gruski. Zapominają dzisiejsi ludowcy polscy, że u kołyski polskiego ruchu chłopskiego stali i Bolesław Wyslouch i Henryk Rewakowicz i Iwan Franko. Ten Ukrainiec Iwan Franko był autorem i twórcą pierwszego partyjnego programu ludowców polskich. On też był przez długie lata współpracownikiem polskiej prasy ludowej ("Kurier Lwowski")... Na zakończenie Czernieckiej przytacza, jako pouczający przykład, Turcję, która wyrzekła się dawnej imperialistycznej idei ottomańskiej i dziś, wraz z Grecją i Jugosłowianami zajmuje wspólny front przeciw czerwonej Moskwie. Czyż to do Polaków nie przemawia, zapytuje autor, apelując do ludowców polskich, aby nie upierali się przy starych i dziś już nierealnych metodach szlacheckich, które skazane są na zagładę. Jakż się tedy program wysuwają Ukraińcy pod adresem Polaków? Czerniecki wspomina o bloku narodów od Morza Bałtyckiego po Kaukaz. W roku 1948 członek Ukraińskiej Partii Rewolucyjno-Demokratycznej, która jednakowoż w swych szeregach emigrację z Ukrainy pod-sowieckiej, Mychajło Woskobijnyk, w następujący sposób przedstawił problem stosunków polsko-ukraińskich: "Lewo skrzydło Ukrainy w jej walce z Rosją tworzą w pierwszym rzędzie Białoruś i Polska... niezwykle ważnym czynnikiem dla Ukrainy, w jej walce z Rosją, jest

22) Hrinchenko, Borys (1863-1910), prozaik, filolog, autor i wydawca wielkiego słownika języka ukraińskiego oraz działacz polityczny, który w r. 1884 opracował program "Świadomych Ukraińców" i w broszurze, wydanej po rosyjsku i po francusku, domagał się od Europy obrony uciśnionej przez Rosję ludności ukraińskiej. Hrinchenko uważał, że "Ukraińcy z Lachami muszą się pogodzić... tylko wówczas potrafia szczęśliwie i pewnie walczyć ze wspólnym wrogiem, który jednakowo, i z Lacha i z Ukrainą, chce zrobić Moskalą. Jednego mamy wroga, i razem też musimy się bronić przed nim, a nie spierać się z sobą".

wszechstronny rozwój dobrosąsiedzkich a nawet wojenno-sojuszniczych stosunków z Polską, tak samo jak dla Polski ważną jest nasza przyjaźń, wobec potencjonalnego niebezpieczeństwa niemieckiego. Podstawą do pielęgnowania stosunków dobrosąsiedzkich jest uregulowanie wiekowego terytorialnego sporu ukraińsko-polskiego. Obecne zachodnie granice Ukrainy z roku 1945, ustanowione odpowiednimi aktami międzynarodowymi, w gruncie rzeczy sprawiedliwie rozwiązują dawne spory z naszymi zachodnimi sąsiadami. Granice z Polską, ustalone wzdłuż t.zw. linii Curzona pozostawiają na zachód od niej jeszcze znaczne terytory ukraińskie z wyraźną ukraińską przeszłością (jak np. Łemkowszczyzna, Chełmszczyzna) i z liczną ludnością. Jednak na wschód od linii Curzona żyła tak samo poważna ilość polskich osiedleńców. Wymiana ludności między Polską a Ukrainą po tej wojnie chociaż przeprowadzona niezwykle okrutnymi metodami, dała podstawę do wyczerpania wzajemnych pretensji co do spornych terytoriów. Linia Curzona lub dzisiejsza granica polsko-ukraińska stała się w ten sposób linią maksymalnie sprawiedliwych strat wzajemnych. W naszym ukraińskim interesie jest widać Polskę silną i zdolną do obrony przed przyszłym niebezpieczeństwem niemieckim. Nasze zbyt dalekie posuwanie się w kierunku Warszawy wywoływałoby zawsze spojrzenia Polaków w stronę rosyjską, a to osłabiałoby nas wzajemnie w obliczu niebezpieczeństwa rosyjskiego i niemieckiego.

BEO.

Der MONAT

M I Ę D Z Y N A R O D O W Y M I E S I Ę C Z N I K
P O L I T Y C Z N O - L I T E R A C K I
P O D R E D A K C J ą M E L V I N A J. L A S K Y ' E G O

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

KONTAKTE

M I E S I Ę C Z N E S P R A W O Z D A N I A Z K O N G R E S U
W O L N O Ś C I K U L T U R Y W N I E M C Z E C H.

Bezpłatna wysyłka

poprzez niemieckie przedstawicielstwa w:
Frankfurt/Main-Sachsenhausen, Stegstrasse 36
Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

Problem "drugiego" pokolenia

Trudność życia emigracyjnego polega na tym, że odbywa się ono na dwóch poziomach. I musi się odbywać na dwóch poziomach. Ci z nas, którzy w swym emigracyjnym życiu likwidują ową dwoistość i przenoszą się całkowicie na jeden poziom — przestają być emigrantami. Owi "jednopoziomowcy" żyją, albo wyłącznie na "piętrze" angielskim, zrywając z życiem polskim — albo odwrotnie, żyją wyłącznie w ghetcie polskim, nie interesując się zupełnie sprawami kraju swego czasowego pobytu.

Emigrant musi żyć na dwóch "piętrach", polskim i angielskim. Musi harmonizować treść tych dwóch poziomów, bo inaczej nie wypełni swojego zadania.

Polak, który żyje wyłącznie na "piętrze" angielskim zmierza ku naturalizacji faktycznej, która jest istotna, w przeciwstawieniu do naturalizacji paszportowej, która często bywa tylko formalna.

Polak, który żyje wyłącznie na "piętrze" polskim nie jest emigrantem, tylko uchodźcą, którego losy wojenne zapędziły do Londynu czy do Glasgow.

Znam wielu młodych architektów, chemików, mechaników i elektryków, którzy pracują w firmach angielskich, a niektórzy z nich w służbie państwowej. Wszyscy ci młodzi ludzie — choć w większości nie zdają sobie z tego sprawy — w mojej opinii, znajdują się na prostej drodze do faktycznej naturalizacji.

Nasz świat emigracyjny jest z jednej strony oparty na politycznej konwencji, która niepotrzebnie przypomina kapliczkę-mauzoleum — z drugiej zaś strony nadaje mu ton tylko jedno pokolenie. Dla kogoś spoza klanu tego pokolenia nie

wszystko w świecie emigracyjnym jest zrozumiałe i nie wszystko jest interesujące.

Architekt, którego biorę za typowy przykład, w Polsce niepodległej przeżył pierwsze 22 lata swego życia. Tu, w Anglii, skończył wyższe studia i tu zaczął pracować. Tak on, jak i jego polscy koledzy, interesują się żywo sprawami, które dla polskiej prasy emigracyjnej w ogóle nie istnieją. Ci młodzi ludzie wysuwają zarzut, że pisma emigracyjne są pismami "klubowymi" dla gentlemenów, którzy w Polsce niepodległej byli już "kimś" i do dziś dnia uważają, że historia Polski i ich wspominki to mniej więcej jedno i to samo.

Nie ulega wątpliwości, że nie sformułowana konstytucja naszej emigracji zasadza się na przeświadczeniu, że emigrantami pierwszej kategorii są członkowie tego "rządzącego" pokolenia. Ten stan rzeczy w pełni odzwierciedla nasza prasa, która z nielicznymi wyjątkami, poświęcona jest w całości sprawom "rządzącego" pokolenia.

Jeżeli ktoś, w danym momencie, nie pragnie nadychać się Soplicowem, lecz szuka współczesnej poważnej lektury, kupi za 3 pny tygodnik angielski, a nie "Wiadomości", czy "Orla Białego". Wszelkie generalizowanie jest mało obiektywne — niemniej czasem jest konieczne. Faktem jest, że nasza prasa — z wyjątkiem "Dziennika Polskiego", który jako pismo codzienne nie podpada pod kategorię czasopism, interesujących nas w tym wypadku — zbyt mało poświęcają miejsca zagadnieniom współczesnym, które nie są angielskie, obce, lecz europejskie i nasze. W rezultacie, gdy po godzinnej lekturze tygodników angielskich weźmie się do ręki emigracyjne czasopismo odnosi się wrażenie, jakby pisma te wydawane były na innej planecie, jakby między polskim światem emigracyjnym, a Europą zerwane były od miesięcy wszelkie połączenia.

Dlatego poruszam tę sprawę...

Polską emigrację podzielić można na trzy kategorie:

- Kategoria pierwsza, to ludzie "rządzącego" pokolenia.
- Kategorią drugą objęci są emigranci, którzy opuścili Polskę w wieku poniżej lat 24. To "drugie" pokolenie ukończyło studia zagranicą i na obczyźnie rozpoczęło samodzielne życie.
- Ostatnia kategoria to młodzież i dzieci.

Z punktu widzenia naszej polityki narodowej — kategoria druga jest najcenniejsza. To jest materiał gotowy. To jest może nasza pierwsza w dziejach "professional middle-class", co nie odpowiada w pełni kontynentalnemu terminowi "warstwy inteligencji zawodowej". To są ludzie, którzy rozumieją Zachód, którzy mają doskonałą znajomość języka, którzy biorą czynny udział na różnych polach i na różnych szczeblach w rewolucyjnej przebudowie Anglii.

Wykazujemy wielką i pochwały godną czujność i staranie jeżeli chodzi o dzieci i o uczącą się młodzież. Jeżeli jednak chodzi o Polaków "drugiego" pokolenia, nie robimy dosłownie

nic, by ich zatrzymać, by ich przyciągnąć, by ich nie utracić. A najboleśniejże straty ponosimy właśnie na tym odcinku. I jest to całkowicie zrozumiałe. To są ludzie, którzy z "piętem" angielskim związani są studiami, pracą zawodową, karierą, życiem towarzyskim, zainteresowaniami — coś więc dziwnego, że na "piętro" polskie zachodzą rzadko, albo zgoła nigdy.

Gdyby polskie czasopisma (z wyjątkiem może jednej KULTURY) przeprowadziły ankietę odnośnie wieku swoich prenumeratorów, to okazało by się, że procentowo "drugie" pokolenie reprezentowane jest najslabiej. A finansowo jest to kategoria najlepiej sytuowana.

Niewątpliwie wielu inżynierów, lekarzy, techników itp. polskich, pracujących w swych zawodach po całym świecie prenumerują polskie czasopisma jak "Wiadomości" czy "Kulturę". Ale 90% prenumeratorów tej kategorii było już lekarzami, inżynierami, chemikami itp. w niepodległej Polsce i należą nie do "drugiego" lecz do pierwszego pokolenia emigracyjnego.

Dlatego "drugie" pokolenie, materialnie najlepiej sytuowane, procentowo najmniej kupuje i prenumeruje polskie czasopisma?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta: Pisma emigracyjne są redagowane przez ludzi pierwszego pokolenia dla ludzi pierwszego pokolenia. Wyjątki są, ale nieliczne.

Przed kilku tygodniami BBC nadało serię artykułów napisanych i wygłoszonych przez ludzi z różnych sfer i zawodów na temat wpływu kultury amerykańskiej na życie angielskie. Słuchając tych wypowiedzi pomyślałem, że gdyby sądzić na podstawie naszych tygodników emigracyjnych, to wpływ cywilizacji angielskiej w ogóle nas nie osiągnął. Jak wszędzie, tak i tu, są chwalebne wyjątki. Dotyczą one jednak przeważnie spraw teatru i literatury. Na wszystkie inne tematy — głucho. Tymczasem mimo, że tak często i tak chętnie powołujemy się na cywilizację zachodnią — przebywając w ognisku tej cywilizacji patrzymy obojętnie na jej zmagania i nie bierzemy w tym wszystkim żadnego udziału. A przecież to nie są sprawy i problemy ściśle angielskie — to są sprawy Zachodu, sprawy europejskie.

Od szeregu lat Anglia jest widownią jednego z najciekawszych eksperymentów w dziedzinie społeczno-gospodarczej bieżącego stulecia. Jest to model zachodniej rewolucji, którą dokonywuje naród w ramach prawa i parlamentu. Lecz mimo tego (a może właśnie dlatego!), że rewolucja ta odbywa się w ramach prawa i porządku demokratycznego nie brak jej dramatyzmu i swoistego patosu, który towarzyszy zawsze świadomie pobieranym zasadniczym decyzjom. Rewolucja angielska jest procesem reform, które się omawia, analizuje, dyskutuje i krytykuje bez przerwy.

Polacy "drugiego" pokolenia interesują się żywo tymi sprawami, bo to są problemy ich epoki. W rozmowach z przedstawicielami tej grupy emigracyjnej spotykałem się ze zdaniem,

że Polacy "rządzącego" pokolenia przyglądają się demokracji brytyjskiej jak żyrafie w ogrodzie zoologicznym — z daleka i z... niedowierzaniem.

A przecież w ogniu dyskusji jest szereg spraw o znaczeniu ogólnym, które będą równie aktualne kiedyś w Polsce jak dziś są w Anglii. To nie są zagadnienia wyłącznie ekonomiczne. Ów proces obejmuje całość współczesnego konfliktu pomiędzy koncepcją konserwatywno-liberalną, a koncepcją państwa socjalistycznego. Na płaszczyznach tego kardynalnego konfliktu ścierają się poglądy socjalne, gospodarcze, polityczne, etyczne, filozoficzne a nawet historyczne.

Jeżeli p. Zygmunt Nowakowski (który zwykł przemawiać skromnie w imieniu nas wszystkich) zapewnia, że demokracja brytyjska wcale nas nie pociąga i w sumie nic nas to wszystko nie obchodzi — jest to prawdziwa opinia, jeżeli przez owo majestatyczne "my" rozumieć Polaków "rządzącego" pokolenia. Jest natomiast opinia całkowicie fałszywa, jeżeli chodzi o Polaków drugiego pokolenia.

W czasopiśmie polskich pojawia się od czasu do czasu fraza o "cywilizacji zachodniej". Polscy autorzy zaczynają nieodmiennie od Via Appia albo zgoła od Nike samotrackiej. Do literackiego ceremoniału należy również powołać się na "głęboki podkład kultury łacińskiej".

Jestem z wielkim uwielbieniem dla kultury klasycznej i sam zdążyłem jeszcze ukończyć niezreformowane klasyczne gimnazjum. Lecz cywilizacja zachodnia nie jest — jakby to można było wnioskować z artykułów w czasopiśmie polskich — cywilizacją wygasłą. Przeciwnie jest cywilizacją żywą i w rozwoju. Jest rzeczą zdumiewającą jak mało uwagi, zainteresowania i miejsca poświęcają pisma polskie problemom współczesnej cywilizacji zachodniej. A dzieją się rzeczy niezwykle — ukazują się książki zdumiewające.

Najlepiej przedstawia się nasz kontakt z współczesną literaturą piękną i z teatrem. Ale na tym koniec. Współczesna literatura naukowa, filozoficzna, historyczna — zagadnienia, które na łamach czasopism angielskich wywołują tygodniami ciągnące się dyskusje — nas nic nie obchodzą. My jesteśmy z innej parafii i nie mamy powodu tym się przejmować.

Różnice pomiędzy pokoleniem "rządzącym", a pokoleniem "drugim" są olbrzymie. Polacy "rządzącego" pokolenia są niemal wszyscy w pewnym sensie i w pewnym stopniu "literatami". Zaczawszy od gen. Sławoj-Składkowskiego (który piśmo było dobrą, jędrną polszczyzną), a skończywszy na bardzo liczonym literackim parnasie, który opanowany jest niemal w całości przez członków klanu.

Mam głębokie przekonanie, że dla tego pokolenia wielka literatura narodowa jest czymś innym — niż dla nas, którzy ukończyliśmy szkoły już w Polsce niepodległej. Wielkie wrażenie wywarł na mnie testament Piłsudskiego. Jakiż intymny musiał być jego stosunek do poezji Słowackiego, do jakiego stopnia poezja ta

była upostaciowaniem jego własnych najgłębszych umiłowañ, gdy na kilka dni przed śmiercią kreślił swój testament i pisał z pamięci "motto wybrane dla życia": "Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu..." Z tego jakże literackiego testamentu bije absolutna szczerość i autentyzm, którego jednak nikt nie mógłby ani skopiować, ani naśladować bez wywołania efektu pozy. Jedno jest pewne — dla Piłsudskiego i wielu z jego pokolenia, Słowacki nie był postacią z tzw. Historii Literatury — lecz poetą żywym i aktualnym, którego poezję nie tylko wielbiono, ale i wyznawano. Dla tych ludzi literatura narodowa stanowi integralną część składową niepodległościowego Ordre de Bataille. Jest to piękny rys charakterystyczny.

Byłoby jednak błędem sądzić, że pokolenie "rządzące" tak literackie i wrażliwe na piękno polskiego słowa — jest pokoleniem humanistycznym. Cechą humanizmu nie jest ani "literackość", ani zamiłowania klasyczno-historyczne. Istotną cechą i sprawdzianem kultury humanistycznej jest liberalizm i tolerancja. Do "rządzącego" pokolenia przynależy wielu bardzo wybitnych humanistów stanowią oni jednak w tej grupie zdecydowaną mniejszość.

"Drugie" pokolenie nie jest literackie. Są to ludzie przeważnie o wykształceniu technicznym, interesujący się aktualnymi zagadnieniami naszej epoki.

W Anglii niezmiennie wysoko stoi trudna sztuka mówienia i pisania o zagadnieniach naukowych w sposób przystępny i zrozumiały. Na łamach tygodników angielskich pisują znakomici uczeni i specjaliści — laureaci Nagrody Nobla i luminarze "Royal Society". Problemy zasadnicze współczesnych kierunków filozoficznych, wyniki badań z zakresu nauk przyrodniczych i ich wpływ na światopogląd, zagadnienia związane z tzw. "naukowym humanizmem" — stanowią gamę problemów, którymi interesuje się "inteligent" angielski o czym najlepiej świadczą kolumny listów do redakcji, drukowanych na łamach np. "The Listener". To jest zrozumiałe, jeżeli sobie uprzytomnimy, że dla Brytyjczyka cywilizacja zachodnia, to w pierwszym rzędzie doświadczenie, nieustanne empiryczne badanie, które jest dynamem postępu.

Otóż "drugie" pokolenie Polaków na emigracji wyniosło ze szkół i uniwersytetów angielskich podobne zamiłowania i zainteresowania.

W czasopiśmie polskich nikt tych zagadnień ani nie porusza, ani się nimi nie interesuje. Jeżeli jednak trafi się taki śmiałek, to natychmiast zostanie skarcony i pouczony. I tak np. na łamach "Wiadomości" p. Schoenfeld poruszył kilka zagadnień związanych z fizyką i filozofią. Lecz natychmiast pojawił się list do redaktora płk. dypl. Felsztyna, który zgromił p. Schoenfelda i przypomniał mu, że: "głęboki podkład kultury łacińskiej w umysłach i w sercach uchronił ich (tj. Polaków) od tych chorobliwych wynaturzeń, jakimi na zdrowym pniu kultury zachodniej był materializm i determinizm".

U nas nie można dyskutować na temat zagadnień filozoficznych, bo każda dyskusja musi utonąć w "smrodku dydaktycznym". Rację będzie miał zawsze ten, kto powoła się na "kulturę łacińską", na "wiarę przodków", na wartości, których nie należy szargać itd. (Nota bene, dlaczego zachodni materializm i determinizm nie mają mieć prawa "do podkładu kultury łacińskiej" jest tajemnicą prywatną płk. Felsztyna).

Powierzchni obserwatorzy mogliby sądzić (i zapewne sądzą), że przyczyną, która warunkuje tego rodzaju atmosferę jest polski katolicyzm. Wydaje mi się, że tak jednak nie jest. Najciekawsze artykuły filozoficzne, jakie czytałem w polskiej prasie emigracyjnej, ukazały się na łamach "Kultury" i wyszły spod pióra O. Bocheńskiego. Ale "Orzeł Biały" uważał za stosowne pouczać na temat "prawomyślności" również i O. Bocheńskiego.

Przyczyną nie jest katolicyzm. Przyczyną jest nasze rodzime parafianstwo i wprost straszliwa nietolerancja.

W swej polemice z p. Schoenfeldem płk. Felsztyn cytuje jako odkropkowane horrendum, że na pytanie czym jest życie prof. Schrödinger znajduje odpowiedź w... buddyźmie.

Pasjonujące studium prof. Schrödingera pt. "What is Life?" składa się z dwóch części. Pierwsza nosi tytuł: "Aspekt fizyczny (fizyczny) żywej komórki" — epilog zaś, który zajmuje cztery strony, zatytułowany jest: "O determinizmie i wolnej woli". Autor zastrzegł się w pierwszym zdaniu epilogu, że o ile czysto naukową część swego studium starał się przedstawić "sine ira et studio", o tyle epilog jest jego subiektywnym poglądem.

Istotnie, jego myśli wyrażone w epilogu (choć im daleko do buddyzmu), są bliższe induskiej myśli filozoficznej niż jakiegokolwiek z filozoficznych szkół Zachodu. Lecz cóż stąd? Argumentacja prof. Schrödingera, choć osobiście nie trafia mi do przekonania — jest niezmiernie ciekawa i niezmiernie warta przeczytania. Ale któż by zaryzykował omówienie na łamach polskich czasopism książek prof. Schrödingera? A jednak to są książki pod każdym względem wybitne i stanowią swojego rodzaju wydarzenie intelektualne. Profesor Schrödinger jest światowej sławy odkrywcą i uczonym. Mógł o jego książkach przeznaczonych dla szerszej publiczności pisać J. Bronowski na łamach "The Observer" — ale u nas każdemu, kto by zaryzykował dziesięć obiektywnych zdań na ten temat, zwałiby się natychmiast na głowę "dydaktyczny smrodek".

W swej książce pt. "Science and Humanism" Schrödinger stwierdza, że uważa naukę za element składowy ludzkich usiłowań znalezienia odpowiedzi na kardynalne pytanie, które wszystko w sobie zawiera: czym jesteśmy? Kim i czym jest Człowiek?

Płk. Felsztyn uważa za stosowne pouczać Schrödingera (który w r. 1935 otrzymał Nagrodę Nobla za swe odkrycia w fizyce), na temat tego czym jest fizyka i czym właściwie ta ga-

łąż wiedzy powinna się zajmować. W każdym razie nie filozofią. Płk. Felsztyn zapomina, że nauki przyrodnicze wywierają bezpośredni wpływ na filozofię (bez względu na to czy się to komuś podoba, czy nie) i jeżeli dziś Bertrand Russell stwierdza, że pogląd materialistyczny jest dłużej nie do utrzymania, to jest to bezpośrednią konsekwencją ostatnich odkryć i badań fizyków.

Lecz nas nie interesuje treść i istota danego poglądu, ani proces myślowy, który go poprzedził. Dla naszych cenzorów ważne jest jedynie czy dany pogląd harmonizuje z konformizmem "ustalonych wartości", "rządzącego" pokolenia — czy też nie. Jeżeli nie — obojętne czy autorem jest wybitny filozof O. Bocheński, czy wybitny fizyk prof. Schrödinger — obaj zostaną potępieni.

Dla "rządzącego" pokolenia tolerancja jest synonimem chwiejności przekonań. Wskutek tego ci panowie z nikim nie dyskutują — oni tylko pouczają i wyrokuje.

Polacy "drugiego" pokolenia są ulepiani z nieco innej "duchowej" gliny. Dla nich cywilizacja zachodnia ma może nie wiele wspólnego z Via Appia, ale też nie jest cywilizacją wygasłą, o której mówi się z patosem jako o dostojnych ruinach. Dla nich cywilizacja zachodnia jest procesem współczesnym, w toku, w przebudowie. Z uczelni brytyjskich pokolenie to wyniosło zaufanie do metody empirycznej i liberalizmu, który jest kamieniem węgielnym demokracji, swobodnego badania naukowego i... wszelkiej dyskusji.

Otóż w sumie nie wiem czy nie należało by w pewnej mierze zreformować naszych czasopism — dziś niemal wyłącznie redagowanych pod kątem widzenia "rządzącego" pokolenia — w celu zdobycia większej ilości czytelników wśród "drugiego" pokolenia.

Operację taką winno się podjąć jako akt polityki kulturalnej z dwóch przyczyn: po pierwsze — by wzmocnić wpływ polskiego słowa drukowanego w odniesieniu do grupy najcenniejszej, a najbardziej zagrożonej i po drugie — by zapewnić czasopismom polskim maksymalnie osiągalną ilość prenumeratorów i czytelników.

W praktyce, problem sprowadza się do pytania: co należy zrobić, by — powiedzmy dla przykładu, polscy architekci pracujący w "Ministry of Works" lub w "London County Council" prenumerowali polskie czasopisma? Faktem jest bowiem, że w przeraźliwie wysokim procencie (w wielu wypadkach zbliżonym do 100%), Polacy "drugiego" pokolenia w ogóle nie prenumerują polskich czasopism.

Sprawa nie jest łatwa i w najlepszym razie może być rozwiązana tylko częściowo. Wydaje mi się jednak, że zagadnienie jest tak ważne, iż warto zastanowić się nad choćby częściowym polepszeniem obecnego stanu.

Kronika angielska

SPRAWY POLSKO-AMERYKAŃSKIE WIDZIANE Z LONDYNU

1.

Dwie sprawy Tadeusza Wyrwy

Istnieją dwie sprawy związane z nazwiskiem Tadeusza Wyrwy. Pierwsza właściwa, oraz druga, wtórna, wywołana kampanią publicystyczną.

Rozważmy w pierw sprawę nr 1. Właściwy "case" Wyrwy rozpatrywany być musi na tle amerykańskim. Ta sama sprawa wyglądałaby bowiem zupełnie inaczej, gdyby rozgrywała się w Anglii czy we Francji. P. K. Hrabyk w swojej interpelacji zgłoszonej w Radzie Narodowej przedstawia całe zagadnienie w świetle "kontynentalnym" i całkowicie przemilcza amerykańską stronę zagadnienia.

Zacznijmy od strony formalnej. Jeżeli T. Wyrwa — jak należy wnioskować z doniesień prasowych — przybył do St. Zjednoczonych na wizę emigracyjną, względnie otrzymał stałe prawo pobytu — w takim wypadku, jest on w zrozumieniu ustawodawstwa i tradycji amerykańskiej osiedleńcem i przyszłym obywatelem, a nie uchodzącą politycznym, szukającym czasowego schronienia.

Jak wiadomo, nie ma "American nation" jest tylko "American people", który składa się z imigrantów w pierwszym, drugim, trzecim i czwartym pokoleniu. Proces ten trwa i St. Zjednoczone co roku wchłaniają setki tysięcy nowych imigrantów.

Można być Amerykaninem duńskiego, angielskiego czy polskiego pochodzenia — nie można być natomiast Brytyjczykiem polskiego pochodzenia. Można być tylko naturalizowanym obywatelem brytyjskim, byłym polskim obywatelem — (naturalized British subject, formerly Polish). To nie są różnice... retoryczne ale merytoryczne. To są różnice związane z powstaniem i z historią St. Zjednoczonych. W związku z tą tradycją uchwalono ustawę przeciwko której Wyrwa demonstruje. Amerykanie wychodzą bowiem z założenia, że jeżeli ktoś osiedla się w St. Zjednoczonych i korzysta z wolności i demokracji amerykańskiej — jest rzeczą słuszną i logiczną, by gotów był bronić tej wolności z której dobrodziejstw korzysta. Autorzy tej ustawy byli przekonani i mieli pełne po temu tytuły, że objęci tą ustawą imigranci siebie samych uważają za przyszłych obywateli St. Zjednoczonych, zgodnie z duchem i tradycją amerykańską.

Na tym tle konflikt Wyrwy wygląda nieco inaczej. Wyrwa, swoim protestem, domaga się by go traktowano nie za imigranta, lecz za uchodźcę politycznego, który w Ameryce szuka chwilowego schronienia. Nie zmienia to jednak faktu, że Wyrwa w chwili obecnej jest osiedleńcem i jako imigrant nie zastosował się do ustawy przypisując sobie statut polityczny, którego nie posiada. Oczywiście w niczym nie pomniejsza to praw Wyrwy do indywidualnego protestu. Jeżeli nie jest uchodźcą politycznym, jest w prawie domagać się, by mu taki charakter przyznano. To jest jego osobista sprawa.

Biorąc to wszystko pod uwagę należy zadać pytanie, czy protest Wyrwy jest politycznie celowy? Czy służy naszej sprawie za oceanem — czy też, przeciwnie, przysporzy nam więcej niechęci niż sympatii.

Zasadniczo należy przyjąć za regułę, że protest i dramatyczny gest jednostki skierowany przeciw władzy, by "porywał" opinię musi być w swej treści bezwzględnie słuszny i jasny. Otóż osobiście wątpię czy dla opinii amerykańskiej argumentacja Wyrwy jest prosta i zrozumiała. Amerykaninowi, nawet polskiego pochodzenia, którego syn czy brat służy w wojsku — a może walczy na Korei — trudno będzie zrozumieć, że Wyrwa, który korzysta z wolności i bezpieczeństwa amery-

kańskiego, odmawia udziału w obronie tych wartości. Przeciwny Amerykanin pomyśli, że przecież Wyrwa przyjechał do Ameryki szukając wolności i bezpieczeństwa, a dziś odmawia udziału w obronie St. Zjednoczonych, zrzekając się wzamian prawa do obywatelstwa.

Zagadnienia te mają zupełnie inną treść i znaczenie w Ameryce, a inną w Europie. Rozpatrywanie sprawy Wyrwy w oparciu o kategorie prawne i zwyczaje europejskie, w oderwaniu od specyficznego tła amerykańskiego — jest zwykłą demagogią. Gdyby Anglicy lub Francuzi powołali któregoś dnia Polaków do swych armii narodowych, byłoby to zupełnie co innego i fakt taki nie stanowiłby żadnej analogii dla sprawy Wyrwy.

2.

"Histeria w polityce"

Pod takim tytułem p. K. Hrabyk ogłosił w detroickim "Dzienniku Polskim" dwa artykuły, które stanowić mają odpowiedź na mój artykuł pt. "O reformę Zakonu Polskości".

Przed wszystkim pragnę podkreślić, że zawsze bardzo sobie to cenię, jeżeli ktoś, w poruszanych przez "Kulturę" sprawach podejmuje dyskusję. W polskiej prasie emigracyjnej dyskusji prawie nie ma. Zarzut ten dotyczy w pierwszym rzędzie prasy pro-rządowej, która głosy krytyki zbywa milczeniem, utwierdzając w opinii ogółu przekonanie, że z jednej strony nie dysponuje rzeczowymi kontrargumentami, z drugiej zaś, że całkowicie lekceważy poglądy ludzi, którzy nie należą do chóru "yes-menów".

Polemika może być dowcipna a nawet zjadliwa. Jednak używanie określeń obraźliwych — jak czyni to p. Hrabyk — nie zastępuje dowcipu, nie wzmacnia argumentacji — obniża natomiast poziom dyskusji.

Jeżeli odrzucimy rzeczy nie istotne, argumenty p. Hrabyka można streścić następująco: Nie ma żadnych "żałamań" czy "przemian" w narodzie polskim. Owe "przemiany" to była tylko chwilowa reakcja po klęsce wrześniowej z której naród dawno się otrząsnął. P. Hrabyk uważa, że po 13 latach nie ma powodu wracać do tego tematu. Oto treść pierwszego zarzutu.

Teza mojego oponenta wydaje mi się wręcz absurdalna. Osobiście jestem do głębi przekonany, że naród polski na przestrzeni ostatnich stu lat nie uległ tak gwałtownym przemianom, jak w ostatnich 13 latach. Wydaje mi się również, że tu, na emigracji, łatwiej jest popełnić błąd nie doceniając przemian w Kraju, niż odwrotnie, przecenić ich wymiar i zasięg. W podkreślaniu tych przemian naprawdę trudno jest przesadzić. Rewolucja narzucona jest także rewolucja, a nie makieta, jak wielu panom zagranicą się wydaje. Pomijając fakt, że dawna, przodująca warstwa inteligencji, która stanowiła o stylu naszego życia narodowego, została zlikwidowana w Oświęcimiu, Katyniu, łagrach i na frontach wojennych, pomijając fakt, że w chwili obecnej zbliża się do pełnoletniości pokolenie wychowane w komunistycznym ustroju — to przecież gigantyczne przewarstwienie, spowodowane wydobyciem na wierzch i uprzywilejowaniem młodzieży pochodzenia robotniczego i wiejskiego w naturalnej konsekwencji przynieść musiało olbrzymie zmiany w psychicznym profilu narodu.

Jestem również przekonany, że pogląd polityczny wyznawany przez p. Hrabyka, pogląd, który w pełni szanuje, choć nie w pełni podzielam — na skutek owych przemian nie ma dziś w Polsce żadnego oparcia i wyznawany jest przez znikomą część zepchniętego, wymierającego pokolenia. A jeszcze 13 lat temu pogląd ten był doktryną rządzącego obozu i fundamentem naszej polityki.

To tylko my otrząśnaliśmy się po tych 13 latach, ale nie Kraj. To tylko my, żyjąc w konserwowym słoiku emigracji, nie podlegamy przemianom i wydaje się nam, że kiedyś wystarczy podpalić bierutową makieta, by wyłoniła się ku nam Polska z 1939 r.

Jeżeli ktoś nie wyczuwa tych przemian, jeżeli ktoś nie ma świadomości

mości, że cały naród polski znalazł się w pośrodku głębokiego kryzysu historycznego — to jest to tylko dowód, że po tych 13 latach niektórzy z nas przestali w ogóle rozumieć co dzieje się w Kraju.

Drugi zarzut p. Hrabyka sprowadza się do następującego punktu: "Mieroszewski głosząc" — cytuję dosłownie — "słuszną, choć nie swoją wyłącznie ideę, rozwija równocześnie kampanię przeciw obozowi pilsudczyków, legalizmowi, rządowi polskiemu na emigracji, Radzie Narodowej, a więc akurat tym czynnikom, które do akcji na rzecz federacji należało by włączyć, a nie od niej odsuwać".

Można by z powyższego wnioskować, że pilsudczycy, rząd i Rada Narodowa — to fanatyczni zwolennicy federacji, których zespół "Kultury" zazdrośnie odsuwa od wszelkiej akcji federacyjnej. Niestety tak nie jest. Nie tylko tych "czynników" od polityki federacyjnej nie odsuwamy, lecz wręcz przeciwnie od przeszło dwóch lat staramy się nakłonić nasze władze do podjęcia kroków zmierzających do przygotowania przyszłej federacji.

P. Hrabyk słusznie zauważa, że właśnie te czynniki do akcji na rzecz federacji należało by włączyć. Szkoda tylko, że p. Hrabyk nie powiada jak to zrobić?

Czytałem uważnie ostatnie exposé naszego ministra spraw zagranicznych. Było w tym dokumencie bardzo wiele o gen. Franco, o jego świętych ministrach, ale o federacji — nic. Nie czynię zresztą bezpośredniego zarzutu obecnemu rządowi z faktu, że nie wykazuje inicjatywy federacyjnej. Inicjatywę tego rodzaju mógłby podjąć jedynie rząd prawdziwie reprezentatywny, a nie rząd oparty o jedno ugrupowanie polityczne. Gdyby nasz rząd pragnął istotnie podjąć inicjatywę federacyjną, musiałby zacząć od... sfederalizowania polskich stronnictw, by zyskać poparcie większości niepodległościowych ugrupowań politycznych.

P. Hrabyk poświęcił polemice z artykułem "Kultury" dwa artykuły w detroickim "Dzienniku Polskim". Mimo to, pominął jednak milczeniem główną tezę mojego artykułu. Na temat sprawy niemieckiej wołał nie zabierać głosu. Nie umiał odpowiedzieć na pytanie dlaczego nasza oficjalna polityka przygląda się biernie machinacjom niemieckim, zmierzającym do wyizolowania nas i odcięcia od sprzymierzeńców i partnerów federacyjnych? A takie pytania i wątpliwości nurtują w głowach nie tylko "zhisteryzowanych pisarzy, poetów i malarzy", ale tych wszystkich, którzy po tych 13 latach nie zdołali się otrząsnąć i — myśleć.

3.

"Głos Wolnej Polski"

Przed pół rokiem Zjazd Dziennikarzy R.P. w Londynie postanowił zwrócić się do Komitetu Free Europe z żądaniem, by audycje polskich z Monachium nie nadawano pod nazwą "Głos Wolnej Polski". Żądanie Związku Dziennikarzy zostało poparte przez rząd, Radę Polityczną i przez prasę emigracyjną wszystkich odcieni.

Pomijając względy natury zasadniczej byłoby niewątpliwie lepiej, gdyby polska radiostacja monachijska działała pod nazwą bardziej neutralną. Mogłaby się np. nazywać stacją im. Pułaskiego, dla zaakcentowania idei współpracy polsko-amerykańskiej. W czasie ub. wojny było zbyt wiele owych "wolnych" stacji radiowych i "wolnych" komitetów z moskiewskim "Freies Deutschland" na czele. Polscy komuniści wykazali duże wyczucie polityczne przyjmując nazwę "Komitetu Patriotów", a nie "Wolnych Polaków".

Jeśli chodzi o Amerykanów, nie dopatruję się złej woli w ich uporze w tej sprawie. Od czasów wojny, termin angielski "free" został przyjęty jako termin techniczny na oznaczenie sojuszników wojsk, instytucji itp., przebywających poza granicami swych okupowanych krajów. Termin ten jest nadal w użyciu. W handlowej i oficjalnej kores-

pondencji, piszący te słowa bywa określany jako "London Correspondent of Free Polish Review 'Kultura'". — Określenie "Free" ma na celu podkreślenie, że nie chodzi tu o pismo polskie wydawane w Paryżu przez reżim warszawski, lecz o polskie pismo emigracyjne. Tak więc, dla Amerykanina czy Anglika termin "Free Poland" nie oznacza Polski wolnej i suwerennej, lecz wyłącznie Polskę antykomunistyczną. Z chwilą, gdy odzyskamy wolność przestaniemy być "Free" i będziemy tylko "Poland", bez żadnych dodatków. W tym świetle nie może być mowy o tym, by Amerykanie chcieli się podszycić pod nazwę "Wolnej Polski", czy usurpować sobie prawa do przemawiania w imieniu narodu polskiego.

W dn. 3 maja przemawiali przed mikrofonami nowej stacji polskiej Admirał H.B. Miller, prezydent Komitetu Wolnej Europy, dyr. Jan Nowak, gen. Anders, T. Arciszewski i amb. E. Raczyński.

Admirał Miller powiedział m.in.: "Chcemy widzieć w przyszłości Polskę wolną, złączoną z innymi narodami europejskimi w Związku Federacyjnym. Zdajemy sobie w pełni sprawę, że Ameryka nigdy nie będzie bezpieczna bez silnej i zjednoczonej Europy.

Nie może być jednak żadnej jedności europejskiej i nie może dojść do powstania jakiegokolwiek zdrowej konstrukcji politycznej i gospodarczej na kontynencie europejskim, dopóki wschodnia połowa Europy odcięta będzie od całości. Europa rozdarta na dwie części nie osiągnie nigdy dobrobytu i siły, która mogłaby ją zabezpieczyć przed napaścią".

A dyrektor Polskiej Sekcji kpt. Nowak tak sformułował wytyczne polityki w stosunku do Kraju: "Mówi Wam wraza propaganda, że pchamy Was do czynnego oporu, do organizowania się w podziemiu, do wystąpień zbrojnych. Fałsz! Wiemy równie dobrze jak i Wy, że chwila obecna wymaga od narodu największego spokoju i opanowania, a wszelkie nierozważne odruchy przyniosą tylko korzyść tylko samej Rosji Sowieckiej i niejednokrotnie są rozmyślnie prowokowane przez jej agentów. Rosja chce z was wyłuskać wszystko co twarde i nieugięte, by zamienić Naród Polski w plastelinę, która pozwoli się urobić w rosyjskich łapach na bolszewicką modłę. Nie wolno jej tego ułatwiać."

Oto są głosy ludzi, którzy decydują o polityce nowej stacji polskiej. Przemówienia gen. Andersa i innych mówców nacechowane były podobną troską i rozważą.

Z łamów detroickiego "Dziennika Polskiego" (z 1.III. i z 3.V. br.) przemówił do narodu Zygmunt Nowakowski. Oto co powiedział: "I ten rzekomo polski oddział radiostacji 'Free Europe' aspiruje do nazwy 'Free Poland', a otwarty ma być, chyba na sztych, w dniu 3 maja".

Z dalszych wynurzeń p. Z. Nowakowskiego dowiadujemy się interesujących szczegółów o zamierzonej kampanii rządowej. "... jeżeli by przypadkiem pomysł przybrania maski 'Wolna Polska' urzeczywistnił się — rządowi polskiemu nie pozostanie nic innego, jak tylko zdemontować ten fałsz za pośrednictwem radia madryckiego".

Ponieważ ów pomysł istotnie urzeczywistnił się, przewidywać należy że ze stolicy generalissimusa Franco walczyć będziemy na falach eteru przeciwko Amerykanom. Byłoby to istotnie budujące słuchowisko! Nie trudno również przewidzieć co by powiedziano w tym madryckim komunikacie zwłaszcza, gdyby wykonanie tej audycji powierzono projektodawcy. Cytowany artykuł w detroickim "Dzienniku Polskim" p. Z. Nowakowski zakończył następującą opinią: "Wolna Europa zastąpić ma radiostacją 'Free Europe' — której zadaniem będzie nie drażnić ani Rosji ani Niemców".

Oczywiście wiadomo, że jedynym celem "Free Europe" jest drażnić tylko p. Zygmunta Nowakowskiego. (N.B. jakie wdzięczne pole dla studium pt. "Histeria w Polityce" znalazłby p. Klaudiusz Hrabyk na niwie swego własnego obozu politycznego, gdyby zechciał poświęcić nieco uwagi publicystyce swych kolegów z Rady Narodowej).

4.

Współpraca polityczna z obcymi

Jedno przyjąć można za pewne. Gdyby Polacy przed 1918 r. w służbach rosyjskiej, austriackiej i niemieckiej uważali się wzajemnie za agentów a w każdej akcji politycznej wietrzyli inspirację swoich wrogich wywiadów — nie byłibyśmy zdobyli niepodległości.

Wydaje się, że w krótkim okresie niepodległości państwowej utraciliśmy wiele cech narodu "podziemnego" a przede wszystkim utraciliśmy zdolność wykorzystywania każdej sprzyjającej koniunktury politycznej dla naszych celów.

Jeżeli dany pociąg idzie we właściwym kierunku należy go obsadzić Polakami i jechać mimo, że nie Polak jest maszynistą. Jeżeli pociąg zmieni kierunek zawsze będzie czas z niego wyskoczyć. Ludzie w naszej sytuacji nie mają możliwości podróżowania w inny sposób. Nie mamy własnych pociągów i jak długo będziemy na obczyźnie mieć ich nie będziemy. Nie jest rzeczą istotną czy maszynistą jest Polak, Anglik czy Amerykanin — istotny jest tylko kierunek ruchu pociągu.

Tak rozmawialiśmy przed pierwszą wojną światową i było to rozumowanie słuszne. Obecnie przywiązujemy zbyt wielką wagę do momentów formalnych i prestiżowych.

Oświadczenie naszego rządu na temat współpracy obywateli polskich z cudzoziemskimi instytucjami politycznymi — w ogólnym zarysie sformułowane jest logicznie i wskazania, które przynosi, są słuszne. Nie można tego jednak powiedzieć o komentarzach prasy pro-rządowej. "Orzeł Biały" z emfazą przekonuje swych czytelników, że audycje polskie (z Monachium) są imprezami amerykańskimi a nie polskimi.

Jeżeli kiedyś powstanie armia polska na Zachodzie — to jej całkowite wyposażenie, łącznie z pensjami dowódców, będzie również "imprezą amerykańską". Byłby czas by nasi politycy zechcieli zrozumieć, że zwycięstwo nad Rosją i uwolnienie Polski jest osiągalne jedynie w formie "imprezy amerykańskiej". I w tej imprezie powinniśmy brać jak najczynniejszy udział — mimo, że Amerykanie nie uznają naszego rządu i mimo, że zdecydowali się nazwać polską stację w analogii do wcześniej przyjętych nazw radiostacji czechosłowackiej i węgierskiej.

Cytowane oświadczenie rządu nie nasuwa wątpliwości w punktach dotyczących obowiązków obywateli polskich współpracujących z instytucjami cudzoziemskimi. Nie jest natomiast jasne gdy mówi o grupach politycznych, którym obce czynniki umożliwiają działalność. Rząd stoi na stanowisku, że jest rzeczą niedopuszczalną korzystanie z takiej pomocy.

Generalizowanie w tych sprawach musi nieuchronnie prowadzić do nieporozumień. Weźmy dla przykładu PPS. Nic nas nie łączy z tą partią i nie znamy jej finansów a bierzemy ją za przykład tylko dlatego, że socjalizm jest ruchem międzynarodowym. Jeżeli PPS na wygnaniu korzysta z pomocy partii socjalistycznych na Zachodzie byłoby to jedynie naturalnym przejawem międzynarodowej solidarności cechującej ten ruch i w niczym nie uszczuplało by — w naszej opinii — praw PPS do reprezentowania polskiego socjalizmu na obczyźnie. Tymczasem w myśl pierwszego punktu oświadczenia rządowego tego rodzaju pomoc jest niedopuszczalna.

Podobnych niejasności można by przytoczyć więcej. Wniosek z tego jest tylko jeden. Żyjemy w całkowicie nienormalnych warunkach i jest rzeczą zupełnie wykluczoną przewidzieć wszystkie warianty skomplikowanych sytuacji z jakimi spotykają się Polacy na obczyźnie. Emigracja polityczna jest dlatego trudną "imprezą", że emigranci, w większym zakresie niż zwyczajni obywatele, muszą sami decydować i odpowiadać za akcje, które składają się na całość naszego niepodległościowego wysiłku.

Londyńczyk.

List z Niemiec

(czyli duch Rapallo we wschodnim Berlinie)

Panowie: Wilhelm Pieck, prezydent i Anton Ackermann, wice-minister spraw zagranicznych "Niemieckiej Republiki Demokratycznej" (tj. sowieckiej) wystąpili ostatnio w roli historyków i w trzydziestą rocznicę układów rapallowskich cytowali z zachwytem wyjątki z książki dr Josepha Wirtha^{*)}. Dla przypomnienia: p. Ackermann kandyduje podobno na stanowisko ministra spraw zagranicznych w Berlinie wschodnim, które dotychczas jeszcze zajmuje p. Dertinger. Zaś dr Wirth, ten sam, który niedawno jeździł na rozmowy do wschodniego Berlina, był kanclerzem Rzeszy w okresie, gdy zawierała ona w Rapallo słynną umowę ze Związkiem Sowieckim i gdy ministrem Spraw Zagranicznych w Berlinie był Walther Rathenau, a komisarzem tychże spraw w Moskwie Cziczerin. Wówczas to, po nieudanej konferencji, w sprawie odszkodowań wojennych w Genui (z udziałem dwudziestu i kilku państw), doszło do zawarcia umowy niemiecko-rosyjskiej, którą jeden z wybitnych publicystów niemieckich określił niedawno jako "zdradę wolności Zachodu", a którą w Warszawie rozumiano wówczas jako próbę okrażenia i izolowania Polski. Proszę znów przewrócić kartki historii o lat trzydzieści.

Przypomniat mi się starowina, przygodny towarzysz podróży, któremu chciałem ofiarować gazety. "Nie, dziękuję" — odpowiedział — "już kiedyś czytałem". "Ależ to dzisiejsze" — mówię. Staruszek spojrzał na mnie ironicznie i powiedział: "Ee, przecież to zawsze to samo..." To samo i nie to samo. Ale kiedy się jedzie starą i błotnistą drogą, koła zapadają same w stare koleiny. Nie, wystarczy zmiana koni i woźnicy. Trzeba zbudować nową drogę, albo się ugrzęźnie.

Dialog między Wschodem i Zachodem w sprawie Niemiec — "państwa środka" — odbywa się jednocześnie jakby w dwóch wymiarach. Moskwa wabi obrazami z magicznej latarni, ukazującymi zjednoczone, "suwerenne" i szczęśliwe Niemcy, zneutralizowane wprawdzie, ale niemniej połączone "dobrowolnymi" więzami przyjaźni z "ojczyzną zwycięskiego socjalizmu", tak jak przed trzydziestu laty. Ale jednocześnie "Niemiecką Republikę Demokratyczną" coraz bardziej wsysa wielki miech sowiecki, "policja ludowa" przeistacza się w "niemiecką armię narodową", i tylko patrzeć jak otrzyma w prezencie jakiegoś niemieckiego Rokossowskiego. Syrenie noty sowieckie zmuszają Zachód do bardzo skomplikowanego tańca dyplomatycznego, opartego na dwóch podstawowych motywach: zjednoczone Niemcy, oczywiście, w przyszłości — ale tymczasem, jak naj-

*) Dr Joseph Wirth: Reden während der Kanzlerschaft. Berlin, 1925.

szybciej, włączenie Republiki Związkowej do systemu atlantyckiego. Nad tym wszystkim, niby jabłko na patyku, postawionym na nosie rozpaczliwie balansującego chłopaka — Berlin wschodnio-zachodni, miasto przedziwne, nierealne, ludzace.

Oddajemy głos p. Pieckowi, w charakterze historyka: "Ludzie ci (tj. rząd ZSSR w 1922 r.) byli... przedstawicielami mocarstwa sowieckiego, którego politykę zagraniczną określiło nieodwracalnie leninowsko-stalinowskie uznanie prawa wszystkich ludów do samostanowienia narodowego i do niezawisłości. Związek Sowiecki odrzucił Traktat Wersalski, jako pokój oparty na grabieży. Pragnął pokoju i przyjaźni z wolnym i niepodległym niemieckim narodem. Jednym z najważniejszych historycznych dowodów na to jest układ w Rapallo. Dzięki niemu Niemcy, po raz pierwszy od czasu zakończenia pierwszej wojny światowej, zostały uznane przez wielkie mocarstwa za równouprawnionego partnera. Międzynarodowe odosobnienie Niemiec, które w Genewie tak silnie wystąpiło na jaw, zostało przez rząd sowiecki przerwane..." I przestrzegając przed "niezmierną katastrofą narodową", jaka grozi Niemcom w razie przyjscia do skutku "propagowanego przez Adenauera, Blüchera i prawicowych przywódców SPD, włączenia do świata zachodniego", przeciwstawia p. Pieck tym zamiarom propozycje sowieckie, które "wyrósły z tego samego ducha, z tej samej zasadniczej postawy sowieckiej polityki zagranicznej, która dała narodowi niemieckiemu układ rapallowski". Jeszcze jedno. P. Pieck przypomina, że przed trzydziestu laty dwie były siły, które w Niemczech opowiadały się stanowczo za ścisłym porozumieniem z Sowietami: partia komunistyczna i... sfery gospodarcze. Oczywiście, to przypomnienie było na czasie w związku z moskiewską, konferencją gospodarczą.

Podobnie p. Ackermann:

"Ale i niemieckie sfery gospodarcze opowiedziały się za rozsądnym uregulowaniem stosunków niemiecko-sowieckich, gdyż zwietrzyły któredyś zając bieży". ... "Układ zawarty w Rapallo przedstawiał wielkie korzyści dla obu układających się stron. Niemcy polepszały swe pozycje polityczne i gospodarcze przez oparcie się o Rosję Sowiecką, która już w owym czasie stała się ważnym czynnikiem polityki międzynarodowej. Rosja Sowiecka przerwała, przy pomocy układu w Rapallo, jednolity front państw kapitalistycznych..." Późniejsza stresemanowska polityka porozumienia z Zachodem i układy lokarneńskie z 1925 r. — to "droga do narodowego nieszczęścia" (to, rzecz jasna, aluzja do Adenauera i obecnych umów z Zachodem, które stanowią "stokrotnie gorszy od umów lokarneńskich z 1925 r. pakt z pragnącymi wojny imperialistami Zachodu").

Oba te artykuły ukazały się w trzydziestą rocznicę Rapallo, w urzędowym piśmie wschodnio-berlińskim "Tägliche Rundschau" z 16 i 17 kwietnia br. Pytanie: czy dr Wirth, autor tak obficie cytowany przez obu polityków wschodnio-niemieckich,

cieszy się dziś zaufaniem zachodnio-niemieckich sfer gospodarczych, podobnie jak nim się cieszył za czasów swego kanclerstwa?

Jest zupełnie zrozumiałe, że wywód historyczny pp. Piecka i Ackermann'a oparty został na książce dr Wirth'a, którego niedawna podróż do wschodniego Berlina stworzyła tam dla niego atmosferę sympatii i zainteresowania. Oczywiście, gdyby chodziło o uzupełnienie tego wywodu, to obaj politycy mogliby wiele zaczerpnąć z innej książki, wydanej w ubiegłym roku w Wiesbaden pt. "Droga Niemiec do Rapallo". Jej autorem jest p. Wipert von Blücher*), który w owych czasach był jednym z najbliższych współpracowników Ago von Maltzan'a, a ten był rzeczywistym twórcą niemieckiej polityki wschodniej w tych latach. P. v. Blücher szczegółowo opisuje okoliczności, które poprzedziły zawarcie układu i mówi: "Drogą tą (do Rapallo), nie poczedłby nigdy naród niemiecki, gdyby mocarstwa Ententy dały mu nadzieję, że znowu przyznają mu miejsce u swego boku. Podobnie i Sowiety nie byłyby, w decydującej chwili, z taką stanowczością wkroczyły na tę drogę, gdyby nie zostały wepchnięte na niemiecką stronę na skutek żądań Ententy, które dla nich były nie do przyjęcia".

Jak dzisiaj wyglądają sprawy? "W każdym razie. — pisze p. v. Blücher — stosunki są zasadniczo odmienne w porównaniu z rokiem 1922. Wówczas Niemcy i Rosja były państwami tego samego rzędu wielkości. Dziś stosunek sił przesunął się w olbrzymiej mierze na korzyść Rosji. Wówczas Niemcy i Rosja zwrócone były przeciw mocarstwom zachodnim i poczuwały się do solidarności w tej postawie. Dziś wolne Niemcy opierają się o Zachód i uważają Rosję za swego najniebezpieczniejszego przeciwnika. Wówczas była Rosja krajem, który zadowalał się zabezpieczeniem własnego terytorium (p. v. Blücher nie wyjaśnia jakie to terytorium uważa za "własne" rosyjskie, ale w innym miejscu, mówi jeszcze bardziej mgliście o "historycznych" granicach obu narodów. Przyp. mój). Dziś Rosja kieruje się imperializmem szeroko i świadomie zakreślonym poza jej granicę. "W przyszłości — zdaniem tego autora, porozumienie niemiecko-rosyjskie możliwe będzie tylko w uniwersalnych ramach", a nie na drodze dwustronnego porozumienia.

Być może. Czy jednak rzeczywiście wszystko tak dalece się zmieniło? Czy dawne niebezpieczeństwa i obawy nie powstają raz jeszcze w zmienionej częściowo formie? Skoro już tak się złożyło, że zasypaliśmy czytelnika samymi prawie cytata-

*) Wipert von Blücher: *Deutschlands Weg nach Rapallo*. Limes Verlag, Wiesbaden, 1951.

mi, niech nam będzie wolno przytoczyć jeszcze inne, z własnego archiwum. I tak, pisał londyński "Daily Telegraph", 14 września ub. roku: "... dla mocarstw zachodnich zagadnienie polega na znalezieniu formuły, która, przyznając Niemcom statut równości, dawałaby jednak gwarancje przeciw ponownemu ich uzbrojeniu, prowadzącemu do odrodzenia niemieckiego imperializmu. Mówiąc po prostu, zarówno w Londynie jak i w Paryżu panuje obawa, że uzbrojone Niemcy zachodnie mogłyby "wyłamać" z Traktatu Atlantycznego tak jak Hitler uczynił z Locarnem i, tak samo jak Trzecia Rzesza, dobić niepożądanie targu z Kremlen, w celu ochrony ataku na zachód. Możliwość taka może się wydawać teraz bardzo oddalona, ale w tych dziwnych czasach, najdziwniejsze kombinacje są możliwe". W tym samym okresie pisał Walter Lippman w "New York Herald Tribune" (wydanie paryskie 2. IV. 52): "W sprawie jednoci Niemiec nie posunęliśmy się nigdy poza uwagi bez większego znaczenia, gdyż obawiamy się, że zjednoczone Niemcy — jakkolwiek antykomunistyczne — mogłyby znów ubić targ z Sowietami".

Kłopotliwą, żeby nie powiedzieć wstydliwą stroną umów rappalowskich była ich strona wojskowa. Z pozorów, niczego podobnego w ogóle tam nie było. Oto co pisze p. Pieck, z oburzeniem: "Nagonka prasowa przeciwko zawarciu układu przybrała wręcz groteskowe formy. Oskarżano partnerów umowy, że zawarli tajne porozumienie wojskowe..." A p. v. Blücher mówi w swej książce, po zachodniej stronie: "Wówczas poruszono prasę światową, a ta rozpoczęła wściekłą kampanię przeciw obu kontrahentom. W złą wierzę zarzucano im i wyrażono podejrzenie, że poza tekstem, podanym do wiadomości, ukrywa się tajne porozumienie wojskowe..." A tymczasem...

O kilka stron wcześniej tenże sam autor stwierdza, że "w latach 1921/1922 rozpoczęła się pewna wojskowa współpraca wojskowa między Niemcami a Rosją Radziecką. Sprawcą był rząd sowiecki, któremu zależało na otrzymaniu pomocy technicznej nie tylko dla rozbudowy swego przemysłu, ale i swojej armii. Pierwsze macki rozciągnęli Krassin i Radek. Ci znaleźli u Seeckta grunt urodzajny. Ten z kolei poinformował prezydenta Rzeszy Eberta i kanclerza Wirtha, którzy nie wyrazili żadnych zastrzeżeń, dopóki sprawa pozostanie tajemnicą, a rząd Rzeszy oficjalnie nie będzie o niej wiedział". Dalej następują szczegóły i nazwiska oficerów.

Sprawa ta wypłynęła jeszcze raz, gdy po zawarciu umów rappalowskich, pierwszym ambasadorem Rzeszy w Moskwie został Brockdorff-Rantzau. Ten uważał z początku, że współpraca niemiecko-rosyjska "powinna służyć tylko pokojowym i gospodarczym celom", że nie należy się wiązać żadną współpracą wojskową, "gdyż najprzód Rosja, w obecnym położeniu, nie jest w stanie udzielać nam wojskowej pomocy, a powtóre

samo podejrzenie, żeśmy się w ten sposób związali z Rosją, oznaczałoby silne obciążenie naszych stosunków z Anglią". Nowy ambasador próbował przekonać prezydenta Eberta. Ten jednak, przyznając mu częściowo słusność oświadczył, że "tymczasem należy poszukiwać zabezpieczenia przeciw Polsce, aby obronić się przed stałym zagrożeniem Prus Wschodnich i Śląska. Nie ulega żadnej wątpliwości, że dobre wojskowe, stosunki ze Związkiem Sowieckim znacznie zmniejszą to niebezpieczeństwo". "Również u kanclerza Rzeszy znalazł Brockdorff-Rantzau taką samą postawę", Dr Wirth powiedział mu, że wobec reparacyjnych żądań Zachodu już w Genui opowiedział się bez zastrzeżeń za zawarciem w Rapallo układu i dlatego również nie tylko nie przeszkadza tajnej współpracy między Reichswehrą a Czerwoną Armią, ale nawet popiera ją tajnymi finansowymi środkami". W późniejszej fazie ambasadury Brockdorff-Rantzau'a współpraca wojskowa rozwinęła się tak znakomicie i szeroko, że "te rzeczy nie mogły, naturalnie, już pozostać tajemnicą na dłuższą metę".

I tak stary, rappalowski szyld, przemalowany tu i ówdzie, zaczyna skrzypieć na dzisiejszym wietrze. Wiatr wieje ze wschodu na zachód.

Jerzy PRĄDZYŃSKI.

Kronika niemiecka

Miesiąc przyjaźni polsko-niemieckiej

W komunistycznej "Niemieckiej Republice Demokratycznej" działa organizacja, nosząca nazwę "Niemiecko-Polskie Towarzystwo pokojowych i dobrosąsiedzkich stosunków". W Polsce organizacja ta ma urzędową nazwę "Niemieckie Towarzystwo krzewienia pokojowych i dobrosąsiedzkich stosunków z Polską". Widać z tego, że reżim warszawski nie może się odważyć na popularyzowanie idei "towarzystwa niemiecko-polskiego".

Początki tej organizacji w Niemczech wschodnich sięgają końca 1948 r., kiedy to po wrocławskim zjeździe intelektualistów grupa niemieckich dziennikarzy, artystów i pisarzy wystąpiła z projektem zapoczątkowania dzieła zbliżenia polsko-niemieckiego i przeciwstawienia się fali rosnących w Niemczech nastrojów antypolskich. Wśród inicjatorów przeważali niekomuniści, którzy sprawę normalizacji stosunków polsko-niemieckich traktowali niezależnie od aktualnej linii generalnej, dyktowanej z Moskwy. Czołowym przedstawicielem tej grupy był publicysta Dr Helffrich, były więzień obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, po wojnie naczelny redaktor pisma "Der Kurier" we francuskim sektorze zachodniego Berlina. Rozczarowany brakiem zrozumienia po stronie zachodniej, że potrzebne jest zadokumentowanie dobrej woli Niemców w stosunku do Polski, Czechosłowacji, Ukrainy — przeszedł do swych złomów po wschodniej

strony bariery berlińskiej, sądząc, że tam będzie mógł owocnie służyć słusznej sprawie. Jako przekonany demokratą, nazwał nowopowstałą organizację dla zbliżenia polsko-niemieckiego imieniem Helmuta Gerlach, demokratycznego publicysty niemieckiego z okresu Niemiec wilhelmskich i pierwszych lat republiki weimarskiej, który wytykał swym rodakom błędną i nieuczciwą politykę w stosunku do Polaków. Dr Heifrich nie długo żywił złudzenia. Przekonał się wkrótce, że monopol na przyjaźń polsko-niemiecką ma Moskwa i jej niemieccy oraz polscy emisariusze. Z każdym dniem wpływy jego malały, aż wreszcie musiał zupełnie ustąpić miejsca komuniście Karolowi Włochowi.

Staraniem Towarzystwa, pod jego obecnym całkowicie komunistycznym kierownictwem, odbył się w kwietniu na terenie wschodnich Niemiec tak zwany "miesiąc przyjaźni niemiecko-polskiej". Przeprowadzony przy twórcze niezwykłe hałaśliwej agitacji, miesiąc ten obfitował w rozmaite imprezy kulturalne. Rozpoczęło je reprezentacyjnym koncertem we wschodnio-berlińskiej "Operze Komicznej" (podobno niektórzy goście z Warszawy mówili, że ta nazwa najlepiej oddaje treść przyjaźni polsko-niemieckiej). Koncert rozpoczęło nowym utworem "simfonia rustica" Andrzeja Panufnika, po czym prof. Henryk Sztompka grał Szopena, a tenor opery bytomskiej, Bogdan Paprocki, śpiewał arie z "Halki". W ramach miesiąca przyjaźni odwiedziło Wschodnie Niemcy kilku pisarzy reżimowych, jak Stefan Żółkiewski, Jerzy Andrzejewski, Stanisław Wygodzki, śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska, reżyser Leon Schiller, grafik prof. J. Szanker i inni.

We wschodnim Berlinie zorganizowano dwie wystawy. Wystawę "Książki Polskiej" urządzono w gmachu Altes Stadthaus; w jej ramach pokazano przeważnie wykresy i plansze, ilustrujące "niebывалы rozwój ruchu wydawniczego i czytelnictwa w Polsce Ludowej", oraz kilkadziesiąt tomów dzieł, wydanych szczególnie starannie. Specjalny dział tworzyły egzemplarze dzieł niemieckich pisarzy komunistycznych, jak Fryderyk Wolf, Willi Bredel, Fritz Erpenbeck, wydanych w Polsce. Druga wystawa, urządzona w pawilonie Muzeum Higienicznego przy dworcu Friedrichstrasse, pod hasłem: "Rzut oka na polskie życie kulturalne", demonstrowała w formie fotografii, tablic, wykresów i modeli osiągnięcia reżimu w dziedzinie kultury. Jednym z największych sukcesów "demokratycznego rządu Polski Ludowej" jest (według tablicy wystawowej), pozycja 2.700 dzieł literatury sowieckiej, przetłumaczonych w Polsce i wydanych nakładem 55,5 miliona egzemplarzy, oraz 49 dzieł rosyjskiej i sowieckiej dramaturgii, granych dotychczas na scenach polskich. (Dziennik sowiecki, wychodzący w języku niemieckim we wschodnim Berlinie, "Tägliche Rundschau", prezentując swym czytelnikom współczesnych poetów polskich, wydrukował wiersz niejakiego Władimira (sic!) Domeradskiego z Warszawy). Prasa wschodnio-berlińska donosiła w okresie miesiąca przyjaźni, że obecnie 300 uczniów szkół średnich w Berlinie, Lipsku, Erfurcie, Magdeburgu, Zgorzelcu i Rostoku uczy się języka polskiego. We wrześniu ubiegłego roku ukazał się w związku z tym podręcznik języka polskiego dr Falkenhahna i W. Zielke.

W "miesiącu przyjaźni" przebywały również we wschodnim Berlinie i w Niemczech wschodnich delegacje PZPR, ZMP oraz sportowcy reżimowi. Kierownik warszawskiej misji dyplomatycznej przy wschodnio-niemieckim rządzie komunistycznym, Jan Izydorczyk, nalegał na swych niemieckich towarzyszy, aby tegoroczny miesiąc przyjaźni miał należeć do polityczny przez podkreślenie, że wola rządu i społeczeństwa wschodnio-niemieckiego jest utrzymanie i obrona granicy na Odrze i Nysie. To stanowisko Izydorczyka wynikało niewątpliwie z nastrojów, jakie w Polsce wywołała nowa polityka Moskwy w stosunku do problemu niemieckiego, a szczególnie w związku z sowiecką koncesją na utworzenie niemieckiej armii narodowej. Nieufność wobec Moskwy i Berlina pogłębiła się jeszcze bardziej pod koniec miesiąca przyjaźni polsko-niemieckiej, kiedy czołowi komuniści wschodnio-niemieccy, z prezydentem Pieckiem i wiceministrem spraw zagranicznych Ackermannem na czele, świętowali hucznie 30-ą

rocznicę porozumienia niemiecko-rosyjskiego w Rapallo. Warszawska propaganda przemilczała całkowicie entuzjastyczne głosy wschodnio-niemieckie z okazji 30-lecia Rapallo. Uśmiewała ona zagłuszyć powracające echa tradycyjnych połączeń Berlin-Moskwa — odgłosami imprez wschodnio-niemieckiego miesiąca przyjaźni niemiecko-polskiej.

Kongres wolnych dziennikarzy

III Kongres wolnych dziennikarzy środkowo-wschodniej Europy i krajów bałkańskich obradował w Berlinie pod koniec kwietnia br. Wzięło w nim udział 100 delegatów, reprezentujących dziennikarstwo kilkunastu krajów, znajdujących się dziś pod sowiecką okupacją. Decyzją wybrania Berlina jako miejsca obrad była decyzją śmiałą, a wiadomo, że przed Kongresem zdania w tej sprawie były podzielone. Przeważał pogląd, że obrady w Berlinie, w bezpośrednim sąsiedztwie grożącego wolnej części Europy niebezpieczeństwa, przyczynią się do wzmocnienia nastrojów kongresowych i do większego napięcia uwagi w krajach Zachodu. Z drugiej strony trudno nie było dziwić tym, którzy mieli wątpliwości czy miejsce obrad zostało trafnie obrane. Jeżeli dziś Berlin jest miastem "dzwonu wolności", to — jak zauważył p. Raymond Aron na uroczystości otwarcia — jest również Berlin bogatszy w symbole aniżeli jakiegokolwiek inne miasto europejskie; był jeszcze do niedawna symbolem hitlerowskiej agresji i wojny totalnej. Wprawdzie dziś nastąpiła zmiana sytuacji, jednak "przestawienie" w psychologii mas było z konieczności szybsze i łatwiejsze w krajach, które w czasie wojny nie były przez Niemców okupowane.

Niemniej jeszcze przed kongresem, w okresie przygotowań, były pewne, choć drobne nieporozumienia. Wyrażano np. w sferach berlińskich zdziwienie, że wolni dziennikarze rosyjscy nie biorą udziału w kongresie. Trzeba więc było tłumaczyć, że nie jest to konflikt "wszech i wszystkim", ale tylko zjazd organizacji, wchodzących w skład Federacji, do której Rosjanie nie należą i że Federacja, oparta na zasadach regionalnych, nie rości sobie pretensji do rozwiązywania wszystkich zagadnień od razu. Oczywiście, wyjaśnianie zarówno historycznych jak i aktualnych powodów takiego układu stosunków zaprowadziłoby zbyt daleko.

Gdy jednak kongres już się zebrał w Berlinie, wówczas w głosach prasy zachodnio-niemieckiej pojawiły się różne zarzuty. Zauważono mianowicie, że kongres, który w praktyce (choć w teorii nie całkowicie) był manifestacją polityczną, odwrócił się niejako "tyłem" do zagadnienia niemieckiego, choć obradował jednak w Berlinie. Że, poza podziękowaniem Berlinowi za gościnność i dwoma przemówieniami z niemieckiej strony (z tych jedno przemówienie burmistrza Berlina, p. Reutera) — ani o sprawie niemieckiej nie mówiono, ani też mówcy niemieccy nie brali udziału w rozprawach. Wszystko to — zdaniem niektórych niemieckich komentatorów — zmniejszało "realizm" obrad kongresowych i sprawiło, że udział publiczności berlińskiej w zebraniach publicznych był stosunkowo niewielki.

Tym wywodom nie można odmówić uzasadnienia, choć trudno się zgodzić ze wszystkimi argumentami, które przy tej sposobności padały ze strony prasy niemieckiej. Wbrew temu co np. pisał korespondent wielkiego dziennika frankfurckiego, kongres na pewno nie był odpowiednią sposobnością do dyskusji na temat granic polsko-niemieckich, choćby ze względu na to, że się było u Niemców w gościnie. Podobnie niezbyt realistyczny wydaje nam się pogląd p. Pohla, wyrażony w Berlińskim "Kurierze", wedle tego poglądu ktoś z polskich dziennikarzy powinien omówić sprawę wysiedlonych z Ziemi Nadodrzańskich Niemców, których los jest podobny do losu Polaków, wysiedlonych z Ziemi Zabuzzańskich. Poruszenie takiej sprawy musiałoby z konieczności wywołać przypomnienie wysiedlań, przeprowadzonych przez Niemców w Polsce w czasie wojny. Nie mówiąc już o tym, że inne narodowości, wchodzące w skład Federacji, mogłyby mieć

śluszy żal o to, że się je nieopatrznie wciąga w dyskusje na temat różnic polsko-niemieckich... Zadaniem Federacji Wolnych Dziennikarzy nie są dyskusje na temat granic, ale współpraca we własnym, już bardzo międzynarodowym gronie, oraz zajęcie wspólnego stanowiska w walce o wyzwolenie krajów, z których członkowie Federacji pochodzą. Jest to, już samo w sobie, duże i odpowiedzialne zadanie.

Prasa polska na obczyźnie już wspominała o spotkaniu dziennikarzy ukraińskich i polskich, jakie się odbyło w czasie kongresu. Nastąpiło ono z inicjatywy Ukraińców i w atmosferze prawdziwej przyjacielskiej szczerości. Zanotowanie tego nowego kroku na drodze do polsko-ukraińskiego porozumienia jest szczególnie na miejscu w "Kulturze", która tej sprawie poświęca wiele miejsca i — serca. Gdy więc na ulotce, wydanej na Kongres przez biuro informacyjne "Ukraińskich Wisti" znajdujemy stare polskie hasło "Za naszą wolność i naszą", uważamy to za dobrą wróżbę na przyszłość.

BERLIŃCZYK.

Kronika polska

Książki drożeją — ale nie wszystkie

Piszą nam z Kraju, że książki ostatnio podrożały. Przy tej okazji wyszły na jaw rzeczywiste tendencje polityki wydawniczej, stosowanej obecnie w Polsce.

Nie notuje się żadnych zmian, jeśli chodzi o książki tzw. marksistowsko-leninowskie. Nadal można je kupić za grosze. Nieznacznie tylko zostały podwyższone ceny książek pisarzy sowieckich, zagranicznych komunistycznych i polskich współczesnych. Natomiast znacznie trudniej jest otrzymać książki polskich klasyków — ceny ich wynoszą przeciętnie około 100 zł. Tym samym stają się one niedostępne dla szerszych mas społeczeństwa.

Na rynku wydawniczym reżim prowadzi bardzo przymyślną politykę. Zasadniczo drukuje się wszystko. W katalogach wydawnictw można znaleźć obok polskich pisarzy współczesnych, pisarzy sowieckich i zagranicznych komunistycznych (Nexö, Fallada, Aragon, itd.), nie tylko dzieła wielkiej literatury polskiej (klasyków i późniejszych), ale również książki popularnych przed wojną pisarzy zagranicznych. Tak samo, jeśli chodzi o literaturę dla dzieci: obok bajek sowieckich i innych "przykrojonych" na miarę dzisiejszą (np. Collodi "Pinokio", Andersen "Baśnie"), można znaleźć Jachowicza, Kraszewskiego, Mickiewicza itd. Na pozór więc wszystko jest w porządku i mogłoby się zdawać, że przynajmniej ludzie mogą czytać to, co im się podoba. Ale pozory mylą.

Literaturę marksistowsko-leninowską drukuje się w nakładach 200-300 tysięcy, często jeszcze wyższych; beletrystykę o tendencjach komunistycznych co najmniej w 100 tysięcznych nakładach, a wszystko inne na szarym końcu, w nakładach najwyżej do 10 tysięcy. Np. dzieła Lenina, Stalina, Marksa i Engelsa w nakładach po 250 tys., Simonow "Dni i Noce" — 100 tys., Gorkij "Matka" — 100 tys., Koptiajewa "Towarzysz Anna" — 100 tys., a tak bardzo popularna w Polsce "Saga Rodu Forsytów" Galsworthy ukazała się w nakładzie 7.300 egzemplarzy.

W wykonaniu technicznym książek widzi się wyraźne różnice. Książki marksistowsko-leninowskie są wydawane z reguły w oprawie cało-płóciennej, albo w tzw. "lederinie" (coś w rodzaju "angielskiej skóry"), przy czym dzieła Stalina i Lenina drukuje się wyjątkowo na 80 gramowym bezdrzewnym papierze; Marksa, Engelsa i

innych na 70 gr. już nie na bezdrzewnym, ale w każdym razie na papierze w dobrym gatunku.

Dużo uwagi i pracy poświęca się również szacie zewnętrznej beletrystyki komunistycznej. Okładki są przeważnie płócienne, "lederinowe", czy półpłócienne, a dodatkowo jeszcze wabłą barwne, efektowne obwoluty. Natomiast książki innych autorów często traktuje się po macoszemu, broszurując je tylko bez obcinania; okładki są nieraz szare i bezbarwne, mało atrakcyjne, obliczone na to, że się ich może nie zauważyć.

A więc drukuje się niby wszystko, ale dobrych książek w Kraju — brak.

"Tombakowi" i inni

Oto uwagi skreślone przez kogoś, kto niedawno prze-dostał się z Kraju na Zachód:

W drugiej połowie 1951 r. mieliśmy w paru miastach Polski młodzieżowe rozprawy sądowe. Tematem rozpraw były: awantury uliczne i bijatyki w stanie podchmielonym; atakowanie bezbronnych kobiet na ulicy; pijackie porachunki, podczas których dochodziło do nożownictwa i ciężkich porażeń. Sprawozdania prasowe z tych rozpraw były pełne wyrzutów i "świętego" oburzenia.

Nagłówki: "Rozwydrzona chuliganeria!", "Kosmopolityczni mandolinarze!" (wyrażenie "mandolinarze" jest tworem powojennym i odnosi się do obecnej "tombakowej młodzieży", która nosi długie marynarki, wąskie spodnie, oraz szerokoskrzydłe kapelusze. Charakterystyczne dla tego przewiska jest uczesanie. Włosy uczesane z przedziałkiem, przy czym długie boki są misternie zaczesane do tyłu głowy, aż do połączenia się. Kiedy spojrzymy na głowę "pacjenta" z góry, rzeczywiste nasuwa się porównanie z kształtem mandoliny). Podano również powody tego rozwydrzenia i upadku moralnego wśród młodzieży. Głównym winowajcą jest tu, oczywiście "zgnili" Zachód i demoralizujący wpływ słuchania zachodnich audycji radiowych w języku polskim. W ten sposób starano się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: zważyć winę na wolne radio i ukryć właściwe przyczyny tego stanu rzeczy.

Tak się złożyło, że w tym samym mniej więcej czasie, miałem możliwość odbycia dłuższej rozmowy z kimś, kto jest dobrze widziany i bywa w "wyższych sferach" partyjnych i rządowych w Warszawie. Poruszyłem przy tej okazji piekący temat młodzieżowy.

On: "Partia i rząd są zaniepokojone stanem moralnym młodzieży".

Ja: "Dobrze, ale gdzie jest przyczyna?"

On: "Doprawdy, sam nie wiem co o tym myśleć! Partia i rząd stworzyli młodzieży warunki nauczania, o jakich nawet marzyć nie mogła do wojny. Każdy młody człowiek może wybrać sobie dowolny kierunek studiów, przy czym większość otrzymuje, poza bezpłatną nauką, stypendia, bursy, bezpłatne wczasy wakacyjne..."

Ja: "Więc?"

On: (po dłuższej pauzie) ... "Może brak odpowiednich rozrywek?..."

Sam również często zastanawiałem się nad tym skomplikowanym zagadnieniem.

A więc: a) Na wyższe uczelnie przyjmuje się, i to z wieloma trudnościami, 15-20% dzieci z rodzin inteligentnych, które pozostają przeważnie nadal pod wpływem domu rodzicielskiego. Pozostali — to synowie robotników i chłopów maoistycznych. Ta wielka masa młodzieży jest w dużym procencie oderwana od domu. Mieszka w bursach i domach akademickich.

b) Od lat toczy się uporczywa, podstępna walka o dusze młodzieży. Religia zwalczana jest teoretycznie i praktycznie, począwszy od szkoły powszechnej aż do uniwersytetu, czy politechniki.

c) Ciągłe zebrania Z.M.P. (obowiązkowy Związek Młodzieży Polskiej). Zlecana i kontrolowana przez egzekutywy Z.M.P. tzw. praca społeczna.

Dalsze godziny zajmuje przymusowa nauka "marksizmu-leninizmu-stalinizmu" — urzędowo na uczelni podczas wykładów o "Polsce Współczesnej" i partyjnie na obowiązkowych kursach ideologicznych Z.M.P. i P.Z.P.R. Uczniowie i studenci muszą brać udział w współzawodnictwie w nauce, w wyniku czego przyznawane są zwycięzcom tytuły "przodowników pracy w nauce".

A teraz zobaczmy jakie młodzież ma możliwości rozrywkowe:

a) W teatrach około 50% przedstawień stanowią, faworyzowane przez Min. Kultury i Sztuki oraz partię, sztuki sowieckie, które, mimo wysiłków ze strony aktorów i reżyserów, pozostają tym, czym są, tj. nudnymi piłami propagandowymi. Są więc niejako przedłużeniem 5-6 godzin cotygodniowych wykładów o "Polsce współczesnej" i kursów ideologicznych.

b) Kino nie przedstawia się lepiej. Filmy "radzieckie" wypełniają około 50% programów kinowych, przy czym spory procent tych filmów jest wersją filmową teatralnych sztuk "radzieckich" lub powieści. Dalsze 40% programów — to filmy "demokracji ludowych", które w myśl wyższych nakazów (ideologicznych i "innych") kuśtykają za "genialną sztuką filmową Związku Radzieckiego". Jednocześnie tak kinematografia sowiecka jak i wszystkie filmy "demokratyczno-ludowe" chorują na brak odpowiednich scenariuszy, które by mogły dać połączenie fabuły dramatycznej i nieuniknioną propagandę. Skutki tych mankamentów są opłakane.

Weźmy np. temat: "Fabryka. Walka o wykonanie planu, czemu oczywiście przeszkadzają nasłani sabotażyści". Widz polski musi przełknąć ten temat pięciokrotnie (w językach: rosyjskim, polskim, czeskim, węgierskim i rumuńskim).

Lub temat: "Nie masz to jak radosna praca i życie rolnika w kółchozie" — czemu znowu starają się przeszkodzić nasłani sabotażyści (w językach: rosyjskim, czeskim, rumuńskim i naturalnie polskim).

Albo temat obyczajowo historyczny: "Wielmoże i arystokraci hulają, piją, gwałcą, przy czym dla kurażu zabijają dziennie parę osób spośród ludu pracującego, czemu, niestety, nie przeszkadzają sabotażyści, ale za to sprawiedliwy gniew ludu rośnie!" (W językach: patrz wyżej).

c) Sport również przestał być magnesem, który zawsze pociągał młodzież. Powodem jest fatalne obniżenie poziomu sportu wynikowego, który zawsze zapalał młodzież i był największą propagandą sportu.

Brak jest również ciekawych spotkań międzynarodowych. Nawet spotkania ze sportowcami "bratnich" demokracji ludowych są coraz to rzadsze. Natomiast sportowcy sowieccy przywożą ze sobą własnych sędziów i "własne" przepisy sportowe. Zwycięstwo z drużyną sportową ze Związku Sowieckiego jest więc niemożliwe i prawie że urzędowo zabronione. Na skutek tego, często gęsto latają w powietrzu ogryzki i butelki po lemoniady. Na skutek czego znowu wkracza na boisko i trybuny — milicja!

d) Jeżeli podsumujemy podaną wyżej listę dostępnych rozgrywek dojdziemy; niestety, do wniosku, że główną rozrywką stają się przysłowne: "Kobieta, wino, śpiew".

Z tych trzech rozkoszy doczesnych — najpopularniejsze jest "wino, w postaci licznych "cwiartek" i "półlitrów".

Te wszystkie przytoczone wyżej uwagi składają się na smutny obraz życia młodzieży polskiej — przyszłości narodu.

Partia i rząd są ponoć poważnie zaniepokojone. Urzędowe "powody" tego stanu już znaleziono i ogłoszono tak w prasie, jak i przez radio. Natomiast o "lekarstwie" na tę chorobę na razie nie nie słychać. Widać jednak wyraźnie, że "ideologiczne" podciąganie młodzieży nie wpłynęło dodatnio na jej moralność. I chyba przyjdzie za wzorem "wielkiego Związku Radzieckiego", sięgnąć do metod bardziej radykalnych.

Kronika kulturalna

O pewnym zjeździe

Jedną z charakterystycznych cech katolicyzmu, która stoi w całkowitej sprzeczności z popularnym poglądem tzw. nowoczesnego człowieka — jest niewiara w stały postęp. Dając człowiekowi wszystkie środki do nieograniczonego rozwoju wewnętrznego, katolicyzm równocześnie uzbraja go przeciw popularnemu przesądowi, zrodzonemu w wieku Oświecenia, o zbiorowym czy indywidualnym postępie automatycznym. A ten przesąd, owa sprzeczna z doświadczeniem i historią wiara w postęp ciągły i konieczny, jest istotnym składnikiem tego, co ludzie Zachodu nazywają światopoglądem.

Stanowisko takie jest nie tylko w niezgodzie z samą istotą Kościoła, który jak ewangeliczny gospodarz, wyjmuje ze swych skarbców zawsze "rzeczy stare i nowe", ale jest przeciwne tak logice samej rzeczy jak i faktom oczywistości. Nie ma bowiem ruchu "do przodu", jeśli równocześnie nie czerpie się "z tyłu". Samo pojawienie się nawrotu do tomizmu jest tego dowodem wymownym.

Św. Tomasz jest źródłem bardzo autorytatywnym, ale nie jest on wszechwypełniający. Mamy zresztą prawo poznawać, co było przed nim. Czyż np. fryburski dominikanin O. A. M. Weiss, tak swego czasu zniechęcony przez pangermanistów pierwszej wojny, którym zapowiadał upadek, i ruinę świata jako ich puściznę — nie pisał z naciskiem przeciw modernizmowi, to znaczy również dwuwymiarowym teologom, że **przyszłość** myśli chrześcijańskiej, leży w **przeszłości**. W przeszłości, to znaczy: w wielowymiarowości.

Niech to będzie rodzaj wstępu dla omówienia wydarzenia wielkiej doniosłości, o którym pisała prasa całego świata, nawet nasza krajowa, ale które nie doszło tylko do prasy emigracyjnej. Myślę o Pierwszym Międzynarodowym Kongresie Patrystyki, który z końcem zeszłego roku odbywał się w Oxfordzie.

Patrystyka — nie jest to żadna erudycyjna "entemologia" dawnych wieków, ani teren opylonych kurzem stuleci speców. To wiedza nad wyraz żywotna: "fashion of the day", jak pisał jeden ze sprawozdawców angielskich. Jest to nauka o kulturze pierwotnego chrześcijaństwa i jako taka jest kapitałem dla czasów dzisiejszych. Kościół jest bowiem żyjącą pamięcią nie tylko całego chrześcijaństwa, ale całej ludzkości. Chrześcijaństwo ma swe korzenie w dziejach i niesie dzieje z sobą. Stąd poznanie jego pierwotnej kultury, jest poznaniem nas samych dzisiaj.

Epoki jak nasza: czasy przełomu, który dostrzegamy i katastrof, które nadchodzą, czasy szukania nowych dróg i nowych wyjść, cechuje szczególne zainteresowanie historią. Kiedy w cyklu dziejów Kościoła, opisywanych przez Daniel-Ropsa, wyszedł jego tom omawiający okres wędrówek ludów i zaważenia się Zachodniego Imperium, książka stała się bestsellerem we Francji. W wieku V naszej ery, w czasach naporu ludów barbarzyńskich, rozpadania się cywilizacji, która w oczach współczesnych uchodziła za cywilizację **jedyną**, za cywilizację tout court, Francuzi dojrżeli aktualną analogię. Święci, wodzowie, papieże i biskupi tamtych wieków, szczególnie św. Grzegorz Wielki, którzy mimo rozpacz w sercu układali się z barbarzyńcami i patronowali nowym formom życia wykwitającego na ruinach, zjawili się oczom współczesnym, jakby w roli dzisiejszych mężów stanu, przed którymi stoi problem podobny: jak udostępnić nowym ludom skarb dawny?

Chodzi tu jedynie o przykład jak bardzo żyjemy dziś historią, a nie o eskapistyczne wnioski dalsze, które sobie z dziejów V wieku wyciągnęli niektórzy Francuzi, porównując diametralnie różne rozwiązania tych zagadnień sprzed kilkunastu stuleci przez Zachód i Wschód chrześcijański. Powszechne jest dziś przekonanie, że korzenie najcięższych chorób współczesnych tkwią w bardzo nieraz dalekiej przeszłości (por. np. angielskie studia na temat kapitalizmu i reformacji, niemieckie prace o zwłknięciu charakteru narodowego od czasu wystąpienia Lutera, o luteranckich elementach nacjonal-socjalizmu, etc), ale że w tej przeszłości tkwi również nauka dla nas. W nowożytnej działalności religijnej jedno z głównych miejsc, jeśli nie najważniejsze, zajmuje idea zjednoczenia chrześcijan. W historii szuka się powodów nie tylko gorszącego rozbicia, ale wraca się coraz szerzej i coraz głębiej do tego, co jest wspólnym dziedzictwem wszystkich chrześcijan dotąd: to jest, oprócz Pisma św. — do Ojców Kościoła. — Rzecz ciekawa, że słynna, wieloletnia korespondencja ireniczna między Leibnizem i Bossuetem w XVII wieku, mająca na celu pogodzenie protestantyzmu z Kościołem, samorzutnie skierowała się w tę stronę właśnie. Dzieła i nauka Ojców, literatura i kultura pierwszych wieków Kościoła (poza Nowym Testamentem), od II-V włącznie, to tzw. patrystyka, lub patro-

logia. Jest ona dziś, oprócz wielu innych walorów i aspektów, jakby wielką medycyną społeczno duchową.

Ale ponadto jest, można to śmiało powiedzieć, najdoskonalszym wyrazem tego głębokiego zapuszczenia się w dzieje ducha ludzkiego, które od pewnego czasu daje się odczuwać w literaturze, chociażby w utworach, szczególnie w ostatnim, Teodora Parnickiego, którego fragment zamieściła "Kultura", a które zostają zwykle niedostrzeżone przez "lekkobieżnych", jak Achilles, Polaków.

Ruch ten nie jest nowy. Dziś jednak nabiera coraz większego natężenia. Jeśli się zważy, ile wiedzy trzeba rzetelnemu patrologowi, ma się jakie takie wyobrażenie i o charakterze samej dyscypliny: Nie tylko historyczna i filologiczna znajomość języków antycznych — greki w różnych jej dziejowych, terenowych i literackich odmianach, i łaciny; wielu języków orientalnych: np. staroormiańskiego, starogruzińskiego, odmian syryjskich, chaldejskiego, narzeczy staroetiopskich, bo wiele ze spuścizny Ojców znajdujemy nie w oryginałach, ale w dawnych tłumaczeniach; nie tylko papirologia z całym orszakiem technicznych umiejętności; związana z dyplomatyką, paleografią, wiedzą o rękopisach i transmisji literackiej; nie tylko zdumiewające zasoby współczesnych dociekań archeologicznych, itd., ale jeszcze szczegółowe badania z zakresu historii religii antycznych, systematów filozoficznych, całej duchowej kultury starożytności wraz z jej sztuką i symboliką, a wreszcie czujna i czynna znajomość wyników badań historycznych, wdzierżgane w to wszystko elementy właściwie chrześcijańskie, Pismo św., teologia, narodziny filozofii chrześcijańskiej, niezwykle skomplikowane dzieje liturgii, psychologia i socjologia poszczególnych antycznych środowisk chrześcijańskich, itd.

Wspominki pedantycznych i kiepskich podręczników szkolnych wykoślawiły polskie pojęcia o patrystyce. A dodajmy przy tym, że zupełnie fałszywa jest idea ogólna, jaką w nas wyrobiono w poglądzie, jak najbardziej naskórkowym, na starożytność.

Chociaż Renesans zapoczątkował wspaniałe edycje klasyków i Ojców, starożytność poznawana dziś i widziana dziś, a starożytność melodramatyczna, ze zlaicyzowanego mitu, jakiej obraz przekazało nam Odrodzenie: to dwie zupełnie odrębne rzeczy. Można by sobie nawet pozwolić na stwierdzenie: **przeciwnstawne**.

Ta dawna starożytność klasyczna, wiktoriańska, żeby się tak wyrazić, a ta, którą odkryła nauka o kulturze, którą odsłoniło dzisiejsze poznanie, różnią się więc od siebie diametralnie. Nowy obraz starożytności i zarania tzw. cywilizacji europejskiej jest nierównie bardziej skomplikowany, a równocześnie żywszy, bardziej ludzki i zarazem rozleglejszy, niż ów stereotypowy, którym się jeszcze bawiono za konwentu. Nie spokój, ale **niepokój starożytności**; nie rzekomy ład, ale głęboka roz-

terka; nie złudny blask świetności, ale dobywające się spod ziemi niezaspokojone tęsknoty i wołania ludzkości; nie powielane i nieruchome posągi, ale ruchliwe falowania mas: wszystko to wychodzi na jaw dzisiaj, jak wielki ferment, czekający na użytek właściwy. Przede wszystkim starożytność, tak pod wielu względami niesłychanie "współczesna", odzyskuje w tych studiach cechę, którą Renesans strawestował, zbanalizował lub porzucił: zasadniczej religijności. Starożytność jest sakralna. Toteż te nowe studia pozwoliły uczonemu jak Radet narysować obraz Aleksandra Macedońskiego wręcz odmienny od dawnych. Jego synteza tego meteoru dziejów jest jednocześnie studium przeobrażeń i prądów religijnych, jest wnikiem w s u m i e n i e ludzi starożytności.

Nawet z tego pobieżnego wyciszczenia elementów jak i nowych zupełnie perspektyw widać, jakim szczytem i jaką głębią nawet dla czysto ludzkiej kultury jest patrologia.

Miło jest przypomnieć, że w Polsce międzywojennej działał ten miał już poważne pozycje tekstowo-źródłowe, dzięki głównie dwu ludziom: wydawcy i księgarzowi Jachowskiemu oraz znakomitemu profesorowi Uniwersytetu Poznańskiego, Janowi Sajdakowi. I po ostatniej wojnie, przynajmniej przez pewien czas, poznańskie wydawnictwo Dziel Ojców Kościoła, tak barbarzyńsko niszczone przez Niemców, było wznowione.

Zarówno po stronie katolickiej jak i w całym rozbitym chrześcijaństwie, silny prąd powrotu do Ojców dał wyrósć wielu wybitnych uczonym. (Nawiasowo wypada wspomnieć, że zrodził nawet pewne przerosty i dewiacje, na które wskazała encyklika Piusa XII "Humani generis"). Nauka ta jest z samej natury rzeczy międzynarodowa w swym zasięgu, lecz nigdy dotąd jej przedstawiciele, nie zjechali się na wspólny kongres. Stało się to po raz pierwszy dopiero zeszłego roku w Oxfordzie, w wyniku porozumienia wstępnego uczonych angielskich i francuskich. Kongres był licznie obsesany.

Na zaproszonych 600 uczonych, w Oxfordzie zjawili się około 300 — z Belgii, Holandii, Francji, Włoch (i Rzymu), Szwajcarii, Niemiec, Skandynawii, Ameryki, nie mówiąc już o przedstawicielach Anglii, Szkocji, Walii oraz Irlandii. Z W. Brytanii byli obecni katolicy jak anglikanie i nonkonformiści. Z reszty świata widzieliśmy również prawosławnych i protestantów różnych kierunków i narodowości. Przede wszystkim jednak przybyli katolicy świeccy i duchowni, łacini i obrządków wschodnich; przedstawiciele kleru świeckiego i zakonnego, prałaci i opaci, franciszkanie i dominikanie, jezuici, benedyktyni, marianie.

A więc, początki chrześcijaństwa, pierwsze stulecia literatury katolickiej, to jest wieki II, III, IV, V, wraz z całym zespołem kultur antycznych, wśród których rozdziła się działalność i myśl Kościoła, wszystkie sprzęgnięte z sobą łańcuchem i treści dawnego i nowego świata wraz z przejawami Łaski, która je wprawia w wibracje, stanowią dzisiaj pole dociekań, jedno z

najpopularniejszych — literatów, historyków kultury, artystów, filozofów historii, nowych teologów. A co dziwniejsze, studia te pasjonują nie tylko uczonych wierzących, ale i nie wierzących, których wabi wspaniały świt narodzin i wzrostu pierwotnego chrześcijaństwa, jego myśli, powiązań ze starożytności i nowej cywilizacji, która z nim idzie.

Jest więc rzeczą naturalną, że Kongres zgromadził tylu duchownych różnych wyznań i tak wielu uczonych świeckich, a wśród nich i sporą gromadkę patrystyk, specjalistek od aparatu krytycznego w wydawaniu rękopisów (dokładność i cierpliwość niewieścia, zdaje się na tym polu świecić specjalne triumfy). Nadawało to szczególną cechę kongresowi: jakby wznowionego, ale i wzmożonego współzycia uniwersyteckiego, z dodaniem lat doświadczenia. Atmosfera różnorodnego, różnorodowego, różnoreligijnego zjazdu ludzi wierzących i niewierzących, była przedziwnie braterska, przyjazna, niefrasobliwa, a jednocześnie nacechowana prymatem wszystkiego, co katolickie, choć katolicy byli w mniejszości. Główne odczyty publiczne zostały wygłoszone przez katolików, wielkie posiedzenia uroczyste prowadzone były przez uczonych katolickich, główne prace sekcyjne im zawdzięczały swoją żywotność. Ale nie było żadnej propagandy, ani żadnych pozanaukowych kontrowersyj.

Z najbardziej interesujących tematów wymienić należy konferencję prof. Marrou z Sorbony o "Humanizmie i Ojcach", benedyktyna Dom Capelle, opata z Mont César z Lowanium "O znaczeniu liturgii w argumentacji Ojców", ilustrowany przez zrociami wykład O. Gerv. Mathews O. P. o najnowszych odkryciach bizantyńskich w Abisynii i Arabii, skąd uczony właśnie powracał, oraz audycja wokalne muzyki starobizantyńskiej w wykonaniu dominikańskiej grupy oxfordzkiej, pod dyktando prof. Egona Wellesza; ten uczeń Schönberga jest największym w świecie specjalistą muzykologiem w rozwiązywaniu tajemnicy neumów bizantyńskich. Prawdziwą rewelacją był odczyt niemieckiego jezuita O. Grillmaiera o soborze w Chalkedonie.

Nie sposób tutaj dawać szczegółowego sprawozdania z głównych choćby wydarzeń Kongresu. Chcielibyśmy przynajmniej zwrócić uwagę na sam niezwykle ważny fakt tego zjazdu. (Następny odbędzie się w r. 1955 również w Oxfordzie). Ongiś katolicki Oxford pełen był znowu habitów i — książek we wszystkich językach o dziejach i zagadnieniach pierwotnej kultury chrześcijańskiej. Dzięki oczywiście prywatnej inicjatywie nie zabrakło też książki polskiej, którą była "Obecność Wniebowzięcia w Polsce; wzbudziła ona zainteresowanie sporej garści uczonych francuskich. Ktoś wspominał w krótkim referacie o zasługach na polu patrystyki niedawno zmarłego ks. Maksa Saskiego i Metropolity Szeptyckiego.

Włodzimierz DOŁĘGA
i Jan TOKARSKI.

Wystawa Kulisiewicza

Kiedy w latach trzydziestych wracałem do Polski z Paryża, w grupie kapistów głośno już było o Tadeuszu Kulisiewiczu, najzdolniejszym uczniu Skoczylasa. To jemu Kulisiewicz zawdzięcza swoje wysokie rzemiosło graficzne, Skoczylasowi również i Karolowi Stryjeńskiemu, głównym inicjatorom i założycielom Instytutu Propagandy Sztuki, najdalej idące poparcie, pomoc moralną i materialną w okresie swoich studiów. Ten syn ślusarza z Kalisza zadziwiał wszystkich wirtuozyą, ekspresją swoich rysunków i drzeworytów. Osobiście nie umiałem wówczas się jego rysunkami zachwycać. Wydawały mi się w ekspresji za nadto podkreślone. Była tu niewątpliwie, osobowość, wizja artysty, ale także pewna manieryczność. Kulisiewicz otrzymuje szereg pierwszych nagród, a w 1933 roku jest mianowany profesorem w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Dziś, po wielu latach odwiedzam wystawę Kulisiewicza na rue de la Paix w Paryżu, zorganizowaną przez tzw. przyjaźń polsko-francuską, tzn. przez bierutową ambasadę.

Rysunek Kulisiewicza zmienił się ogromnie. Stał się nieskończenie prostszy, bardziej skromny i szlachetniejszy. Czasem wrażenie niektórych rysunków osłabia pewna schematyczność geometryczna, jak np. w delikatnym miedziorycie "Gęsi", ale w całości ta wystawa ponad stu rysunków, ołówkiem, piórkiem, drzeworytów i miedziorytów — daje wyraz świeżej, autentycznej wrażliwości i wiernej czujności na walor, na linię. Artysta zaraża nas swoim przeżyciem przy rzadkiej oszczędności środków, bez śladu efekciarstwa. Może twarze Kulisiewicza, ci żołnierze maszerujący po ulicach, chłopki, ten przemawiający chłop chiński również, pejzaże z Pragi, z Bratysławy, z ostatnich dwóch lat, notatki piórem syntetyczne i jakże wierne w ewokacji zarazem — wydały mi się najlepsze.

Nieoczekiwane wrażenie robią bardzo delikatne lavis z ruin Warszawy. We wstępie Guy Dornand do katalogu wystawy jest podkreślone, że te ruiny Kulisiewicza to sztuka, która **piętnuje** jak Daumier, jak Picasso. Krytyk mówi o tańcu makabrycznym kamieni. Odniosłem zupełnie inne wrażenie. Pod delikatnym pędzlem Kulisiewicza te ruiny są delikatne, poetyczne i nawet pokrecone słupy latarni wyglądają jak w polu wyrosłe, wysmukłe badyle. Te lavis są prędeż w tradycji Piranesi'ego, tylko, że o wiele bardziej realistyczne i jakieś miękko zarazem, pozbawionej tej fantazji architektonicznej i tej ostrości wizji, która cechuje Piranesi'ego.

Naturalnie i w tej beczce miodu musi być łyżka dziegciu. A więc portrety nie tylko Lenina, Bieruta, ale i Dzierżyńskiego ("Patriote Polonais"), Passionarii itd. Z portretów oficjalnych tylko jeszcze portret generała Waltera robi wrażenie rysunku świeżego, nie na zamówienie. Specjalnie przyglądałem się

portretowi Dzierżyńskiemu. W tym rysunku jest i podobieństwo z fotografii i eleganckie uproszczenie, ale nic w nim nie czuć tego, co cechuje osobowość artysty, **stosunek** artysty do przedmiotu, który tak rzuca się w oczy i w pejzażach z Pragi i w twarzach chłopów, żołnierzy. Jakże trudne są zawsze zamówienia! Kiedy Czernański przed wojną robił niezliczone rysunki Piłsudskiego z fotografii, z pamięci, Piłsudskiego na Syberii, Piłsudskiego w młodości — było coś podobnego w tej gładkiej, zręcznej i nikogo nie mogącej wzruszyć linii.

Jakże trudno może dziś artysta w Polsce pracować pod stertą instrukcji, rozważań, teoretycznych wskazówek udzielanych przez zdancowskich ignorantów i gróźb. Kulisiewicz potrafił pomimo to swój piękny i rzetelny talent rozwinąć i dać dzieło skromne, głęboko ludzkie.

Jeżeli w tej atmosferze zdarzają się artyści zdolni tworzyć rzeczy wartościowe, jaka odpowiedzialność leży na nas, malarzach na emigracji. Nikt nie każe nam malować tak, czy inaczej, i wolno nam, jeżeli sobie życzymy nawet "chodzić na głowie".

W katalogu jest cały ustęp poświęcony *bohaterskiej walce Żydów w obronie ghetta z nazwiskami 24-letniego Mordochaja Asitowicza oraz Natana Rapaporta, który wybudował pomnik na cześć ofiar. Myślę o ghetcie, o jego tragicznym końcu, ze ściśniętym sercem i z czcią, ale dlaczego mówić o „ruinach” Kulisiewicza do czytelnika francuskiego, podkreślając TYLKO tragedię ghetta (nawet w notach biograficznych jest „Insurrection de Varsovie” pod datą 1943!), jakby nie istniała walka niemieńskiej tragiczna całej Warszawy w 1944, jakby 200.000 ludzi, którzy zginęli pod gruzami, rysowanymi przez Kulisiewicza się nie liczyło?*

J. Cz.

Nagroda pisarska SPK

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów dorocznym zwyczajem przyzna w sierpniu br. na Święto Żołnierza nagrodę pisarską w wysokości £ 100.0.0 za pracę literacką, publicystyczną lub naukową drukowaną ew. przedstawioną w rękopisie, reprezentującą kulturę polską wobec obcych. Praca może być napisana w języku polskim lub obcym.

Ze względu na statut nagrody, który przewiduje uwzględnienie również prac w rękopisie, SPK zwraca się do zainteresowanych nagrodą o nadsyłanie prac niedrukowanych (maszynopis) do dnia 1 lipca br. pod adresem: SPK, Zarząd Główny (Nagroda pisarska), 18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7., z podaniem nazwiska i adresu autora.

Książki

Pochwała powieści

Porównanie powieściopisarza z Panem Bogiem jest mocno ograne, ale nie wiem, czy zostało rozwinięte do kresu swych możliwości. W 54 nrze "Kultury" Juliusz Mieroszewski w uwagach o "Zielu na kraterze" Melchiora Wańkowicza za istotę powieści, a i sztuki w ogóle, uważa kompozycję. Bóg wszelako świata nie skomponował, lecz go stworzył. Nie ułożył tego co było, ale powołał do bytu coś czego przedtem nie było.

Mieroszewski — a zapewne i inni, którym też nie dosyć doświadczenia brak powieści godnej naszych czasów — chciałby zatrzeć granicę pomiędzy nią a pokrewnymi rodzajami: reportażem, autobiografią, pamiętnikiem. Granicę tę ostro wykreśla język angielski zaliczając gatunek "powieść" do rodziny "fiction". Fikcja, nie kompozycja — to "differentia specifica" powieści. Jej zdania, mimo swej budowy zdań orzekających, niczego nie orzekają, nie mają odpowiedników w rzeczywistości, niczego nie odbijają, wszystko stwarzają. Gdy czytamy: "Wśród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju, na pagórku niewielkim we brzoźowym gaju stał dwór szlachecki, z drzewa lecz podmurowany..." — wiemy, że nigdzie "naprawdę" nie ma tego pagórka, gaju, dworu, że to wszystko jest na niby. Powieść, jak "Anna Karenina", może się nawet zaczynać maksymą, która zdaje się odbijać "rzeczywistą" myśl "rzeczywistego" autora i która równie dobrze mogłaby otwierać felieton — a przecież czytamy ją tu zupełnie inaczej; podobnie dokumenty żywcem wcielone w "Popioły" mają tam zgoła inne i przeznaczenie i znaczenie niż by miały w dziele historyka. Nie obchodzi nas właściwie, czy maksyma jest celna, czy dokumenty — autentyczne, zaliczamy je i tak do świata fikcji, czytamy naiwnie, przyjmujemy wszystko na wiarę, należą tak Bogu jak i powieściopisarzowi.

Nie każdemu i nie zawsze łatwo to przychodzi. Spotyka się tak zwanych poważnych ludzi, którzy z zasady nie czytują powieści, wielu lekturę ich uważa za dość wstydliwą "odprężającą" zajęcie; odpycha ich od powieści konieczność chwilowego,

początkowego wyłączenia zmysłu krytycznego. Czujemy też często, że są sprawy, których powieściowe ujęcie traciłoby profanacją. Stąd zalew reportażowo-pamiętnikarskiej literatury o potwornościach ostatniej wojny — a niemoc w próbach nadania im beletrystycznego kształtu.

Ten fikcyjny, bajkowy, **niepoważny** na pierwszy rzut nieufnego oka charakter powieści wyróżnia ją od wspomnianych pokrewnych rodzajów i on jest podstawą jej uroku. Podstawą, nie samym urokiem. Dzieła Mniszkówny są równie "niepoważne" jak "Madame Bovary". O tym co powieść jest warta mówi dopiero łatwość, z jaką czytelnik zapomina o jej fikcyjnym, sztucznym założeniu, wiara, jaką autor umie wymusić, w rzeczywistość stworzonego przez się nierzeczywistego, "dodatkowego", jak mówi Proust, świata. Ów tylekroć wspominany czytelnik, co dawał na mszę za duszę śp. Longinusa Podbiپیęty, złożył Sienkiewiczowi hołd wspanialszy niż wszyscy krytycy.

Tak jak Bóg stworzył człowieka nie wtedy gdy go ulepił z gliny, lecz dopiero gdy tchnął w tę kukłę ducha — tak powieściopisarz z kuglarza staje się twórcą, gdy postaci jego, ulepione w niepoważnym świecie fikcji, zaczynają żyć w nowej rzeczywistości. Odwrotnie — reportaż. Ten staje się dziełem sztuki, gdy autentyczne fakty zostaną tak wybrane i skomponowane, że się zdumionemu czytelnikowi wprost wierzyć nie chce, że to "prawda". Nie kompozycja stanowi o czarze dobrej powieści, nie fikcja, która jest tylko jej istotną cechą wyróżniającą, ale cudowne przemienienie fikcji w nową rzeczywistość.

Wysoką godność nadaje powieści ten czyn stwórczy, którego w tak czystej postaci nie ma przy narodzinach reportażu czy pamiętnika. Dla chrześcijanina stworzenie jest dziełem miłości i prawda ta odnosi się zarówno do Pana Boga jak i do Anatola France'a. Doskonale ją ujął, choć nieco ścięśnił, Arnold Bennett mówiąc, że "istotną cechą prawdziwie wielkiego powieściopisarza jest Chrystusowe, wszechobjmujące współczucie".

Stworzenie jest także dziełem wyrzeczenia. Stwarzając świat — mówi Simone Weil — "Dieu renonce, en un sens, à être tout". Dając człowiekowi najhojniejszy dar Swej miłości — wolną wolę — Bóg ograniczył niejako Swą wszechmoc. I aż tu sięga zuchwała analogia z powieściopisarzem. Sienkiewicz zwierzał się, że jego postaci płatają mu figle zachowując się inaczej niż zamierzał. Balzac uważał je za bardziej rzeczywiste od swych znajomych i ich sprawy za ważniejsze od własnych, dla Conrad były sfinksami, których zagadek nie umiał rozwiązać. Prawdziwy powieściopisarz kryje się w dziele (Bóg jest też "Bogiem ukrytym"), "wyniszcza się", umiera samemu sobie, aby dzieło żyło.

Nie chcę przez to powiedzieć, by proza niepoważna musiała rodzić owoce niższego gatunku, by była niezdolna do miłości, która tworzy arcydzieła. Wystarczy pomyśleć o autobiografii św. Augustyna, notatkach Pascala, pamiętnikach Saint-Simona czy o współczesnych, obcych wszelkiej fikcji: Simone

Weil i Arnoldzie Toynbee'm — by uznać niedorzeczność takiej klasyfikacji. Chcę tylko podkreślić, że powieść ma szczególny przywilej pokrewieństwa ze Stworzeniem świata i że gdyby można sobie wyobrazić dwa utwory o równej skądinąd wartości, z których jeden tylko byłby powieścią — byłby on dziełem o ten przywilej bogatszym.

Takie absurdalnie teoretyczne rozumowanie za pomocą "ceteris paribus" może jednak odegrać pewną praktyczną rolę w krytyce literackiej, gdyż może służyć bardziej obrazowemu wypowiedzianiu pobożnych życzeń krytyka pod adresem współczesnej literatury, "postulowaniu" — jak się to nazywa w żargonie naszego dziwnego cechu.

Wracając do "Ziela na kraterze" i wkraczając na mało przetarty szlak "eksperymentu intelektualnego" — wyobraźmy sobie, że ta książka Wańkowicza jest powieścią. Mogłaby się nią stać — oczywiście tylko w sztucznych ramach naszego eksperymentu! — względnie łatwo. Podsuwając swego czasu niepodpisany rękopis "Szczeniych lat" Leonowi Piwińskiemu do oceny. Wańkowicz przemyslnie pozmieniał wszędzie w tekście swe nazwisko na "Wołodkowicz", kamuflując tym i swe autorstwo i potrosze autobiograficzny charakter książki. Tym sposobem, idąc oczywiście znacznie dalej, można sobie wyobrazić (tylko wyobrazić!) przerobienie "Ziela" na powieść. Jeszcze łatwiej "stałoby się" ono powieścią, gdyby się przełożyć na — powiedzmy — francuski, dać podtytuł: "roman" i poprzemieniać te szczegóły, które by nawet Francuzowi mogły się zdać podejrzanie "wzięte z życia"... Ten wysiłek wyobraźni powinna nagrodzić wizja — wielkiej powieści!

Użyłem mglistego słowa "wizja", bo wynikiem tej imaginacyjnej przeróbki może być, rzecz prosta, tylko przelotny błysk, który by musiał zaraz zgasnąć, gdyby ten pomysł potraktować poważnie. Jest on tak samo niewykonalny jak przerobienie księżycy na słońce. Ale wyobrazić sobie srebrny sierp księżycy, który by dawał ciepło i światło równe słonecznym — to nie przekracza granic ludzkiej wyobraźni.

To marzenie o współczesnej powieści — nie śmiećcie się, do brzy ludzie, z biednego krytyka — która by, podług pięknych słów Conrada, wymierzyła sprawiedliwość naszemu światu, wynika z niejednokrotnie już roztrząsanego kryzysu, jaki przechodzi dziś ten rodzaj literacki. Wydaje mi się, że kryzys ten związany jest z innym, głębszym: z odchrześcijanieniem naszej cywilizacji, które dopiero teraz, nie w sceptycznym wieku XIX, wieku wielkich powieści — sięgnęło dna. Bo wielka powieść może się zrodzić tylko z wielkiej miłości i wielkiego wyrzeczenia. A to są kamienie węgielne chrześcijaństwa.

Michał SAMBOR

List z Turcji

W ciągu bezmała tysiącletniej swej historii kultura turecka przeszła przez szereg przeobrażeń, które odzwierciedlają stopniowe krystalizowanie się narodu tureckiego, jako świadomego członka społeczności Zachodniej, choć z pochodzenia naród ten należał raczej do świata Daleko-Wschodniego. Wczesna turecka sztuka ludowa zdradza wyraźnie mongolskie pochodzenie, jest typowa dla odległego satelity, grawitującego w orbicie chińskiej cywilizacji. Posuwając się z Centralnej Azji i Turkiestanu w kierunku zachodnim, Turcy przejęli wzory i tradycję kulturalną Iranu: najstarsze zabytki poezji tureckiej zawierają tyle słów perskich, że są dzisiaj bardziej zrozumiałe dla badaczy perskich niż tureckich. Prawie równocześnie, z biegiem czasu w coraz większych dawkach poezja turecka przyswoiła sobie literaturę mahometańską, pisaną głównie w języku arabskim. Aż do 19-go wieku kultura turecka pozostała w zasadzie wierna tym kulturom Bliskiego Wschodu — perskiej i arabskiej — i nie wykazywała specjalnej ochoty do sięgania bardziej na Zachód po dalsze źródła natchnienia.

W Stambule, który w dalszym ciągu pozostaje (znacznie bardziej niż Ankara) ośrodkiem tureckiej literatury, pewien turecki uczony tłumaczył mi niedawno, że dla studiowania klasycznej literatury tureckiej potrzeba: dzisiaj znajomości około 30 tysięcy słów arabskich, około 15 tysięcy słów perskich i tylko około 5 tysięcy słów tureckich. Rzecz jasna przeciętny Turek, nawet wykształcony, nie ma czasu na tak zaawansowane studia filologiczne, i ledwo rozumie własną literaturę. Przez stulecia turecka literatura pozostawała domeną specjalistów, związanych z wyznaniowymi szkołami i uniwersytetami istniejącymi przy wielkich meczetach. Tureccy poeci i uczeni gardzili językiem i gwara prostych ludzi, odrzucali większość słów tureckich, zrozumiałych dla każdego, jako wyrażenia wulgarne, i zastępowali je bardziej wyszukanyymi czy uczonymi wyrazami perskimi lub arabskimi.

W XIX wieku tureckie koła literackie odczuły nareszcie konieczność reformy całej dotychczasowej koncepcji języka i literatury. Z początku naśladowano raczej niewolniczo francuskie szkoły, romantyczną i realistyczną. Przez dziesięciolecia czasopisma literackie Stambułu były zalane utworami naśladowców Lamartine'a i Flauberta. Po 1920 roku język turecki został nareszcie gruntownie zreformowany, i w tym nowym języku powstaje obecnie nowa literatura. Niestety trzeba stwierdzić, że dla wielu młodych poetów tureckich klasycy tureccy są jeszcze bardziej niezrozumiali, niż poezja Homera dla współczesnych pisarzy ateńskich.

Reforma języka zaczęła się od narzucenia przez Kemala nowego alfabetu łacińskiego, który zastąpił trudniejszy alfabet arabski. Jednocześnie, pod wpływem tegoż Kemala, specjalne komisje językoznawcze wyrugowały tysiące słów arabskich i per-

skich, jako przestarzałe, zastępując je nowymi terminami i zwrotami, przeważnie bądź żywcem, bądź w formie sturczzonej przejętymi z języków zachodnich, a przede wszystkim z języka francuskiego. Rozporządzając łatwiejszym alfabetem i językiem literackim, który przynajmniej stara się być dostępny, literatura turecka stara się obecnie dostosować do słownictwa i trybu myślenia przeciętnego wykształconego Turka. W ciągu ostatnich trzech dziesięcioleci lat ciężar reformowania języka i literatury spadł głównie na barki młodszego pokolenia tureckich poetów.

W ostatnich latach niewiele ukazało się powieści tureckich o niewątpliwych walorach artystycznych. Best-sellerami w Stambule, Ankarze i Ismirze (Smyrnie) były przeważnie tłumaczenia głośnych pisarzy zagranicznych, na szczęście znacznie częściej francuskich niż angielskich czy amerykańskich. W Turcji istnieje wielki brak wykwalifikowanych tłumaczy książek angielskich. Liczni wychowankowie szkół amerykańskich są głównie technicami, inżynierami, botanikami, rolnikami itd., którzy mogą płynnie wystawiać się po angielsku, ale bądź nie są w stanie, bądź nie mają ochoty tłumaczyć książek z angielskiego na literacki język turecki. Ze stu dwudziestu dzieł obcych, wydanych w tłumaczeniu tureckim przez jednego z wielkich wydawców konstantynopolskich w ostatnich paru latach, przeszło 90 tytułów było francuskich, a niecałe 20 wyszło spod pióra angielskich czy amerykańskich pisarzy.

Aczkolwiek powieść jest nadal najpopularniejszą formą produkcji literackiej w Turcji, nowela przybiera na popularności, i szereg młodszych poetów i prozaików na tym właśnie polu odnosi ostatnio triumfy. Jednym z najbardziej utalentowanych autorów noweli był Sabahattin Ali, urodzony w roku 1907, który został zabity w 1948 roku przy próbie przekradania się do Bułgarii. Ów S. Ali należał wraz z poetą Nazim Hikmet do grupy lewicowych pisarzy, którzy nie mogli pogodzić się z podyktaturą İsmet İnönü a skłaniali się coraz bardziej do stalinizmu. Nazim Hikmet spędził szereg lat w Rosji Sowieckiej i wprowadził do poezji tureckiej pomysły i technikę pisarską, zapożyczoną od Majakowskiego. Za rządów İnönü Hikmet został aresztowany i zwolniony dopiero po zmianie rządu. W roku ubiegłym Nazim Hikmet uciekł do Bułgarii, co dało powód do długiej debaty w parlamencie w Ankarze, w czasie której niektórzy przedstawiciele opozycji dowodzili, iż nie należało wypuszczać go z więzienia.

Sabahattin Ali zdołał oddać szczególnie trafnie atmosferę Pery, najbardziej zeuropeizowanej dzielnicy Stambułu, przepojoną nostalgią i neurastenią. Obok Sabahattina Alego do najbardziej cenionych współczesnych pisarzy tureckich należą Sait Fayik Abasıyanık, Orhan Kemal i Samim Kojagöz.

Utraciwszy w ten sposób dwóch czołowych pisarzy, którzy zaprzęgli się stalinizmowi, literatura turecka poniosła dalszą

stratę w roku 1950 przez zgon Orhan Veli Kanika, młodego poety. Do jego grupy poetyckiej należą także Melih Jewdet i Oktay Rifat. Orhan Veli Kanik, urodzony w roku 1914, zmarł zaledwie w wieku 36 lat, ale pozostawił szereg poematów, które będą drogowskazami dla dalszego rozwoju literatury tureckiej.

Edouard RODITI

Toponomastyka polska

Toponomastyka, czyli nauka o nazwach geograficznych istnieje od dość niedawna, a odznacza się między innymi tym, że choć jest gałęzią pomocniczą historii, to jednak — przynajmniej ostatnio — zajmują się nią głównie językoznawcy.

Nic w tym zresztą dziwnego, bo przecież nazwy własne, wszystko jedno czy osób czy też terenów, należą do języka równie dobrze jak wszystkie inne słowa. W wielu wypadkach łączność nazwy geograficznej z żywą mową jest jasna i dziś. Każdy rozumie co znaczy Zakopane, Kamienna, Białystok, Stanisławów (od Stanisława Potockiego, który zginął pod Wiedniem), czy wreszcie Lwów (od księcia ruskiego Lwa).

Niekiedy jednak nazwy miejscowe są jak gdyby skamienielinami, które kiedyś, gdy powstały, były jasne dla każdego, ale dziś już ich przeważnie nie rozumiemy, czasami dlatego, że je przekrecono, ale przeważnie dlatego, że słowo, od którego zostały utworzone wyszło z użycia, jak np. Igołomia (porównaj rosyjskie igo — jarzmo). Albo też bywa, że nie tworzymy dziś już nazw w taki sposób. I tak Poznań nazwano od właściciela imieniem Poznan (to jest "poznany"), przez dodanie końcówki — j, oznaczającej w tym wypadku posiadanie. A więc Poznań jest grodem Poznana, tak jak Lwów grodem Lwa, jak Jarosław (bo mówimy: w Jarosławiu), jest grodem Jarosława. A że po dźwięku r nie wymawiało się po polsku rj tylko rz (Rosjanie mówią rjeka, my — rzeka), więc od imienia Sędimir mamy nazwę Sędomierz (dziś przekreconą na Sandomierz, bo leży nad Sanem, i nawet dorobiono do tego legendę, że niby w tym miejscu San "domierza" do Wisły!), tak samo od króla Kazimira mamy miejscowość Kazimierz.

Wszystkie te nazwy pochodzą od znanych nam słów, a tylko sposób tworzenia ich jest nam dziś obcy. Podobnie Bronowice pochodzą od imienia Bron(ek), Węgrzynowice od Węgrzyna czyli Węgra, a Podśędkowice koło Rawy od jakiegoś podśędk. Ze źródeł historycznych dowiadujemy się, że dana wioska założona została przez jakiegoś Bronisława i że jego synowie (albo też pańszczyźniani chłopci, którzy uważani byli za

"dzieci" swego pana), nazwani zostali zbiorowo Bronowicami itp.

Zbadaniem nazw tego typu zajął się niedawno profesor Taszycki¹⁾ omawiając dwa typy nazw na Mazowszu (w jego granicach w wieku XVI), a mianowicie nazwy kończące się na -ice (np. Bronowice), oraz nazwy kończące się na -ęta (np. Babięta, Maćkowięta). Co do pierwszego typu istniało przekonanie oparte na wypowiedzianym jeszcze w r. 1873 zdaniu wybitnego historyka. T. Wojciechowskiego, że na Mazowszu nazw takich jak Bronowice nie ma. Ale prof. Taszycki obejrzał dokładnie mapę, przejrzał pewną ilość dokumentów historycznych i stwierdził, że Mazowsze w nazwy takie jest wcale bogate. Przynajmniej ta część Mazowsza, która leży na zachód od Wisły, poniżej Warszawy, oraz na północ od Wisły, a na zachód od linii Warszawa—Pułtusk—Przasnysz, ale i w pozostałej części Mazowsza nazwy takie się spotykają, choć rzadko. W niektórych powiatach ilość nazw na -ice dochodziła w w. XVI według obliczeń prof. Taszyckiego do 14% ogólnej liczby miejscowości, a więc było ich wprawdzie mniej niż w Małopolsce (ok. 8%).

Jeśli chodzi o nazwy na -ięta, to prof. Taszycki wykazuje, że i one są nazwami patronimicznymi, to znaczy, że o ile ojciec nazywał się np. Stanko lub Maćko, to synowie nazywali się Stankowięta czy Maćkowięta (podobnie jak mówimy dziś: wilk — wilczęta, kot — kocięta). W XVI w. podobny sposób nazywania stosowano i do ludzi. A jak z Maćkowięta, dzieci Maćka, nazwa wsi? Było to tak: oto na przykład pewien Maciej Sikora był właścicielem wsi, która też i nazywała się Sikory. Podzielił on wioskę między sześciu synów: Pawła, Bartłomieja, Tomasza, Piotra, Wojciecha i Jana. A każdy z nich założył osobną osadę i do dzisiaj wieś Sikory ma sześć części: Pawłowięta, Bartkowięta, Tomkowięta itd. Tak samo i inne wioski: Podsędkowięta, od pewnego podsędka, o którym wiemy, że żył w połowie XV wieku; Fałenty, dawniej Fałęta czyli Chwałęta (ojciec był jakiś Chwałibóg albo Boguchwał).

Nazwy na -ięta nie istnieją poza Mazowszem, a raczej zdarzają się obficie w jednym tylko miejscu koło Ciechanowa i Przasnysza, oraz sporadycznie w Prusach Wschodnich. Co ciekawsze, olbrzymia ich grupa, bo koło osiemdziesiąt wiosek znajduje się lub znajdowało w XVI wieku na zachód lub południowy zachód od Białegostoku, a więc na Podlasiu. Wiemy, że Podlasie, to ziemia dawniej ruska (nazwa Podlasie nie ma nic wspólnego z lasem, w przeciwieństwie do nazwy Polesie. Podlaszanie siedzieli "pod Lachami", czyli pod granicą polską). A więc, wynika z tego, że to Mazurzy ją głównie skolonizowa-

1) Witold TASZYCKI. Patronimiczne nazwy miejscowe na Mazowszu, z mapą. 105 str. Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1951. Nakład 600 egzemplarzy.

li, co wiadomo i skądinąd, ale co ciekawsze — skolonizowali ją właśnie Mazurzy spod Ciechanowa i Przasnysza.

Jeszcze jedna okolica, gdzie ten typ się pojawia to Bojkowszczyzna. Prof. Taszycki cytuje pracę wielkiego ukraińskiego uczonego z końca XIX i początku XX wieku, Iwana Franko, z której to pracy wynika, że istnieją, a zwłaszcza istniały w XVI wieku na wschód od Sanu nazwy takie, jak Kocowięta, odpowiadające polskiemu nazwom na -ęta (tak samo: kocięta = kotiata, szczenięta = szczeniata), a stanowiące 20% ogółu nazw. Co ciekawsze, na Łemkowszczyźnie, a więc na zachód od Sanu, nazw takich prawie nie było, a na Huculszczyźnie zupełnie ich brak. Wskazywało by więc to zapewne na kolonizację mazurską w tej właśnie części dawnej Rusi Czerwonej. W każdym razie Mazurzy ci najzupełniej się zukrainizowali. Oczywiście, że dla podparcia tej hipotezy należało by odnaleźć dowody historyczne (dokumenty), a także etnograficzne i gwarowe, ale widzimy już na tym przykładzie, jakie mogą być rezultaty badań toponomastycznych.

Książka prof. Taszyckiego jest zaopatrzona w przejrzystą mapę, na którą naniesiono nazwy typu Bronowice i nazwy typu Maćkowięta, co pozwala zorientować się na pierwszy rzut oka, gdzie koncentrują się dane nazwy. Szkoda tylko, że wyliczając nazwy na -ięta, autor nie dorzucił przy każdej z nich imienia czy nazwiska, od którego nazwa powstała, tak jak to zrobił dla nazw na -ice. Tak na przykład skąd się wzięły Burzęta, Duszęta i Kuleszęta (dziś Kulesze)? Czy od przezwisk Burza, Dusza i Kulesza?

O ile praca prof. Taszyckiego jest wyłącznie próbą syntezy, opartą na dawno już opublikowanych (choć nie zauważonych) materiałach, to niedawno wydane książki profesorów Stieberta²⁾ i Hrabca³⁾ są tylko zbiorem materiałów. To "tylko" nie oznacza zresztą, że są mniej cenne. Raczej przeciwnie, bo takie na przykład zebranie i opracowanie nazw geograficznych Huculszczyzny kosztowało kilka lat pracy, no a żadna synteza się nie uda, o ile wprawdzie nie zbierze się do niej odpowiednich materiałów. Warto dodać, że obie prace nie są zbiorem materiałów *brutto*. Obaj autorzy starają się wyjaśnić nazwy geograficzne językowo i historycznie, a Hrabec poza tym przedstawia swój materiał w bardzo skomplikowanej klasyfikacji, omawiając najpierw nazwy wód, potem nazwy gór, a wreszcie nazwy osiedli i dzieląc je z kolei na działy i poddzia-

2) Zdzisław STIEBER. Toponomastyka Łemkowszczyzny, część I, Nazwy miejscowości, str. 78 (małego formatu), Łódzkie Tow. Naukowe, Łódź 1948. Część II, Nazwy terenowe, str. 113, Ł.T.N., 1949. Nakład 1.000 egzemplarzy.

3) Stefan HRABEC. Nazwy geograficzne Huculszczyzny, str. XI-264, Prace Onomastyczne P.A.U. nr. 2, Kraków 1950. Nakład 600 egz.

ły. Dla swej pracy przeszedł on osobiście w latach 1934-38 większość wsi huculskich, zbierając nazwy z ust mieszkańców, po czym zbadał wszystkie dostępne materiały pisane (akta końca XVII i XVIII wieku), oraz drukowane (przedruki starych akt poczynając od XV w.), wykorzystał wreszcie Słownik Geograficzny oraz mapy W.I.G. z lat 1933-35. Książka obok 50 stron gruntownego i solidnego wstępu (z bardzo cennym, bo naukowo opracowanym słowniczkiem terminów topograficznych huculskich) zawiera przeszło 2.000 nazw miejscowych. Książkę zamyka zwęższy, ale ważny rozdział poświęcony wnioskowi. Wynika z niego, między innymi, że większość osad huculskich jest stosunkowo późnego pochodzenia, choć o ośmiu wsiach wiemy z dokumentów, że istniały już w XV wieku, w tym Żabie, Kosów i Pistyn znany z dokumentu wydanego w 1424, w którym wspomniane są też rzeki Czeremosz, Rybnica i Pistynia. Jeden tylko Prut wspominany jest już przez pisarzy starożytnych, nazwa to podobno scytyjska, ale nie znaczy to wcale, żeby Scytowie byli przodkami Huculów. Nazwa mogła powstać gdzieś na stepach u ujścia Prutu i później o wiele dostać się w górę rzeki.

Ciekawym działem są wpływy rumuńskie na nazwy geograficzne Huculszczyzny. Wpływy rumuńskie widoczne są nie tylko w nazwach gór, potoków i lasów, ale też i w gwarach, i to wzdłuż całych Karpat aż po Śląsk. Takie słowa, jak watra, baca, żentyca lub koliha, które spotykamy na przykład w Tatrach, znane są też każdemu Rumunowi. Widzimy, że chodzi tutaj o terminy pasterskie. I rzeczywiście, wędrowni Rumunów wzdłuż Karpat związane były ściśle z pasterstwem, a ślady tego mamy rozsiiane po całym tym obszarze. Takie nazwy jak Magura, Przysłop, Kiczora, Strąga i Strążyska, Munczel lub Munczel (od słowa muncel — górka, porównaj munte — góra), spotykają się w Karpatach rumuńskich i ciągną się górami aż po Morawy. "Charakter" toponomastyczny Karpat jest już w dużej mierze zbadany. W 1929 r. ukazała się praca o nazwach Karpackiej Ukrainy, a w 1939 r. praca ukraińskiego językoznawcy, Jarosława Rudnickiego, o nazwach Bojkowszczyzny, a teraz książki Hrabca i Stiebera. Ten ostatni zrobił na mniejszą skalę to samo co Hrabec. Tylko, że więcej uwagi poświęcił nazwom gwarowym, a dopiero potem dorzucił do nich pewną ilość materiału historycznego. Łemkowie byli do roku 1945, gdy ich po barbarzyńsku wysiedlono do Sowietów, najbardziej na zachód wysuniętą grupą ukraińską. Materiały zebrane przez prof. Stiebera, zdają się wskazywać na to, że w zachodniej części Łemkowszczyzny osiadła tam jeszcze przed przybyciem Łemków (XIV-XVI wiek) nieliczna ludność mówiąca po polsku. To, że była ona nieliczna, tłumaczy jej ukrainizowanie się językowe. Natomiast na wschód od przełęczy Dukielskiej nazwy pochodzenia polskiego ograniczają się do dwóch czy trzech, i to późnego pochodzenia.

Niektóre nazwy pochodzenia rumuńskiego oraz parę imion rumuńskich w dokumentach (Dźurdź, Koman, Dragosz-Dra-

husz), wskazują — zdaniem Stiebera — na to, że wśród osadników w XIV-XVI wieku byli też Rumuni. Jednakże dawno już zwrócono uwagę, że fakt istnienia na przykład w Tatrach nazw rumuńskich nie dowodzi jeszcze, że Rumuni dotarli aż tak daleko. Podobnie — choć Londyn i Jork są nazwami pochodzenia celtyckiego — to przecież ani Nowy Jork ani żadna z licznych miejscowości London w Ameryce nie zostały założone przez Celtów⁴⁾. Innymi słowy, przypuszczano nieraz, że takie słowa jak baca czy żentyca i takie nazwy jak Magura przynieśli w Tatry zruszczeni już potomkowie Rumunów — pasterze łemkowie, no a do Łemków być może równie zruszczeni Rumuni bardziej ze wschodu. Oczywiście, kwestia ta jest bardzo trudna do rozstrzygnięcia. Bo na przykład i dziś słowiańscy zupełnie i nierumuńscy już Górale mają wiele słów rumuńskich i od nich, a nie z języka rumuńskiego, wzięły się w polskim języku literackim słowa baca, żentyca itd. Ci potomkowie Rumunów mogli też nosić nadal nazwiska rumuńskie, jak to dzieje się do dziś na Huculszczyźnie. Niewątpliwie takim imieniem rumuńskim wymawianym z ukraińską było Drahusz (ale czy zapisano w dokumencie wymowę posiadacza nazwiska czy skryby?). Wiemy z dokumentów o wsiach zakładanych "na prawie wołoskim" w dawnej Rusi Czerwonej, a nawet poza nią. W dokumentach tych spotykamy się też oczywiście z różnymi "Wołochami", ale oczywiście nie dowodzi to, że mówili oni po rumuńsku. Naliczono takich osad — i to zarówno na Podkarpaciu jak i na Podolu i pod Lwowem — przeszło 300, ale z tego tylko siedem ma nazwy pochodzenia rumuńskiego, a trzy mają nazwę słowiańską, ale z dodatkiem "Wołoski" (np. Bolechów Wołoski), co dowodzi tylko, że były założone na prawie wołoskim.

Otóż, o ile nazwa Magura, którą spotyka się bardzo obficie w całych Karpatach, mogła zostać przeniesiona jako nazwa góry aż w Tatry przez pasterzy słowiańskich, nie rozumiejących już jej pierwotnego znaczenia (podobnie jak jakiś np. Lwów w Ameryce nie nazywa się oczywiście od księcia Lwa, tylko od Lwowa), to z drugiej strony, skoro słowo strąga (rodzaj zagrody dla dojenia owiec), istnieje do dziś w gwarze Podhala, no to jasne, że taką nazwę jak Strążyska itp. mogli nadać górze czy dolinie polscy Górale, a nie jacyś dawni Rumuni.

Zupełnie inaczej sprawa przedstawia się na Huculszczyźnie, nie tylko dlatego, że gwar huculska pełna jest najcodzienniejszych słów rumuńskich, ale też i nazwy terenu są tego rodzaju, iż wydaje się, że pasterze, którzy je nadawali, mówili oboma językami. Częste są na przykład słowa rumuńskie z ukraińską końcówką (Padurowatyj, od padure — las), i od-

4) Nowy Jork założony został, nawiasem mówiąc, przez Holendrów i nazywał się początkowo Nowym Amsterdamem, co dowodzi że należy być ostrożnym z wyciąganiem wniosków o kolonizacji na podstawie samych tylko nazw miejscowych.

wrotnie (np. Bahnyszora). A z drugiej strony zdarzają się nazwy, które mogli nadać tylko ludzie, mówiący po rumuńsku: Akra (= kwaśna, nazwa potoku). Dzisiaj takie nazwy są już niezrozumiałe i na przykład nazwa *ascuns* (lub *ascunsa*) — ukryty, schowany (potok) przekrecono na Łaskundza lub Łaskunka (!).

Co najmniej dwie nazwy tego ostatniego typu znajdują się i na Łemkowszczyźnie: **Ratunda** pod Gładyszowem, pow. Gorlice. Góra ta, jak podaje Stieber, jest rzeczywiście okrągła, a poza tym widoczna z daleka, można by więc ostatecznie przypuszczać, że przeniesiono na nią nazwę jakiejś znanej góry bardziej na wschód położonej. Ale takiej, zdaje się, na terenach słowiańskich bardziej na wschód nie ma, a więc chyba ci, co ją nazwali mówili jeszcze po rumuńsku. To samo z nazwą wsi, od nazwy potoku, **Repit** w pow. sanockim, a to z rumuńskiego *repede* — bystry. A wreszcie **Jawurysz** (z akcentem na *ysz*), który dowodzi chyba o dwujęzyczności tych, co nazwę nadali. Bo podobnie jak Karpaty słowiańskie obfitują w Jaworzyny i Bukowiny, tak Karpaty rumuńskie w miejscowości o nazwie **Mestecanis** (Brzozów), **Paltinis** (paltin — jawór), **Bradis** (brad — jodła) lub **Carpinis** (carpin — grab). Ten ostatni zawędrował aż na Huculszczyznę (Karperysz). A więc Jawurysz w powiecie Lesko to, podobnie jak Bahnyszora na Huculszczyźnie, słowo słowiańskie z końcówką rumuńską.

Gdy będziemy mieli dokładniejsze studia tego rodzaju także z Karpat językowo polskich, to będziemy mogli ocenić czy i tam są jakieś ślady językowe, które dowodzą obecności Rumunów. Wydaje się to wątpliwe, ale nie należy zapominać, że o ile istnienie takich nazw jak *Repit* czy *Jawurysz* dowodzi dotarcia Rumunów aż w te okolice, o tyle brak dowodów nie może być argumentem rozstrzygającym, a tylko daje pewne prawdopodobieństwo, że nie dotarli.

Badania dialektów, a także badania nazw miejscowych mogłyby się jednak przyczynić do rozwiązania tego problemu. W tym celu przydałby się niewątpliwie atlas toponimiczny Karpat z przyległościami. Musiałby on wyglądać w ten sposób, że na każdą nazwę lub typ nazwy przypadałaby jedna mapa. Dzięki temu zobaczylibyśmy nie tylko — co jest zupełnie jasne — że największe skupienie nazw rumuńskich znajduje się na wschodzie (na mniej więcej 1.300 nazw zapisanych przez Stieberta niecałe 5% jest pochodzenia rumuńskiego), ale też poznalibyśmy rozprzestrzenienie pewnych nazw, których się nie uważa, jak dotychczas za nazwy pochodzenia rumuńskiego, ale które zdają się łączyć geograficznie z zasięgiem nazw, których pochodzenie rumuńskie nie ulega wątpliwości (np. Zawoja, Roztoka, czy wreszcie Dół/Dział). Taki atlas, o którym na razie można tylko marzyć, pozwoliłby na "charakterystykę" toponimiczną poszczególnych obszarów, a skonfrontowanie go z ewentualnymi atlasami Polski, Ukrainy, Rumunii i Czechosłowacji umożliwiłoby dopiero wyciągnięcie szeregu bardziej ogólnych wniosków, któ-

rych oczywiście z góry nie da się przewidzieć, wniosków w rodzaju tych, które wyciągnął w swej książce prof. Taszycki. Pozwoliłoby to też zapewne na rozstrzygnięcie i z której części Rumunii przywędrowali pasterze-kolonizatorzy i jak daleko dotarli.

Dla szerszej publiczności badania te są nie tylko reliktem tradycji długowiecznej, świadczą one także, że dawne wspólnoty ziem i szczepów zostały utrwalone i ostały się w świadomości nauki. Oprócz źródeł ogłoszonych drukiem decydujące są tutaj wędrowki po terenie. W obecnych warunkach zostały one, jak wiemy, wstrzymane na lata. Jeśli przez najbliższe 20 lat, któryś z uczonych nie odwiedzi skupisk pochodzących z Karpat dipisów w Europie lub Ameryce, to wobec zacierania się nazw, a nawet przenoszenia całych plemion, nigdy już nie będzie można tych badań uzupełnić ani pogłębić.

Na zakończenie kilka uwag i przyczynków natury bardziej "technicznej". Stieber, I, 26: **Łabowa**. Może od przezwiska *Łaba* (= łapa), słowo rumuńsko-węgiersko-karpaccie. II, 24. **Fataloszka**. Może ma coś wspólnego z *fetelusa* (dziewczynka), zdrobniałe od *fata*. — Praca prof. Hrabca odznacza się podziwu godną rzetelnością i ostrożnością. Tylko w kilku wypadkach na 2.000 omówionych nazw dał się on ponieść tak niebezpiecznej dla językoznawców pokusie znajdowania etymologii za wszelką cenę. Jeżeli omówimy tylko te wypadki, to dlatego, że wyjaśnienia poprawne mówią oczywiście same za siebie. Tak więc str. 98: **Arđan** może raczej od *Arđan* (święto Jordan)? Str. 102: **Radu** chyba nie trzeba wywodzić od *radu* — (po rumuńsku — gaj). *Rad* i *Radu* to imię częste w starych aktach rumuńskich. Jest też dziś jeszcze nazwisko *Radu* w *Kutach*. Str. 143: Związywanie nazwy **Pursega** z *porcutor* wydaje się wątpliwe. Istnieje nazwisko *Pursega* właśnie w *Hołowach* i chyba to od niego pochodzi nazwa *grunia*. Str. 160: **Hedia** (nazwa góry), porównaj węgierskie *hegy* (góra). **Tekucza**, str. 193, nie z rumuńskiego, bo byłoby *Tekuta*, a od *tekuczyj* — ciekawcy. Str. 217: **furcitură** oznacza też w górach rumuńskich zbieg dwóch dolin górskich, co się tu chyba bardziej nadaje. Str. 219 **Foszewa** mogłaby być od *Focha*, ale przecież nie od imienia huculskiego i rumuńskiego *foka* (byłoby *foczewa*). Str. 199: **Porkirec**, chyba raczej od rumuńskiego *porcuret*, albo w liczbie mn. *porcureti* (świniarze). Porównaj *Dealul porcuretilor* w departamencie *Somes* na południowej granicy *Marmaroszu*. Str. 84: **Bereźnica**. Autor uległ sugestii nazwy polskiej, bo po huculsku jak sam notuje jest *Bereźnica*, a więc chyba od *berehy* — brzegi (tak jak *Bereźany-Brzeźany*). Wystarczy obejrzyć ten przysiółek, mieszczący się w długim jarze potoku *Bereźnica* o wysokich brzegach. — Niektóre pomyłki spowodowane są niewątpliwie brakiem odpowiednich słowników, jak choćby słownika gwar rumuńskich. Trudno też wiedzieć z góry, że słowo *argilos* jest w rumuńskim nowym zapożyczeniem z francuskiego, a więc *Arđeluza*, str. 83, nie może chyba pochodzić od niego (może od *Ardeal-Siedmiogród*, po huculsku *Arđil*?). Tak samo nie należy przypisywać ukraińskiemu językowi literackiemu słów gwarowych tylko dlatego, że się znajdują w słowniku *Hrinchenki*, a tym bardziej, gdy spotyka się w słownikach zachodnio-ukraińskich takie słowa, jak *kurtyj*, *gaura* (wyłącznie chyba huculskie), lub *falcze* (rumuńska nazwa gruntu). Z drugiej strony nie ma potrzeby cytować ogólnoukraińskiego *jadernyj*, skoro huculski zna *jedernyj* — ochoczy, dziarski, ruchliwy (*Bystrzec*). Pewne błędy usunęłaby też bliższa znajomość terenu. Tak *Kiedrowaty Pohoriwka*, to dwie nazwy związane przez autorów map. *Kiedrowaty* jest lasem *kiedrowym*

(limbowym) i to nawet nie na stokach Pohoriwki, tylko Munczela (por. Na Wysokiej Poloninie, str. 222). Kizia, str. 120, (a nie Kicia), to potok płynący z Kizich Ulohów (str. 176). Maryszewska brzmi po huculsku Maryszeska, więc i końcówka rumuńska. Szczyt **Rozszybeniek** wystarczy zobaczyć, by zrozumieć, że pochodzi od huculskiego rozszybnuty sy — roztrzaskać się. A wreszcie cytata z Czeremszy (str. 131) na poparcie tezy, że **małewa** jest słowem pospolitym (appellativum), niczego nie dowodzi, bo Czeremszyna lubi cytować śpiewanki i koledy, i dany urywek jest napisany najwyraźniej językiem koledy. Również gwary mają, obok codziennych, i elementy stylistyczne "literackie" i do takich należy język koled, śpiewanek albo — w innym rodzaju — zaklęć. Dlatego teksty takie są niebezpieczne dla dialektologów. W swych wnioskach końcowych prof. Hrabec ze zdrowym krytycyzmem wyodrębia szereg nazw stworzonych przez romantycznych turystów (np. Słoń w Jaremczu). Ale, czy należy tu zaliczać też nazwy Popadia i Popiwan? Jeszcze jeden szczyt Pop Iwan (1940 m.) znajduje się w niezbyt dostępnych górach Marmaroskich na południe od Bogdanu na samej dawnej granicy czesko-rumuńskiej, a Popadia nazywają Huculi liczne Baby kamienne, których kwintesencją rumuńską jest Baba Odochia (znana na Huculszczyźnie jako Odokia-Jewdocha), demon złej pogody marcowej. W Karpatach rumuńskich, koło Ceahlau jest nawet skała-baba, którą tak nazywają. Na Huculszczyźnie nazywają Popadia Odokia właśnie największą z tych bab, znajdującą się u źródeł Czeremoszu. Natomiast **Owidowa Góra** vel **Owidiusz** (str. 172), to chyba nazwa nadana nie tyle przez turystów, ile przez jakichś romantycznych inteligentów, bo trudno ją wywodzić od noworumuńskiego imienia Ovidiu, nieznanego chyba ludowi rumuńskiemu. Na zakończenie kilka uzupełnień: str. 74: **Punczela**, chyba jednak od **puntecela** (dziś **puntecea**) "most, siodło górskie", tak jak **munczel** z **muntecel**. Str. 103: **Szuryn** może jednak od huculskiego **szuryn** — szwagier? Str. 112: Czy **Grodzyn** na pewno od **Groza**? Bo wprawdzie dz. przechodzi w rumuńskim w z, ale nie odwrotnie. Ale porównaj **Dzembrozia** wobec **Zimbroaia**. Str. 120: **Małowaty**, chyba od rumuńskiego **mal** — brzeg. Str. 146: **Salatruk** istnieje też jako nazwa góry w Karpatach rumuńskich, o 85 km na południe od Stohu (dawnej granicy polsko-rumuńsko-czeskiej). Str. 149: **Senina** może nie ma nic wspólnego z **siną**, a tylko z rumuńskim **senin** — spokojny, łagodny. Jeżeli to rzeczywiście ta sama nazwa, to może upodobniono do zrozumiałego **siny**. Str. 160: **Dancysz** ma niewątpliwie związek z huculskim **danc** — taniec (z rumuńskiego), ale i końcówka rumuńska, bo po huculsku mówi się **Dancysz**, **Dancysza**. Str. 184: **Luczna**, czy nie od rumuńskiego **luciu** — jasny itp. **Pantyrysz** — to niewątpliwie stara forma rumuńskiego **Paltinis** (Jaworzynka, por. str. 88), por. **Karperysz** (dziś **karpiński** **Carpinis**). Jest to jedna z najczęstszych nazw w górach marmaroskich na południe od Huculszczyzny. **Podrowatka** zapisana w dokumencie z 1788 może być **Podurawatka** (desista, por. **Padurawaty**). Str. 224: Wiele **Dora** (u Szuchiewicza **Dorà**) może ma coś wspólnego z podanym przez Szuchiewicza (III. 251) słowem **dorà** "pokrajane kawałki paski", które się rozdaje bodajże na święcone (słowo istnieje też w Bystrzcu). Porównaj rumuńskie **a donà**, starorumuńskie **dorà** — ofiarować. — W słowniczku nazw topograficznych warto było zaznaczyć etymologię rumuńską słów: **dżega** (śmiecie leśne zostało po wyrębie) od **jeg** (brud), str. 36; **Kaszyc** str. 38 od **casita**, a to od **casa**; **rypa** oczywiście rumuńskie (ripa, pisane też rapa, zabawne, że prof. Hrabec dostrzegł związek z łacińskim ripa, a nie odnalazł słowa rumuńskiego).

Andrzej VINCENZ.

Pamiętniki «czerwonego» Bismarcka

Henryk hr. Einsiedel, po matce prawnuk Bismarcka, dostał się do niewoli sowieckiej 30 sierpnia 1942 r. jako porucznik lotnictwa niemieckiego. Liczył wówczas lat 21. W dn. 7 grudnia 1948 r. wystąpił z SED i przeniósł się na stałe do zachodnich Niemiec, zrywając z komunizmem. Jego pamiętniki obejmują okres owych 6 lat współpracy z Sowietami.

Pamiętnik Einsiedla jest historią zawiedzionych nadziei. W obronie autora można powiedzieć jedno: w okresie, kiedy młody człowiek zdobywa wykształcenie i kształtuje swój pogląd na świat, Einsiedel, zamiast studiować na jednym z europejskich uniwersytetów, uczęszczał na kursa Antyfaszystowskiej Akademii. Dzięki temu jego poglądy na cywilizację zachodnią są płytkie, naiwne i ignoranckie.

Konflikt duchowy, który stanowi treść omawianych pamiętników — jest konfliktem Gomułki, Tity i tych wszystkich, którzy ludzili się, że każdy naród ma prawo do swojej własnej drogi do socjalizmu. Tymczasem, komunizm jest tylko jeden — tj. rosyjski. Komunizm polski, niemiecki czy jugosłowiański nie jest komunizmem lecz faszyzmem, zdradą, odchyleniem, zbrodnią.

Dzieje wschodnich Niemiec i ich kolebki, tj. Komitetu "Freies Deutschland" — stanowią klasyczną ilustrację budowy reżimu satelickiego. W konstruowaniu państwa satelickiego władze sowieckie opierają się na dwóch kategoriach ludzi. Pierwsza grupa, to zawodowi komuniści moskiewscy jak W. Pieck czy "nasz" Bierut. Ci ludzie od lat służą Moskwie i bez względu na stanowisko jakie w danej chwili zajmują — reprezentują zawsze tylko Moskwę. To jest kasta zawodowych komunistów rosyjskich pochodzenia niemieckiego, polskiego, czeskiego itp.

Drugą grupę stanowią karierowicze, którzy nie mają przekonań politycznych, ani żadnych innych. Ludzie ci służą wiernie i ślepo, zarówno pod wpływem strachu jak i z chęci zysków i przywilejów. Do tej grupy we Wschodnich Niemczech należy wielu byłych dostojników SS, wyższych wojskowych, urzędników itd.

Miedzy tymi dwiema grupami, jak w pośrodku obcęgów — wije się masa kolaborantów i sympatyków, którzy dyskutują, rozważają i pielęgnują złudzenia. W pierwszym okresie satelickiego ząbkowania ta grupa cieszy się względami i pewną swobodą.

Einsiedel wystawia fatalne świadectwo generałom niemieckim.

EINSIEDEL (Heinrich von), *Journal d'une tentation*. Ed. René Julliard, Paris, 1952. Cena 690 fr.

Heinrich Graf Einsiedel — "Tagebuch der Versuchung". Pontes Verlag, Berlin-Stuttgart.

Posłuszni Hitlerowi, realizujący jego samobójcze plany strategiczne, okazali się całkowicie niezdolni nie tylko do spisku czy buntu, ale nawet do samodzielnego myślenia. Koncepcja obalenia Hitlera, zawieszenia broni i uratowania armii niemieckiej od zagłady — zawiodła, a wieloletnia działalność propagandowa Komitetu "Wolnych Niemców" nie przyniosła najmniejszych nawet rezultatów. Einsiedel i dziesiątki jego kolegów — jeździli na różne odcinki frontu, zrzucaли ulotki, przemycali agentów, przemawiali przez polowe radiostacje — wszystko na próżno. Nawet tam, gdzie armie niemieckie były całkowicie okrążone, jak pod Czerkasami — do końca więcej Rosjan przechodziło na stronę niemiecką, niż Niemców na stronę rosyjską. Żołnierze sowieccy, którzy przechodzili do okrążonych dywizji niemieckich zeznawali, iż nie dawali wiary wieściom, jakoby Niemcy mieli być okrążeni, natomiast jeńcy niemieccy zeznawali, że w szeregach armii niemieckiej nikt nie wierzy w istnienie Komitetu "Wolnych Niemców" i powszechnie uważa się, że jest to podstęp sowieckiej propagandy.

W rezultacie, władze sowieckie Komitet rozwiązały. Po zakończeniu działań wojennych repatriacja odbywała się według klucza "przydatności". Obowiązywała zasada ustalona przez Ulbrichta, że niemieckich faszystów dość jest w Niemczech i nie ma powodu przywozić ich jeszcze z Rosji.

Granica na Odrze i Nysie była ciosem dla wszystkich. Tylko grupa zawodowych niemieckich komunistów przyjęła tę wiadomość z całkowitą obojętnością.

Jakie cele miała na oku polityka sowiecka, oddając Polsce te ziemie? Einsiedel twierdzi, że Sowietom przyświecał cel dwojaki. Po pierwsze — Polska nie jest w stanie obronić tej granicy bez poparcia Rosji. Rok 1939 wykazał — pisze Einsiedel — że gwarancje Zachodu są bezwartościowe dla Polski, gdy znajduje się ona w konflikcie z Niemcami nie dysponując w danej chwili poparciem rosyjskim. Prawnik Bismarcka zwraca się personalnie pod naszym adresem, tj. pod adresem emigrantów polskich w Londynie i tłumaczy nam, że każda polityka, zmierzająca do utrzymania granicy na Odrze i Nysie musi być, siłą faktu, polityką pro-rosyjską. Albowiem każdy rząd niemiecki, który nie będzie rządem komunistyczno-satellickim — wypowie się przeciwko tej granicy.

Jeżeli chodzi o Niemcy, cel sowiecki obliczony jest na dłuższą metę. Oderwanie tych obszarów od Niemiec — zdaniem autora — musi w konsekwencji spowodować takie trudności natury gospodarczej i socjalnej w całych Niemczech, że problemy te nie będą już do rozwiązania na drodze "staroświeckich" reform. Poza tym, cała wymiana handlowa Niemiec skierowana zostanie ku Wschodowi, a żywnościowe zaopatrzenie Niemiec zostanie również całkowicie uzależnione od Wschodu. W sumie, stworzone zostaną idealne wprost warunki dla rozkwitu komunizmu i pro-sowieckiej orientacji. Prawnik Bismarcka daje nad to zrozumienia, że zmarnowalibyśmy dzie-

jową szansę, gdybyśmy nie zwrócili Niemcom ziem nad Odrą i Nysą w celu ratowania ich przed komunizmem.



Z "Nationalkomitee Freies Deutschland", z "Bund Deutscher Offiziere", z rzekomo odtwarzanych armii generałów Seydlitz'a i Paulusa — nie pozostało nic. Los stalingradzkich generałów niemieckich nie jest znany. Rosjanie rozstrzelali około 30 generałów. Gdy w kwietniu 1947 r. Einsiedel opuszczał Rosję, ponad 200 generałów niemieckich przebywało w obozie pod Iwanowem — około 300 kilometrów na północny-wschód od Moskwy. Ponieważ nie było im już wolno nosić odznak, stopni, ani orderów — zajmowali się głównie rzeźbieniem orderów i odznak dywizyjnych na papierośnicach, laskach, popielniczkach i tacach. Marszałek von Paulus — twierdzi Einsiedel — był człowiekiem złamanym, o twarzy w ustawicznych konwulsjach nerwowych tików, całkowicie zdezorientowany i apatyczny.

Najdziwniejszą rzeczą w tym wszystkim jest fakt, że Einsiedel potrzebował pełnych sześciu lat, by się w końcu... rozczarować. Gdy po raz pierwszy pojechał do Zachodnich Niemiec bronił w dyskusjach sowieckiej polityki i wrócił do redakcji komunistycznego brukowca, gdzie stale pracował. Na drugi dzień po tej wizycie został wezwany do NKWD, gdzie mu powiedziano, że jest zdrajcą, sabotażystą, itp.

Skutek tej operacji był taki, że Einsiedel wyjechał po raz drugi na Zachód, podpisawszy uprzednio w NKWD zobowiązanie, że będzie szpiegował, donosił i raportował. W Wiesbaden nie został aresztowany przez Amerykanów. Hr. Einsiedel niezmiernie się oburza, że Amerykanie przetrzymali go w areszcie przez trzy miesiące. Zapomina o tym, że w chwili, gdy go aresztowano, był nie tylko prawnikiem Bismarcka, ale i agentem NKWD.

Po uwolnieniu z aresztu amerykańskiego Einsiedel ląduje z powrotem w komunistycznym "Tägliche Rundschau". Dopiero, gdy stało się oczywiste, że grozi mu aresztowanie i to tym razem ze strony NKWD a nie Amerykanów — spakował kufry, rozesał pożegnalne listy i przeniósł się do Zachodnich Niemiec.

Einsiedel był przekonany komunistą. Był i jest nacjonalistą niemieckim. Dramat romansu rosyjsko niemieckiego polega na tym, że partnerzy są do siebie zbyt podobni. Einsiedel chciałby widzieć potężne Niemcy (niechby w końcu i komunistyczne) w sojuszu z Rosją. Tymczasem Rosjanie — zupełnie identycznie jak Niemcy — przez współpracę rozumieją protektorat, generalne gubernatorstwo, innymi słowy, twór satelicki. To są dwie identyczne w gruncie rzeczy koncepcje imperializmu. W świecie komunistycznym jest miejsce tylko na

jedną "rasę panów" i tą rasą nie są Niemcy. Einsiedel potrzebował niezmiernie długiego czasu, aby sobie tę prawdę przyswoić i wyciągnąć z niej odpowiednie konsekwencje. Poszedł na zachód, gdy za "żelazną kurtyną" było już dla niego za ciasno i za gorąco. Lecz to nie jest powrót marnotrawnego syna. To raczej ucieczka bankruta z innej planety.

Jul. MIER.

«Wiza do Moskwy»

Z końcem ubiegłego roku ukazała się w języku francuskim jedna z najlepszych książek o Rosji, na jaką zdobył się od czasu reportażu Gide'a ów kraj na ogół dość słabo informowany o Wschodzie za pomocą dzieł z pierwszej ręki. Nagroda, którą niedawno wyróżniono ową książkę i jej bardzo wielka poczytność w różnych sferach społeczeństwa sprawiają, że warto zapoznać się z tym "best-sellerem" francuskim.

Michał Gordey, Francuz pochodzenia rosyjskiego (z białej emigracji), dziennikarz umiejący obserwować i znający doskonale język swych rodziców, posiadał rzadko spotykane kwalifikacje, by wzbogacić literaturę o Związku Sowieckim wartościową książką. Uzyskawszy wyjątkowe dla dziennikarza z Zachodu pozwolenie Kremla na dwumiesięczny pobyt w Rosji, Gordey po reportażu, będącym pierwszym rzutem dzieła, a drukowanym w jednym z pism francuskich, uzupełnił swe informacje ze stolicy bogatym materiałem zebrany w czasie podróży i stworzył w ten sposób książkę niepozabawioną wielu walorów.

Dzieło, liczące 450 stron składa się z ośmiu części. Na wstępie analizuje "Pierwsze wrażenia", po czym rozpoczyna "Badanie w głąb". W części III autor studiuje "Poziom życia, ceny i zarobki". Część IV, zajmuje się teatrem i obrazem życia sowieckiego, jaki daje owa bardzo popularna w Rosji sztuka, najlepsze narzędzie partii w dziele urabiania dusz. Z kolei interesuje autora "Kultura i nacjonalizm", a potem "Dzieci i młodzież". "Wojna czy pokój? Sowiecka koncepcja świata" stanowi siódmą część dzieła. Zamyka książkę szereg najciekawszych może rozdziałów pt. "Podróże po Rosji". Dzieli się w nich autor swymi wrażeniami z Leningradu, Stalingradu, Rostowa i Tyflisu. Na zakończenie jako rodzaj "posłowia" załączył Gordey interesujący, choć nieco tendencyjny rozdział zatytułowany "Inwentarz fałszywych poglądów". Rozprawia

się w nim z szeregiem najczęściej spotykanych nieporozumień tak z tej jak i z tamtej strony żelaznej zasłony. Ten "chwyt" pozwala mu nie wyciągnąć wniosków, które kiedyś mogłyby mu nastręczyć trudności bądź w zwiedzanym kraju lub po tej stronie barykady.

Wielką zaletę książki Gordeya stanowi rzetelny wysiłek, by poznać rzeczywiście Rosję Sowiecką, wczuć się w odrębną mentalność społeczeństwa, wychowywanego od lat w nieznanomości Zachodu i sformułować swój sąd na podstawie własnych wnikliwych obserwacji, nie zważając na zdanie poprzedników. Stąd sympatia do Związku Sowieckiego, w którym autor widzący wprawdzie nędzę na oddalonych czy bocznych ulicach stolicy, dostrzega przede wszystkim niezwykłą dyscyplinę zbiorową, fanatyzm stachanowców, istotną siłę systemu, oraz zapal dzieci i młodzieży, niezdolnej nawet do wyobrażenia sobie "innego, lepszego świata".

Gordey, starając się dać obiektywny obraz Rosji, zmuszony jest raz po raz sprowadzać do właściwych rozmiarów mity komunistyczne o raju sowieckim i w tym leży druga zasługa jego udokumentowanego reportażu-ankiety. I tak np. podkreśla on silniej niż inni istnienie kryzysu mieszkaniowego, wysysk pracownika przez ciągle wyrubowywanie norm i powszechne stosowanie "akordu" zamiast systemu dniówki oraz małe stosunkowo rozpowszechnienie dobrodziejstw świadczeń społecznych (według jego obliczeń tylko 6% pracowników spędza urlopy w domach wypoczynkowych). Podobnie ma się rzecz z powszechnością żłóbków dla dzieci, mimo iż przyszłość Związku opiera się na pokoleniach, które rosną, jak również z legendą o zupełnej bezpłatności nauczania. Trzy najwyższe klasy "dziesięciolatk" są bowiem płatne; stąd olbrzymia różnica między frekwencją 7 oddziałów a klasami dla "mandarynów".

Lepiej niż powierzchowni obserwatorzy Gordey podkreśla rolę pojęcia "Kultura" i jego wszechwładnego panowania w Związku, chęć uczenia się i pojęcia wyżej, właściwą całemu społeczeństwu, rozbudzanie dumy narodowej przez przypisywanie Rosjanom wszystkich wynalazków, a wreszcie bezprzykładne ogłupianie młodzieży przez odpowiednie wychowanie za pomocą "Komsomołu", radia, dziennika i książki. Zdaniem Gordeya, rola Stalina jako nauczyciela narodów w dziedzinie sztuki i nauki (gdzie jego "geniusz" nie może być podany w wątpliwość), znajduje wytłumaczenie w przeświadczeniu, że skoro wygrał on wojnę, musi mieć rację także w wszystkich innych sprawach.

Autor dostrzega również jeden z istotnych celów komunizmu. Mianowicie lepiej niż inni Europejczycy zrozumiał on, iż spojrzenie Związku zwraca się ku Azji jako rosnącej potęgę przyszłości. Chęć podciągnięcia pod względem kulturalnym jej krajów, będących już w zasięgu Rosji, stanowi najpewniejszy sposób na zawładnięcie ideowe całości tej części świata.

*) Michel Gordey: *Visa pour Moscou*. Ed. Gallimard, Paryż, 1951.

ta, która w rozgrywce z Ameryką może przedstawiać ostatni atut.

Znając nieco Rosję z lat wojny i doceniając w pełni niebezpieczeństwo Związku dla wolnego świata, nie zachwycam się książkami, które przez konsekwentne negowanie wszystkich wartości dodatnich doświadczenia leninowsko-stalinowskiego starają się rozprawić ze skomplikowanym zagadnieniem sowieckim. Stąd nie budzi we mnie zastrzeżeń chęć obiektywizmu, widoczna u autora; natomiast dostrzegam dwa słabe punkty jego postawy.

Nie należy zapominać, że Gordey, biały Rosjanin w drugim pokoleniu, wskutek znanego powszechnie zjawiska psychologicznego, okazuje podświadomie silne sympatie do kraju swych ojców. Urzeczony potęgą tego państwa i związany solidarnością plemienną, przejawia on bezwiednie "prejugé favorable" w stosunku do komunizmu. Widać to najlepiej na częstych próbach usprawiedliwiania stanowiska Związku i przekonywania Zachodu o słuszności postawy komunistycznej.

Książka Gordeya, pisana z myślą o pacyfistycznym nastawieniu Francji, narzuca czytelnikowi w rozdziałach o pokojowości społeczeństwa sowieckiego i jego obawie zagrożenia przez kapitalizm i Amerykę nieodparte przeświadczenie, że biała temu, kto ośmieli się zaatakować Związek Sowiecki. Rozważając efekt, jaki wywarłoby na pokojowo usposobionych Rosjan amerykańskie bomby atomowe, autor wyraźnie odradza zaczepiać "czerwonego niedźwiedzia". Wydaje mi się, że tym ostrzeżeniem, idącym po linii polityki sowieckiej, od apelu Sztokholmskiego poczynawszy, Gordey spłaca wobec Związku dług dwumiesięcznej gościny.

Lektura omawianej książki mimowoli napawa pesymizmem; mianowicie, raz jeszcze potwierdza ona znaną diagnozę. Czego można spodziewać się po olbrzymim państwie, zbrojącym się bez przerwy, którego mieszkańcy nie znają zupełnie Zachodu i jego mentalności, a co gorsze wlerzą naiwnie swym przywódcom?

Zygmunt MARKIEWICZ.

„Indulgence plénière”

La Varende, jeden z najbardziej płodnych pisarzy francuskich ostatnich czasów wydał teraz swoją trzydziestą chyba z rzędu książkę. Jest to powieść pt. „Indulgence plénière”. Muszę przyznać, że książkę La Varende jest rozkoszna. Myślę, że mogłaby być ona jeszcze rozkoszniejsza, gdyby nie niepotrzebne

La VARENDE, *Indulgence plénière*, wyd. Ed. Grasset, Paryż, 1951, str. 338, cena 450 fr.

ambicje autora do osiągnięcia tego, co nazwać by można uwspółcześnieniem się, to znaczy wykazaniem się umiejętnością gromadzenia dodatkowych i skomplikowanych elementów tragicznych, które w całości jego powieści robią niestety wrażenie dolepionych sztucznie i nieuzasadnionych wewnętrzną logiką. Ponieważ moda czasów dzisiejszych nakazuje wprowadzać do literatury ponury pesymizm i beznadziejny smutek w ocenie zjawisk ludzkich, dosiadajmy więc tego konia i hasajmy na nim wesoło i beztrudno. I niech nikt nie ośmieli się powiedzieć nam potem, że jesteśmy zacofani, niewspółcześni, odlegli od właściwego sposobu myślenia. Taki wniosek nasuwa jedna strofa książki La Varende. I dodajmy od razu — ta słaba i mniej udana. Druga jest zabawna, śmieszna i rozczulająca. Lecz, aby sprawę tych dwu wątków i aspektów książki wyjaśnić nieco bliżej opowiedzmy w kilku słowach jej treść.

Rzecz się dzieje po obecnej wojnie, w Normandii. Współwłaściciel świetnie prosperującego majątku ziemskiego z całym kompleksem zakładów przemysłowych starszy pan który właśnie ukończył 63 lata, Monsieur Georges, żyje sobie wśród licznych i jak się zdaje, mocno ponętnego frauenzimmeru, beztrudno i przyjemnie, otoczony ogólnym uznaniem i miłością ludności. Mr. Georges — to zatwardziały babcarz i niepoprawny sentymentalista. Wśród usługujących mu młodych dziewczyn jest także piękna mężatka, Gabrielle, która spełnia rolę gospodyni domu i którą Mr. Georges kocha nieprzytomnie, starczą i nieseksualną miłością. Ona zaś nudzi się. Pech chce, że do pobliskiego miasteczka zjeżdża wędrowny cyrk i Gabrielle zakochuje się w występującym w nim muzyku. Decyduje więc porzucić męża oraz Mr. Georges i ucieka. Zrozpaczony Mr. Georges nie daje jednak za wygraną. Wraz z mężem Gabrielle wyrusza za nią w pogoń, odnajduje ją i nakłania zakochaną parę do powrotu do jego domu. Powrót jest triumfalny i pozornie wszyscy są szczęśliwi. Mr. Georges przypatrywać się może nadal swej Gabrielle, ona przestała się nudzić, mąż jej otrzymał zwiększoną pensję, muzyk zaś oddawać się może, przy boku ukochanej, namiętnej grze na wszystkich możliwych instrumentach muzycznych. Ale okazuje się, że jest to cisza przed burzą. Przyrodnia siostra Mr. Georges i współwłaścicielka majątku, zgorszona skomplikowaną sytuacją w domu, żąda odesłania Gabrielle. Mr. Georges protestuje, gniewa się i w rezultacie opuszcza dom, w którym mieszka od dzieciństwa i przenosi się wraz z gruchającą parą, poświęcając wszystkie swe drobne upodobania i nałogi, do wynajętej o kilkadziesiąt kilometrów dalej willi. I znowu wszyscy wydają się głęboko zadowoleni. Gabrielle jest oddaną gospodynią i wierną kochanką, Mr. Georges chodzi do kościoła i śpiewa pieśni religijne, muzykus objeżdża okolicę i daje lekcje muzyki. I tym razem jednak na horyzoncie ukazują się ciężkie chmury. Zgorszenie pocziwych chłopków okolicznych wzrasta, wplątuje się do tego sprawa likwidacji fabryki, którą to sprawę ludzie wiążą z opuszczeniem

przez Mr. Georges majątku, jakiś nieszczęśliwy wypadek samochodowy, który następuje z winy Mr. Georges i taśma przykrych komplikacji nawija się coraz szybciej, by doprowadzić w końcu do gwałtownej i nieoczekiwanej śmierci Gabrielle. Śmiercią tą powieść się kończy. Tak wygląda jedna strona książki La Varende, ta zabawna, rozczulająca, miejscami smutna.

Druga, niepotrzebna i zdaniem moim przyklepiona, to jakieś powikłania, z których wynika, że Mr. Georges jest dzieckiem nieślubnym traktowanym z góry przez rodzinę, jakieś wewnętrzne szarpania się jego wywołane faktem, iż on także posiada nieślubną córkę, której zaoszczędzić pragnie swych smutnych doświadczeń, jakieś pompatyczne i oderwane od życia dyskusje, które prowadzi z siostrą na temat swej przeszłości itd. Wszystkie elementy te mają dodatkowo utragiczyć sylwetkę Mr. Georges i w konsekwencji całą powieść... Tymczasem, zamiast wzbogacić i nadać jej ton ogólnego smutku, zaciemniają tylko obraz ciekawie pomyślanej fabuły. Gdyby La Varende z właściwą mu werwą, humorem i umiarkowaną leżką sentymentalną napisał książkę poświęconą wyłącznie nieszczęśliwej miłości Mr. Georges i wywołanym nią konfliktom — powstałaby zapewne rzecz interesująca. A tak, mamy wątpliwości.

Z jednego jeszcze punktu widzenia książka La Varende jest rozkoszna. Akcja jej, jak powiedzieliśmy, toczy się w czasach obecnych, po skończonej wojnie. Tym niemniej cała problematyka, sposób jej przedstawienia, ujęcie toczącego się sporu z ludnością, aluzje do walk społecznych, pokazanie tak zwanego konfliktu klasowego między proletariatem a burżuazją — są typowe dla końca 19 wieku. La Varende, to autor, który patrzy na rzeczywistość 20 wieku oczami człowieka z końca wieku poprzedniego. I to nadaje książce jego tony przeziębienia. Cóż bowiem może być rozkoszniejszego jak pocziwa miłość starszego pana do subretki i wyrastające na tym tle konflikty społeczne? Cóż może być sympatyczniejszego jak walka klasowa prowadzona "à coups de vin rouge" w bistrze? Cóż może być przyjemniejszego jak kłopoty materialne, które w sposób cudowny rozwiązuje bogata siostra? Czytając La Varende, i dzięki niemu, zacząłem się wahać: a może rzeczywistość cały świat dzisiejszy jest po prostu dziecinną zabawę.

J. URSYN.

Polska w cywilizacji światowej

Twórczość szeregu uczonych polskich pod okupacją niemiecką była zdumiewająco bogata. Dobrym przykładem tego rodzaju twórczości był profesor Roman Dyboski, który każdy rok okupacji potrafił okraszyć przynajmniej jedną poważną pracą naukową. Zgodnie z od początku obraną linią wytyczną, nakazującą mu być nie tylko rzecznikiem cywilizacji angielskiej oraz jej mutacji amerykańskiej w stosunku do Polaków, ale również i Polski wobec świata anglosaskiego, obok czterech prac z pierwszej dziedziny napisał też Profesor Dyboski obszerną angielską książkę o *Polsce w cywilizacji świata*. Śmierć przerwała wykończenie tej pracy. Książka ta ukazała się w ubiegłym roku w Stanach Zjednoczonych, pod redakcją i staraniem jednego z byłych wychowanków naukowych Dyboskiego, doktora Ludwika Krzyżanowskiego z Columbia University w Nowym Jorku. Praca Dyboskiego jest w pewnym sensie zarysem historii kultury i cywilizacji polskiej na szeroko odmalowanym tle dziejów politycznych. Tak zakreślony i rozwiązany temat bez zbytecznego nacisku mocno uwypukla nierozzerwalne związki Polski z Zachodem Europy. Taki zresztą był cel autora. Książka składa się z przedmowy pióra Dra L. Krzyżanowskiego, krótkiego wstępu historycznego, dziewięciu rozdziałów, bibliografii oraz indeksu. Konstrukcję oraz treść dzieła najbardziej obrazują tytuły rozdziałów: I) Przedmurze Chrześcijaństwa; II) Unie z narodami sąsiednimi; III) Wolność obywatelska i polityczna; IV) Tolerancja religijna; V) Szkoły i nauka w Polsce przed rozbiorem; VI) Polacy zagranicą; VII) Wychowanie i badanie naukowe w Polsce nowoczesnej; VIII) Osiągnięcia w sztuce i literaturze; IX) Dwadzieścia lat niepodległości. Krótka bibliografia zawiera najważniejsze książki o Polsce, dostępne dla czytelnika.

Pomimo dość licznych niedopatrzeń korektorskich, książka stanowi wartościowy przyczynek do skromnej listy książek o Polsce w języku angielskim.

M. K. DZIEWANOWSKI.

*) Roman Dyboski. *Poland in World Civilization*, edited by Ludwik Krzyżanowski, J. M. Barret Corp., New York, N.Y., 1950, stron 285 plus XII; cena \$ 4.

Książki nadesłane

HISTORIA I WSPOMNIENIA

SZEMBEK (J. Comte). *Journal 1933-1939*. Z przedmową Amb. Leona Noël'a. Str. 504. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 1.200).

ROUNAULT (J.). *Le troisième ciel*. Pp. 254. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 390).

BOR-KOMOROWSKI (Gén.). *Histoire d'une armée secrète*. Pp. 379. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1952).

STYPULKOWSKI (Z.). *Invitation à Moscou*. Pp. 318. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1952).

Les événements survenus en France de 1933 à 1945. Témoignages et documents recueillis par la commission d'enquête parlementaire. Tome VII: Pages 1941 à 2264, frs. 400; Tome VIII: Pages 2265 à 2552, frs. 400. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris).

Les cahiers du bolchévisme pendant la campagne 1939-1940 z przedmową A. Rossi. Str. XCIII plus 67 str. fotokopii dokumentów. (Wyd. Dominique Wapler, Paryż, 1951).

WALCZEWSKI (I.). *Destin tragique des Polonais déportés en Allemagne*. Z przedmową J. Ex. Mgr J. Gawliny. Str. 222. (Ed. Hosianum, Roma, 1951).

MULLER (H.). *Trois pas en arrière*. Pp. 245. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1952).

GORDEY (M.). *Visa pour Moscou*. Pp. 453. (Ed. Gallimard, Paris, 1951).

ZAGADNIENIA CHWILI

CILIGA (A.). *La Yougoslavie sous la menace intérieure et extérieure*. Pp. 133. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1951).

DONCOW (D. dr.). *Duch naszych dawnini*. (Ukr.). Str. 341. (Cz. 2 serii "Życie i Czyn", Wyd. w Monachium-Montreal, r. 1951).

FESSARD (G.). *Paix ou guerre? Notre paix*. Pp. 105. (Ed. Monde Nouveau, Paris, 1951).

MAULNIER (T.). *La face de méduse du communisme*. Pp. 236. (Ed. Gallimard, Paris, 1951, frs. 480).

JORDAN (Z.). *Oder-Neisse Line*. Str. 133. (Wyd. Polish Freedom Movement ("Independence and Democracy"), Londyn, 1952).

ALAIN. *Politique*. Pp. 328. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1951, frs. 600).

COUDENHOVE-KALERGI (R.). *J'ai choisi l'Europe*. Pp. 356. (Ed. Plon, Paris, 1952).

LITERATURA

HAMP (P.). *Hormidas le Canadien*. Pp. 253. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 420).

BERAUD (H.). *Quinze jours avec la mort. La chasse au lampiste*. Pp. 241. (Ed. Plon, Paris, 1951).

LEGRAY (J.). *Du sein des flammes*. Pp. 282. (Ed. Flammarion, Paris, 1951, frs. 500).

MAURIAC (F.). *Galigai*. Pp. 178. (Ed. Flammarion, Paris, 1952, frs. 380).

FAULKNER (W.). *Le gambit du cavalier*. Pp. 263. (Ed. Gallimard, Paris, 1951, frs. 450).

WILLINGHAM (C.). *Demain, ce seront des hommes*. Pp. 362. (Ed. Gallimard, Paris, 1951, frs. 690).

HAUPTMANN (G.). *Oeuvres*. Atlantide, Un Carnaval, La garde-barrière, La chatte de mer. Pp. 338. (Ed. Flammarion, Paris, 1952, frs. 760).

POEZJA

LIEBERT (J.). *Poezje zebrane*. Str. 185. (Wyd. Instytut Wydawniczy "Pax", Warszawa, 1951).

Adam Mickiewicz, poet of Poland. A symposium. Edited by Manfred Kridl. With a foreword by Ernest J. Simmons. Str. 289. (Wyd. Columbia University Press, New York, 1951). Cena 5 dol. Z pięcioma ilustracjami w tekście i indeksem nazwisk.

MAŁANIUK (J.). *Włada*. Poezje. Str. 76. (Wyd. "Kiyv", Filadelfia, 1951).

RÓŻNE

DOBRACZYŃSKI (J.). *Gwałtownicy*. Str. 206. (Wyd. Instytut Wydawniczy "Pax", Warszawa, 1951).

MALRAUX (A.). *Les voix du silence*. Pp. 657. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, fr. 1.900).

BARDET (G.). *Demain c'est l'an 2.000*. Pp. 305. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 480).

ZYWCZYŃSKI (M. Ks.). *Kościół i rewolucja francuska*. Str. 72. (Wyd. Instytut Wydawniczy "Pax", Warszawa, 1951).

Bitwa o Monte Cassino. Materiały Oświatowe. Zeszyt wydany na rocznicę bitwy. (Wyd. Wyd. Kultury i Ośw. Zarządu Gł. S. P. K. w Londynie, r. 1952). Str. 44.

Juliusz Słowacki 1809-1849. Księga zbiorowa w stulecie zgonu.

Przedmowa w jęz. polskim i angielskim z portretem autora, bibliografią i indeksem nazwisk. Str. 448. (Wyd. The Polish Research Centre, Ltd., Londyn, 1951. Cena 25 sh.).

SADEK (N.). *Markietanki*. *Serca w mundurach*. Komedia w 3-ach aktach. Str. 44. (Wyd. Stow. Pol. Komb., Londyn, 1952).

EINSTEIN (A.). *Conceptions scientifiques, morales et sociales*. Pp. 314. (Ed. Flammarion, Paris, 1952, frs. 575).

SCHWARZ (O.). *Psychologie sexuelle*. Pp. 271. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1951, frs. 900).

«LIBELLA»

SKŁADNICA
KSIĄŻEK POLSKICH

12, rue St. Louis en L'Île — PARIS IV.

poleca ostatnie nowości

Anders Wł., Gen.: *Kłęski Hitlera w Rosji*.

Cena fr. fr. 695,—

Wańkowicz M.: *Ziele na kraterze*.

Cena fr. fr. 1.150,—

Kossak Z.: *Przymierze*.

Cena fr. fr. 1.075,—

Winowska M.: *Kto mi łyzy powróci*.

Cena fr. fr. 400,—

Wittlin T.: *Diabeł w raju*.

Cena fr. fr. 720,—

Jasieńczyk J.: *Walter 7,65*.

Cena fr. fr. 395,—

Orwid-Bulicz R.: *Jeśli jutro wojna*.

Cena fr. fr. 1.150,—

Lorca F. G.: *Wiersze*.

Cena fr. fr. 400,—

ROCZNIK POLONII 1952.

Cena fr. fr. 750,—

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę tę parę słów na wezwanie kapitana Barańskiego do mnie, zamieszczone w jego liście do Pana Redaktora w numerze 2/52-3/53 "Kultury".

Sama konkretna sprawa jest tak błaża, że właściwie szkoda jest dziś po jedenastu latach zaprzętać nią uwagę opinii polskiej. Chętnie daję jednak świadectwo prawdzie z tą myślą, jeżeli choć przez odrobinę może to spowodować refleksje na temat całej nicości tak dziś oczywiście, naszych wewnętrznych pasji politycznych i wzajemnych rekriminacji.

Nie wchodzę w meritum samej sprawy czekowej, która, w co nigdy nie wątpię, została już dawno pomyślnie wyjaśniona. Nie asystowałem też przy samym incydencie radca Ponińskiego-kap. Barański, ale zaraz potem miałem do wykonania pewien wysiłek mediacyjny, aby uspokoić wzburzenie i pomóc w doprowadzeniu sprawy do szczęśliwego końca.

Patrząc na to od strony humorystycznej, staje mi w pamięci dobrze opisana przez kpt. Barańskiego postać radcy Ponińskiego, stukającego w różnych okolicznościach "łagą" o podłogę, więc nie dziwię się reakcji kapitana. Zresztą sam Pan Redaktor, z którym wówczas przeszło rok razem pracowaliśmy w Bukareszcie, mógł niejednokrotnie obserwować przeróżne komisarskie postawy różnych naszych osób. To wszystko.

Natomiast były w naszej ówczesnej emigracyjnej rzeczywistości bukareszteńskiej różne dotychczas niewyjaśnione całkowicie ciemne plamy większego znaczenia. Na przykład wysyłanie różnych zasłużonych i dzielnych naszych wojskowych zamiast do szeregów na Zachód do jakichś obozów o charakterze obserwacyjno-karnym. Taki był wypadek, którego zapomnieć nie mogę, z moim przyjacielem pułk. Tadeuszem Schaetzlem, którego chciano wysłać, zdaje mi się, do Tunisu. W poczuciu respektu dla dyscypliny obywatelskiej wpłynąłem na pułkownika o wykonanie tego rozkazu. Wzburzenie jego było z pewnością większe od tego, które ogarnęło kpt. Barańskiego. Wiedziałem, że się nie podporządkuje, jakkolwiek w moim przekonaniu właśnie posłuch nawet w stosunku do najbardziej krzywdzącego zarządzenia jest symptomem zdrowia i wielkości narodu. Wszak w każdej demokracji władza kołem się toczy.

Taką też ciemną plamą, którą ze względu na polityczną wagę sprawy chociażby dla historii będzie należało wyjaśnić, jest sprawa nieudanej ucieczki z Rumunii śp. ministra Józefa Becka, poruszona w artykule ambasadora Sokolnickiego w numerze 1/51 "Kultury". Mając w jednym stadium aktywny udział w tej sprawie, a później żywy z nią kontakt w pewnej chwili wypadnie mi dać o niej moje istotne, jakkolwiek niepełne świadectwo.

Z prawdziwym poważaniem

Miroslaw ARCISZEWSKI.
Calle Arce 807, p. 3
Buenos Aires.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z przyjemnością witam każdy nowy numer miesięcznika Panów. Cenię w nim wysoki poziom literacki artykułów, jak również liberalne i postępowe ustosunkowanie się do aktualnych zagadnień politycznych i społecznych. Toteż ze szczerym zainteresowaniem oczekiwałem zapowiedzianego przez Panów specjalnego numeru "Kultury" poświęconego życiu we współczesnej Polsce. Spodziewałem się znaleźć w numerze tym barwny i interesujący obraz życia naszego kraju. Lubiłem się nawet, że Panowie wyjątkowo odstąpią tym razem od ascetycznej formy graficznej jaka cechuje "Kulturę" i ożywią ten numer "specjalny" paroma ilustracjami. Tym bardziej zdziwiony byłem, kiedy po przejrzeniu numeru przekonałem się, że jest to suche zestawienie faktów, ustaw i statystyk — coś w rodzaju podręcznika prawa i nauki o ustroju państwa. Kogo to na emigracji może zainteresować? Komu będzie się chciało po całodziennej pracy zagłębiać się w studiowanie tych nudnych wywodów prawno-ekonomicznych pozbawionych wszelkiego pierwiastka dziennikarskiego, czy literackiego? Chyba tylko specjalistom z poszczególnych dziedzin — i to bardzo nielicznym. Uważam że jest to numer wydany bez liczenia się z tym czego większość czytelników "Kultury" oczekuje od polskiego periodyku tego typu, względnie bez dostatecznej znajomości tych potrzeb i zainteresowań. Mam wrażenie nota bene że wiele pism emigracyjnych z cygnikiem tym za mało się liczy, traktując redagowanie pisma jako pewnego rodzaju sztukę dla sztuki. Poza tym fakt że większość pism naszych wydawana jest w Europie, w ośrodkach starych i skostniałych tradycjach literacko-dziennikarskich, jak Paryż i Londyn sprawia że ulegają one tym tradycjom co obok pewnych zalet ma jednak również swoje wady. W wielkich tych skupiskach ludzkich jest miejsce na pisma różnych odcieni, dostosowanych do potrzeb różnych warstw publiczności, — między innymi na pisma czysto literackie, których czytelnikami bywa przeważnie bardzo nieliczna grupa "piękno-duchów" i intelektualnej elity. Pisma te przeważnie o bardzo ograniczonym nakładzie posiadają też z reguły bardzo nieciekawą formę zewnętrzną gdyż "są wyższe ponad to by zewnętrznym wyglądem zwałbiać czytelników" oraz brzydzą się "schlebieniem gustom szerszej publiczności". Mogą sobie one również pozwolić na umieszczanie różnych literackich ekstrawagancji w rodzaju niektórych utworów Gombrowicza, zawsze bowiem znajdzie się paru czytelników zbliżowanych lub intelektualnych snobów, którym takie utwory przypadną do gustu. Podobnie jak znajdują swoich zwolenników niektóre malarskie dziwactwa futurystów, kubistów czy dadaistów.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z pismem polskim. Nasze pisma nie mogą opierać się o pewną specyficzną klasę czytelników względnie stapać na koturnach uważając że kto nie chce czy nie może pogodzić się z pewnym literackim ich nastawieniem to nie godzien jest je czytać. W takim razie bowiem pisma nasze nie mogą spełniać swojej misji ideowej jaką jest docieranie do najszerszych rzesz społeczeństwa emigracyjnego i podtrzymywanie wśród nich polskości. Jeżeli chodzi np. o "Kulturę" to nie tracąc nic na swoim poziomie literackim sądzę że mogłaby ona mieć bardziej atrakcyjną szatę graficzną a także w treści swojej być mniej "konsekwentnie poważna". Pewna domieszka humoru i anegdoty w dobrym stylu (o co, przynajmniej trzeba, jest bardzo trudno) ożywiłaby i urozmaiciła jej treść. Trudno natomiast uzasadnić marnowanie cennego papieru na niektóre (nieliczne na szczęście) ciężkie zakalce literackie, które chyba bardzo mało kto czyta. Nawiasem tu pragnę dodać że szukanie za wszelką cenę oryginalności kosztem jasności stylu i myśli oraz prostoty wydaje mi się zupełnym nieporozumieniem. Czynniki te pozostaną na zawsze miernikami prawdziwego talentu we wszystkich dziedzinach sztuki.

Trzeba sobie nareszcie zdawać sprawę z tego, że olbrzymia większość emigracji polskiej to ludzie ciężko pracujący. Wielu z nich (choć niestety coraz mniej) po dniu przepracowanym wśród obcego otoczenia

chętnie bierze do ręki pismo polskie, które dostarcza mu strawy duchowej i przenosi w świat jemu bliski. Ten pokarm duchowy powinien być jednak nie tylko w dobrym gatunku, ale i łatwo strawny, a także podany o ile możliwości w formie pociągającej. Tego niestety o wspomnianym na wstępie specjalnym numerze "Kultury" powiedzieć nie można.

Jako wzór łączenia ciekawej i urozmaiconej treści z interesującą choć skromną formą zewnętrzną służyć mogą niektóre pisma amerykańskie jak "Time" lub "Reader's Digest". Wbrw licznym i często przesadnym krytykom "amerykanizmu" jakie spotyka się w pismach polskich uważam, że Amerykanie znacznie bardziej życiowo podchodzą do wielu zagadnień niż stary kontynent, a wspomniane i im podobne pisma są jednym z wielu tego przykładów.

Zdaję sobie sprawę z tego że wzbogacanie formy graficznej pisma jest sprawą kosztowną. Jestem przekonany jednak, że pewien wysiłek w tym kierunku opłaciłby się w ostatecznym wyniku gdyż zjednałby pismu wielu nowych czytelników.

Z poważaniem

Inż. S. PIOTROWSKI, S.A.R.P.
City and Water Engineer's Dept.,
Durban, South Africa.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Marii Beliny w kwietniowym numerze "Kultury", której jestem gorliwą czytelniczką, a często i gorącą entuzjastką ("Kultury" nie Beliny), chciałabym Pana prosić, by udzielił mi Pan miejsca w swoim piśmie na krótką polemikę. Pani Belina broni tezy, powszechnej zresztą na emigracji, że ludzie w kraju kolaborują, bo muszą, i że wobec tego my, z zacisznych "flatów" londyńskich nie mamy prawa ani krytyki ich postępowania, ani tym bardziej wydawania potępiających osądów.

Tak się złożyło, że utrzymuję z krajem dość ścisłe stosunki. I to tak ze stroną mniej lub więcej zaangażowaną w kolaborację, jak z tymi, którzy nie poszli na żadne kompromisy. Co do pierwszych przyznać muszę, że na usprawiedliwienie swego postępowania używają argumentów, cytowanych przez p. Belinę: "Że nie można żyć w wiecznej negacji, że rewolucja ma swoje dobre strony, że odbudowa, że stara matka..." Tym niemniej wielokrotnie musiałam skonstatować fakt, że ludzie ci nie tylko obronili się od nostalgii za utraconą Ojczyzną (to też jest argument!), ale i od nędzy emigracyjnej. Kolaborująca inteligencja w kraju nie poszła zmywać statków w Lyons'a, nie pracuje na nocnej zmianie w fabrykach łodów, ani nie łamie głowy nad zdobyciem "nowego fachu", który by zapewnił skromną egzystencję w zacisznym "flacie" londyńskim. Prawda — my tu mamy "askoty", elektryczne kuchenki i czasami nawet fryżjery. Podczas gdy w mieszkaniu urzędnika warszawskiego dmucha w ogień staroświecka służąca. Służąca. Prawdziwa służąca. — Ze jesteśmy tu bezpieczni? — Tak, to tylko i mamy, że jesteśmy bezpieczni.

Ale o ile poczucie naszego osobistego bezpieczeństwa ma być opłacane przyzwoleniem na pomaganie najeźdźcy w sowietyzacji naszej wspólnej Ojczyzny, to wydaje mi się, że proponowana cena jest raczej lichwiarska i nie do przyjęcia. Poza tym, jakąż wówczas miarą mamy oceniać postępowanie tych, którzy na żadne kompromisy nie poszli? Którzy nie ulegli się ani perspektywy więzienia, ani nędzy? Tacy istnieją, do dziś dnia istnieją w Polsce, chociaż coraz mniej liczni. Ale i to, że są sami, to też ma swoją wymowę tragiczną. Czy my tu, z emi-

gracji, mamy kwitować ich uparty opór stwierdzeniem, że wszyscy kolaborują, bo muszą?

Znam młodą nauczycielkę, która przez dwa lata wykładała historię w gimnazjum ludowym. Przez te dwa lata nie wygłosiła żadnego referatu, nie wzięła udziału w żadnej okolicznościowej akademii szkolnej, uczyła dzieci w swoich klasach tak, jak by nie istniała możliwość donosu, aresztu, więzienia. Po dwóch latach takiej pracy wyrzucano ją ze szkolnictwa "z dyscyplinarką", czyli bezpowrotnie. Mogło skończyć się gorzej. Od tego czasu utrzymuje się, chodząc po domach, jako szwaczka.

Czy p. Belina zechce jej powiedzieć, że to wszystko było i jest niepotrzebne? Choćby w formie pośredniej, że życie w kraju zmusza każdego do akceptowania jakiegś formy kolaboracji?

Mogłabym powiedzieć historię studenta, który wyrzekł się dyplomu, gdyż narzucono temat pracy magisterskiej nosił tytuł: "Badania... w świetle osiągnięć nauki radzieckiej". — Idiota? — Wydaje mi się, że po prostu człowiek z szacunkiem dla siebie i dla nauki. To nawet, że 99% jego kolegów postąpiło inaczej, nie przesadza prawa do słuszności. Zasada, że większość ma zawsze rację, jest tezą amoralną, a politycznie częstokroć zgubną. Tej prawdy powinniśmy się nauczyć z doświadczeń własnych podczas ostatniej wojny.

P. Belinę oburza fakt, że prasa emigracyjna w swoich atakach na komunistycznych pisarzy i dygnitarzy dzisiejszej Polski popełnia nieostrożne niedyskrecje w stosunku do ich przedwojennej przeszłości, które to niedyskrecje mogą tym panom ewentualnie zaszkodzić. Zaszkodzić w czym? W służbie Stalinowi? W pracy nad sowietyzacją Polski? — Ja wiem, że pani Belinie chodzi o co innego, mianowicie o to zupełnie ludzkie współczucie, które rozumie, że pięć Bezpieki jest równie twarda dla członka WIN'u, jak i dla karierowicza, który mimo woli popadł w nielaskę, i że strach, ludzki strach przed śmiercią jest zawsze taki sam. Być może, że moje serce jest mniej czułe, a bardziej sprawiedliwe i dlatego oburza mnie fakt inny. Ten, że prasa na emigracji, w której tyle czyta się ostrzeżeń przed spowodowaniem opoku w kraju, tyle insynuacji, że taki opór mógłby istnieć tylko za sprawą amerykańskich dolarów, tyle tłumaczeń, że walka z wrogiem jest wręcz szkodliwym, że ta prasa nie zdobyła się nigdy na akt, jeśli już nie politycznego, to chociażby właśnie zupełnie ludzkiego uznania dla tych, — najczęściej — o nieznanych, z chłopska brzmiących nazwiskach, których Bezpieka rozstrzeliwuje właśnie za opór, właśnie za walkę. Ludziom z wyrokami śmierci żadna emigracyjna pochwała już nie zaszkodzi. Najwyżej pomoże w umieraniu. A to jest także akt miłosierdzia.

Ponieważ nie chciałabym zakończyć tego listu patetycznie, pozwoli Pan, Panie Redaktorze, że przekreślę to, co napisałam, i to, co napisała p. Belina, wypowiedzeniem mego głębokiego i szczerzego przekonania, że u podstaw naszych emigracyjnych dyskusji, na temat Wyrwy, czy na temat Miłosza, czy na temat NSZ-etu leży głęboko ukryty kompleks niechęci do walki z bolszewikami w ogóle. Nie można robić tego, czego się nie chce; ale z drugiej strony jest to kompleks wstydlawy i dlatego maskujemy go słowami o mylącym znaczeniu, albo wydajemy nasz rzekomy dynamizm antybolszewicki w sposób oszukańczy, jak np. w sprawie Miłosza, którego nikt nie atakował, gdy służył w ambasadzie warszawskiej, którego "Campo di Fiori" słyszałam deklamowane z zachwytem przez współpracownika Wydziału Propagandy II-go Korpusu, a którego szarpia wszyscy, gdy obrócił swój wielki talent przeciw komunizmowi. NSZ pietnuje się za to, że nie walczył z Niemcami, ale z Wyrwą zrobiliśmy bohatera, ponieważ odmówił walki z bolszewikami. Pani Belina opowiada o aktorze i reżyserze pod pierwszą okupacją sowiecką (1941 r.), który "kochał teatr", więc w nim oczywiście grywał i pracował, chociaż teatr nie jest instytucją

apolityczną w Sowietach, a przeciwnie jedną z najsilniejszych ekspozytur propagandy; jednocześnie jednak przemilcza, że pod okupacją niemiecką teatry były bojkotowane, aktorzy, którzy w nich grali, ścigani tajnymi wyrokami, i do dziś dnia gorliwi Akowcy w Londynie uganiają się za aktorczkami, które rzekomo, czy naprawdę wystąpiły w tamtym okresie z koncertem, lub pokazały się na scenie. Natomiast nie słyszałam, by ktoś miał zastrzeżenia w stosunku do aktorów, którzy na terenie Związku Sow. znaleźli się jako występowicze i tak ich tam zastała wojna sowiecko-niemiecka.



Wiosną 44-go roku teatr Malickiej wystawiał "Lekkomyślną Siostrę" Perzyńskiego. Przyjechałam do Warszawy i oczywiście miałam ogromną ochotę po pięciu latach abstynencji zobaczyć dobre przedstawienie.

— Nie można — oświadczyli mi moi krewni, u których się zatrzymałam. Dlaczego? nie potrafili właściwie wyjaśnić.

Na obiad zaproszono jednego pana z AK i wytłumaczono mi, że to ktoś ważny. Rzeczywiście młody człowiek zachowywał się z marsową powagą, mówił niewiele, ale per "my" i "nasze", i ja i moi gospodarze słuchaliśmy jego lakonicznych uwag o rozwoju międzynarodowej sytuacji z wielką estymą. Wreszcie wydobyłam z siebie to pytanie, dlaczego nie mogłabym pójść do teatru? Akowiec spojrział na mnie surowo i podejrzliwie. Pani domu pośpiesznie wyjaśniła, że jestem z prowincji.

— Bojkotujemy teatry, aby przeszkodzić Niemcom w deprawowaniu duszy narodu tzw. lekkim repertuarem.

— Ależ "Lekkomyślna Siostra" Perzyńskiego... — zaczęłam.

— Perzyński jest pod wyrokiem. Sam tytuł zresztą wskazuje, o co w tej szmirze chodzi. Poza tym nie radziłbym pani ryzykować, gdyż mogłoby się zdarzyć, że "nasi chłopcy" zgolili by pani głowę. My potrafimy utrzymać w karchach społeczeństwo.



Oczywiście do teatru nie poszłam i przyznaję, że wówczas, poza krzywdzącym wyrokiem na Perzyńskiego, wypowiedź młodego człowieka nie wywołała we mnie żadnych wewnętrznych oporów. Walczyliśmy z Niemcami w sposób nie zawsze mądry, ale walczyliśmy z nimi ze wszystkich sił. Bo — chcieliśmy walczyć. Tak jak z bolszewikami nie walczyliśmy, bo nie chcemy walczyć. I to nie tylko dziś, po latach wyczerpania wojennego, ale nasza psychiczna kapitulacja zaczęła się z pierwszą okupacją sowiecką (1939-41) i było wszystko jak dziś: poeci sławili Wielką Rodzinę Narodów, pisarze jeździli z wizytami na Kreml, aktorzy grali w teatrach komunistyczne szmiry, albo, co gorzej, fałszowali stary repertuar propagandową interpretacją.

Z poważaniem i z wyrazami szczerzego szacunku

Barbara STARZYŃSKA.



Szanowny Panie Redaktorze!

Do bogatej dyskusji, jaką z pewnością wywoła świeżo opublikowany artykuł J. Łobodowskiego pt. "Przeciw upiorom przeszłości", chciałbym dorzucić poniższe uwagi, których ogłoszenie pozostawiam do uznania Pana Redaktora.

Świetny, pisany z ogromnym ogniem i brawurą artykuł-studium Łobodowskiego przychodzi jak gdyby na zakończenie wielkiej debaty, która od kilku lat toczyła się w polskiej publicystyce emigracyjnej nad sprawą ukraińską.

Główne argumenty stron zostały już sformułowane, ich wzajemne

pozycje są znane i nie sędzę, ażeby w tej chwili można coś naprawdę istotnego do tej debaty wnieść. Plon tej dyskusji, prowadzonej, trzeba przyznać, we właściwym tonie, wolny od zacieklności i osobistych zaczepiek, jest bezspornie obfity myślowo i, okaże się, pożyteczny w skutkach. Zarówno bowiem w tych kołach polskich, które były tradycyjnie uważane za wrogie Ukraincom, jak i w kołach pro-ukraińskich, wiele rzeczy sobie wyjaśniono i wiele rzeczy zrewidowano, co pozwoliło na znaczne zbliżenie przeciwnych dotąd poglądów. Zdaje mi się, że nikt już dzisiaj pomiędzy Polakami nie przeczy istnieniu odrębnej narodowości ukraińskiej, nikt nie odmawia im prawa rozwijania samostnej kultury i odrębnych form bytu narodowego, nikt też na serio nie myśli o prowadzeniu polityki polonizacyjnej wobec ludności ukraińskiej, która znajdzie się w przyszłości w granicach niepodległej Polski.

Różnimy się między sobą tylko w jednym, ale za to w dość istotnym punkcie, mianowicie jakie ma być stanowisko polskie względem ukraińskich dążeń do niepodległości. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że nie ma między Polakami zasadniczych przeciwników niepodległości ukraińskiej. Przeciwnie, wszyscy rozumiemy, że oderwanie od Rosji całego południa z pobrażem czarnomorskim, z zagłębem przemysłowym donieckim i zaporoskim waleńie osłabi Rosję w Europie, a co za tym idzie zredukuję wciąż aktualne zagrożenie niepodległości zachodnich sąsiadów Rosji. Polska tedy może mieć rzeczywisty interes w tym, ażeby niepodległa Ukraina powstała i utrzymała się. I w tym miejscu dotykamy istoty problemu. Idzie o to czy Ukraina ma szansę wybić się ku niepodległości, a co ważniejsza, utrzymania i obrony tej niepodległości? Sceptycy między Polakami z dr S. Skrzypiem na czele oceniają szansę Ukraińców na zdobycie niepodległości jako znikome i nie wierzą, aby naród ukraiński posiadał już obecnie wystarczające siły ludzkie potrzebne do zagospodarowania i administracji rozległego państwa. Albowiem Ukraina, jeśli w ogóle ma powstać, musiałaby od razu być państwem wielkim z kilkudziesięciu milionową ludnością i z obszarem co najmniej pół miliona km. kw., to znaczy równym, albo większym nawet od powierzchni Francji. Można oczywiście wątpiwość te próbować rozproszyć, wskazując na świeże przykłady uzyskania niepodległości przez Indie, Pakistan, Burmę i inne kraje półkolonialne, które także w chwili oderwania się od Korony angielskiej nie były przygotowane do samoistnego rządzenia się. Przy głębszym zastanowieniu się jednak ten argument upada. Bo nie może być porównania między imperialistyczną, ekspansywną Rosją, obojętnie jakiej by ona nie była maści: białej, czerwonej, zielonej czy różowej, a konstytucyjną Anglią, która weszła już w fazę powolnej stagnacji politycznej, gospodarczej i populacyjnej, i która ponadto nie sąsiaduje o miedzę z Indiami, ani też nie posiada milionów swojej ludności zamieszkałej od dawna w Indiach.

Jeżeli więc — rozumują przeciwnicy angażowania się Polski w sprawę niepodległości Ukrainy — szansę Ukrainy na odbudowanie własnego państwa są małe, to byłoby błędem i przyjęciem ciężkiej odpowiedzialności wobec naszego narodu wdawać się w grubą awanturę na Wschodzie, zaniedbując najżywniejsze sprawy od strony granicy zachodniej. Ta nasza orientacja na Zachód ma ścisły związek z kwestią federacji Europy Środkowej. P. Łobodowski usiłuje wyperswadować Ukraińcom ich niechęć do pomysłów federacyjnych, w których podejrzliwi Ukraińcy wietrzą "intrygę polską". Takie stawianie sprawy jest zupełnie opaczne, bo wygląda na to, jakby to od Ukraińców jedynie zależało czy oni wejdą w skład związku federacyjnego czy nie. Tymczasem rzecz ma się wręcz odwrotnie. Potencjalni partnerzy federacji z Polską, a mianowicie Czesi, Słowacy, Węgrzy i Rumuni nie chcą w ogóle słyszeć o przesuwaniu punktu ciężkości projektowanej federacji zbyt daleko na wschód. Obawiają się oni popaść w odwieczny konflikt z Rosją, którego żaden z tych narodów nie pragnie. W czasie wielu dyskusji z Czechami i Węgrami na temat federacji środkowo-europejskiej ani razu nie zdarzyło mi się słyszeć, by ktokolwiek z nich wysu-

wał projekt zaproszenia Ukraińców do przyszłej federacji. Niedawno wybitny historyk czeski, ks. Franciszek Dvornik, w swojej mistrzowskiej pracy o narodzinach Europy Środkowo-Wschodniej poważnie przestrzega przed budowaniem związku politycznego środkowo-europejskiego, który by miał swe granice zanadto eksponowane na wschód. Śladem niektórych wielkich historyków polskich ks. Dvornik dopatruje się jednej z głównych przyczyn upadku dawnej Polski w uwikłaniu się państwa Jagiellonów w sprawy wschodnie.

Wynika stąd wnioszek, że skoro chcemy budować coś solidnego i trwałego w Europie Środkowej, musimy to czynić rozważnie, za zgodą wszystkich partnerów i unikać ryzykownych przedsięwzięć, które by tę federację u samego początku rozbiły. Kreślenie sobie na mapie, jak to czynią niektórzy nasi "międzymorcy" granic federacji rozciągającej się od Bałtyku po Kaukaz i od Maricy po Don jest dziecinadą, zasługującą tylko na pobłażliwy uśmiech. Zresztą w sprawie Ukrainy, w czym się zgadzam z Łobodowskim, nie my Polacy, ani Ukraińcy, lecz Amerykanie będą mieli najwięcej do powiedzenia. A jak słychać nie wielu jest między Amerykanami zwolenników rozbijania Rosji i tworzenia niepodległej Ukrainy. Ci z Amerykanów, którzy się w sprawie przyszłości Rosji z pewnym autorytetem wypowiadają, sądzą, że gospodarcze względy przemawiają przeciw oddzieleniu Ukrainy od Rosji. Jest ponadto rzeczą zastanawiającą, że nie widać na zachodzie większego kalibru rzeczników sprawy ukraińskiej na polu międzynarodowym, takich ludzi którzy by umieli pozyskać serca i przekonać umysły dla idei wolności Ukrainy. Mam na myśli postacie pokroju Masaryka, Dmowskiego, Radicza, czy Maczka, którym ogromny autorytet u swoich dawał wielki głos w koncyliach świata zachodniego. Trudno bowiem Bandere i Melnyka, albo Mudrego i Kubiłowicza uważać za przywódców tego formatu. Na domiar złego obóz ukraiński na emigracji jest skłócony jak nigdy, nie potrafi dać sobie rady z wewnętrznymi sprzecznościami programowymi i z ambicjami osobistymi, które zupełnie rozsadzają jego spójność.

Pozostaje jeszcze jedna kapitalna dla przyszłości Ukrainy i współzycia polsko-ukraińskiego sprawa. Mianowicie pod wieloma względami rozstrzygające będzie to co zastaniemy na tych obszarach w chwili zaważenia się Sowietów. Nawet z tych z rzadka docierających do nas wieści spoza tak zwanej "Linii Curzona" orietujemy się, że walec sowiecki młazdyż niemilosiernie to wszystko, co było na tych ziemiach niebolszewickie i nierosyjskie i co miało jakikolwiek związek z Polską i kulturą zachodnią. Bolszewicy prowadzą kolosalne dzieło zniszczenia, wyrrywają z korzeniami prawowitych mieszkańców z ich ziemi a zaludniają ją sadzonkami z sowieckiej szkółki kolchoźniczej. Można wprawdzie żywić nadzieję, iż kiedyś, po latach, rodzima ludność tam powróci, a rosyjscy osadnicy odpłyną tam skąd przyszli. Na pewno jednak znaczna część dawnej ludności nie wróci i dlatego zaludnienie Ukrainy będzie bardzo odmienne od stanu, jaki istniał po zakończeniu drugiej wojny światowej, nie mówiąc już o roku 1939. A odnoszę wrażenie, że ten właśnie stan z r. 1939 jest ciągle brany za podstawę kalkulacji politycznych Ukraińców i pewnych środowisk polskich. P. Łobodowski również ulega temu samemu nałogowi myślenia i na stosunek Polaków do Ukraińców patrzy przez mgłę swoich wspomnień sprzed ostatniej wojny. Tymczasem rzeczy w miejscu nie stoją, przeciwnie, zaszły i stale jeszcze dokonywują się rewolucyjne wprost wstrząsy na obszarze pod władaniem sowieckim, które wiele jątżących do niedawna kwestii mogą w ogóle usunąć z porządku dziennego. Zdaże sobie sprawę ile w tym suchym stwierdzeniu kryje się tragedii ludzkiej. Tym niemniej należy prosto w oczy patrzeć choćby najstraszniejszej prawdzie i nie cofnąć się przed wyciągnięciem politycznych wniosków.

Na zakończenie pragnąłbym wybić na czoło jeden rys publicystyki Łobodowskiego: jego odwagę otwartego poruszania spraw drażliwych i szczerze chrześcijański, płynący z mądrej miłości do swojego narodu

i z wewnętrznej konieczności szukania sprawiedliwości stosunek do współzycia obu narodów Polaków i Ukraińców.

I jakkolwiek p. Łobodowski nie przekonał mnie do swojej tezy, to jednak jestem mu wdzięczny za ten szlachetny ton, jaki głósnym akordem odzywa się zwłaszcza w finale jego artykułu. Łączę się z p. Łobodowskim w jego upartym poszukiwaniu rozwiązania, które nie tylko byłoby korzystne dla naszego narodu, lecz także zgodne z nakazami chrześcijańskiego sumienia.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Jan WILK.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Łobodowski w swoim wszechstronnym omówieniu na łamach "Kultury" zagadnienia polsko-ukraińskiego pominął wczesnohistoryczne dzieje Małopolski Wschodniej. Pragnąłbym zatem, dorzucić kilka uwag rzucających światło na wczesnohistoryczny aspekt zagadnienia.

Dzisiejsza Małopolska zwana była dawniej Chrobacją lub Białą Chorbacją. Kraj ten był zamieszkały przez szczep Wiślanami zwany od ważnego grodu Wiślicy. Dawniejsza nazwa Wiślan, Chrobaci lub Biali Chorbaci, również była w użyciu w IX i X wieku. Wiślanie-Chorbaci tworzą silne i zwarte państwo.

Około 880 r. państwo Wiślan popada w chwilową zależność od Wielkich Moraw. Zaś po upadku państwa wielkomorawskiego, Biała Chorbacja zostaje przyłączona do państwa polańskich Piastów, poprzedników Mieszka I, a Wiślanie-Chorbaci weszli w skład Narodu Polskiego, jako jeden z kilku polskich szczepów.

W 981 r. Włodzimierz ruski najechał Polskę i zajął wschodnią część kraju, tzw. Grody Czerwieńskie. Od czasu najazdu Włodzimierz ruskiego, wschodnia część ziem wiślańskich stała się na pewien czas kością niezgody między Polską a Rusią. Jednakże nawet gdy w Haliczu, jednym z pogranicznych grodów białochorwackich osiada ruska dynastia, utrzymuje ona związki polityczne z Piastami i również związana jest z nimi węzłami krwi.

Księstwo Halickie i inne państewka w Grodach Czerwieńskich są więc dzielnicowymi państwami polskimi, by za panowania Kazimierza Wielkiego zupełnie zespolić się z resztą Polski.

Z poważaniem.

Jerzy ZABORSKI

641 Outremont Ave., Montreal 8, Que.

Brugg, Falkengasse 11, Suisse.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zostawiając na boku moralno-opisową stronę zagadnienia polsko-ukraińskiego, tak doskonale ujętego w "Przeciw upiorom przeszłości" przez p. Józefa Łobodowskiego — pozwolę sobie spojrzeć nań z politycznego punktu widzenia.

Nowożytnie dzieje Ukrainy cechuje walka o niepodległość z rywalizującymi imperializmami Rosji i Polski. Dyplomacja moskiewska była ohydzniejsza od naszej i w momentach przełomowych potrafiła przeciąg-

nać na swą stronę znaczną część ukraińskiego narodu. Tak było w Perejasławiu i Andruszowie. Nawet Traktat Ryski ma pozory rosyjsko-ukraińskiego przymierza przeciw Polsce.

Nasze klęski na odcinku ukraińskim przypisać należy magnaterii. Jej interes klasowy stał się wytyczną polskiej polityki wschodniej do obecnej chwili. Czy możemy się dziwić fiasku Unii Hadziackiej, w 10 lat po krwawym potopie i faktycznej utracie Zadnieprza? Jak mogła się powieść umowa z Petlurą po zniszczeniu przez nas republiki zachodnio-ukraińskiej?

Wynaradawiające praktyki polskich rządów międzywojennych izolowały nas od jakiegokolwiek ugrupowania ukraińskiego. Nie potępiłszy ich w czasie drugiej wojny światowej. Nie wydaliśmy żadnej proklamacji z zapowiedzią autonomii lub samorządu dla ziem ukraińskich, gdy Moskwa na cały świat reklamowała zjednoczoną Ukrainę sowiecką.

Uporczywe milczenie rządu emigracyjnego i Rady Jedności Narodowej pozbawiły nas wspólnego języka z kołami nacjonalistów ukraińskich w momencie zwycięstw Czerwonej Armii nad Niemcami. I dlatego opinia ukraińska przyjęła panowanie sowieckie jako mniejsze zło od perspektywy ponownego status quo z 1939 r., które groziło nawrotem obszarnictwa, kolonizacji wojskowej i całkowitego odsunięcia Ukraińców od władzy.

Toteż nie miejmy złudzeń, aby szlachetny, lecz mocno spóźniony projekt p. Łobodowskiego stworzenia sui generis kondominium na Ziemi Czerwieńskiej przypadł do gustu Ukraińców. Przypomina on co do jedynej sugestii umiarkowanych kół niemieckich wobec naszych Ziemi Odzyskanych, którą przecieżyście odrzucamy.

Trudno bawić się w akademickie dociekania, jak ułożą się stosunki po zniszczeniu bolszewizmu. Jedno jest wszakże pewne: o nawarstwieniu polskiego obszarnictwa na ziemiach ukraińskich nie ma co marzyć. Jedyne realne jest fakt umacniania polskości nad Odrą i Nysą. Łączy się ono z tak radykalnym uprzemysłowieniem repatriantów za bużańskich, że wszelka myśl o zepchnięciu ich na nowo do roli parobków lub małorolnych chłopów jest szkodliwa dla sprawy narodowej utopią.

Musimy się pogodzić z myślą całkowitego fiasca naszej przestarzałej i reakcyjnej polityki ukraińskiej. Fakt, że kołaczka ona jeszcze w głowach pp. Studnickiego i Giertycha, nie wpłynie na jej zmartwychwstanie. Nie ma na to i nie będzie warunków, a dla nas, powojennych uciekinierów z kraju, jest ona także z socjalnego stanowiska anachronizmem.

Schowajmy więc reakcyjny pogląd na Ukraińców, jako na "intrygę hr. Stadiona" do lamusa, podobnie jak stało się z poglądami naszych dziadów, gdy drwinami na próżno usiłowali zlikwidować odrodzenie narodowe Litwinów.

Tylko w ten sposób zdołamy położyć krzyżyk nad wielowiekowymi wojnami z Ukraińcami i stworzyć podstawę ku współpracy na przyszłość. Na szczęście — w Kraju, z którego zbiegłem przed trzema laty, tak myślą koła socjalistyczne i ludowe, gdyż w obliczu groźby niemieckiego rewanżu nie stać nas na luksus wrogięgo sąsiada na pld. wschodzie. Ze zaś będzie nim zjednoczona i wielka Ukraina, tego nie chcą dojrzeć jedynie krótkowidze spod znaku naszej i rosyjskiej reakcji.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego prawdziwego poważania.

Leszek POGONOWSKI



Le Comte Jean SZEMBEK

Ancien sous-secrétaire d'Etat aux Affaires étrangères de Pologne

JOURNAL

1933-1939

Traduit du polonais

par M^{me} J. RZEWUSKA et T. ZALESKI

Préface de LEON NÔEL

Ambassadeur de France

Le « Journal » du comte Szembek qui s'arrete à la date fatidique du 31 Août 1939 est le témoignage capital apporté par un patriote ardent, mort en exil en 1945.

L'édition française est la seule actuellement publiée.

Un volume in-8° carré. Prix 1.200 frs. 504 pages.

— P L O N —

Następny numer KULTURY, który ukaże się na początku lipca rb., będzie jak zwykle, numerem podwójnym (lipiec-sierpień 1952).

KORESPONDENCI "KULTURY"

Korespondent londyński: Juliusz Mieroszewski. Adres: 21, Fentiman Road, London S.W. 8. Telefon: REL. 41-33.

Korespondent berliński: Jerzy Prądyński. Adres: Hanauerstrasse 80. Berlin-Wilmersdorf. Telefon 83 42 23.

DO PRENUMERATORÓW "KULTURY".

Zawiadamiamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji lub do przedstawicielstwa za pośrednictwem którego "Kultura" jest prenumerowana.

Za £ 7.18.0 lub \$ 56

KUPON pięknego kamgaru „TENIS” granat, brąz lub marengo w delikatny biały prążek wysyła do Polski największy polski dom wysyłkowy w W. Brytanii

TAZAB and Co Ltd.
54 Hans Place — London S.W.1.

Duży wybór najlepszych angielskich towarów wełnianych na garnitury i palta. Dodatki krawieckie. Bielizna. Nylony. Obuwie. CENNIKI I KOLEKCJE PRÓBEK NA ŻĄDANIE.

Specjalny dział paczek „Za Linie Curzona”

WŁASNY DZIAŁ APTECZNY

— **STREPTOMYCINA** — 10 gramów: \$ 6,35 —

WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”, 12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV*).
Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1952.

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV*.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Składnica Książki Polskiej”, Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires.
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radoski, 83 Front St. E. Toronto/Ont.; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E. Hamilton/Ont. Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcell, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que. Stan. L. Leński, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg/Man. Stanisław Zybała, 1039 Queen St. W., Toronto/Ont.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Osętyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleśzczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szykowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.; S. Dziarczykowski, 3216 W. — 15 St., Los Angeles 19, California.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg.
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.

Prenumerata

Egz. poj.	Prenumerata	
	½-rocza	Roczna
150 fr.	900 fr.	1800 fr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
250 lir	1500 lir	2500 lir
3 kr.	15 kor.	28 kor.
2,50 DM	15 DM	25 DM
10 peso	60 peso	120 peso
75 cent.	4 dol.	6 dol.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
15 cruz	90 cruz	150 cruz
2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA
HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY
JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI
STANISŁAW SZPOTANSKI
PROMETEUSZE
JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI
LEON BLUM
NA MIARĘ CZŁOWIEKA
JÓZEF CHAŁASIŃSKI I JAN ULATOWSKI
PRZESZŁOŚĆ I PRZYZYSŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ
SERGIUSZ PIASECKI
JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZĘ JA W OKNO...
TADEUSZ FELSZTYN
ENERGIA ATOMOWA
WACŁAW SIEROSZEWSKI
BENIOWSKI
ARTHUR KOESTLER
KRUCJATA BEZ KRZYŻA
ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)
W OCZACH PISARZY
BOLESŁAW MICIŃSKI
PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE
JAN BIELATOWICZ
BRYGADA KARPACKA
JAN BIELATOWICZ
PASSEGGIATA
STANISŁAW GRYZIEWICZ
ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ
PAWEŁ HOSTOWIEC
DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC
STANISŁAWA KUSZELEWSKA
KOBIECY
MELCHIOR WANKOWICZ
KLUB TRZECIEGO MIEJSCA
MARIAN KUKIEL
KSIĄŻĘ ADAM
JAMES BURNHAM
WALKA O ŚWIAT

20

Cena 150 frs.